Gilbert Keith Chesterton

Zbrodnie Anglii

chestertonpolska.org

Gilbert Keith Chesterton

Zbrodnie Anglii

Crimes of England (1915)

Przekład: Maciej Wąs

Wydanie drugie, poprawione

Chesterton Polska

2018

Okładka: Fot. Michael Badham-Jones, za zgodą.

CHESTERTONPOLSKA.ORG

Spis treści

Słowo do wydania drugiego

Com napisał, napisałem; moim zdaniem przynajmniej, wstęp do wydania pierwszego wyszedł wcale nieźle. Tutaj zatem spróbuję zatem skreślić ledwie kilka słów, które – być może – pomogą naświetlić lepiej sprawy fundamentalne.

To może w ten sposób: dlaczego w ogóle warto Zbrodnie Anglii przeczytać?

Na pewno nie dlatego, że są świetną książką historyczną; bo nie są – ani świetną, ani w ogóle historyczną. Historii Anglii nikt się z niej nie nauczy. Gilbert generalnie nie zajmował się dziejopisarstwem (z maleńkim wyjątkiem Krótkiej historii Anglii, którą pisał na zamówienie niemiłosiernie się przy tym męcząc), i nie zajmuje się nim w tym wypadku; odbiorca bardziej dociekliwy często zmuszony będzie zapewne (choć starałem się jak mogłem wspomóc go przypisami) sięgnąć do innych źródeł, celem lepszego poznania kontekstu. Gilbert się po wydarzeniach historycznych, że tak powiem, „prześlizguje", lekko dotykając tylko pewnych spraw, i płynnie przechodząc od jednego do drugiego (zresztą to właśnie stanowiło w swoim czasie zasadniczy zarzut pod adresem tego dzieła), i ewidentnie licząc na wiedzę własną tych, dla których pisał.

Przyznaję, że dla Polaka, słabo jednak na ogół obeznanego z poruszanymi tutaj tematami (oczywiście „angielskimi" bo w wypadku wydarzeń ogólnoeuropejskich wygląda to już inaczej), może to stanowić pewną uciążliwość – jednak bezwzględnie warto się przemęczyć; bo, jako się rzekło, historia jest tutaj tylko tłem. Istotą zaś, tym, o co chodzi, są tematy bardziej abstrakcyjne i ogólne, a przede wszystkim polityka. Bo politycznie, Zbrodnie Anglii są dynamitem. W więcej niż jednym sensie. Na pewno są dynamitem podłożonym pod wszystkie nieco zbyt pośpieszne chyba sądy, jakie zazwyczaj formułują a propos „Chestertona politycznego" w polskim kontekście ci, którzy ograniczają się do lektury jego dzieł apologetycznych. No bo tradycjonalistyczny katolik (najpierw anglo-, potem rzymski), obrońca ortodoksji, człowiek, który u początku „epoki modernistycznej" walczył niestrudzenie o wierność dogmatom i bronił zastanych struktur Kościoła – kim może być politycznie? I czy taka lojalność wobec Kościoła jakby naturalnie nie implikuje lojalności wobec tego, co sam Kościół uznał za swoją tarczę w walce z wrogiem, i w znacznej mierze uświęcił dekretami Soboru Watykańskiego I?

Cóż; okazuje się, że nie musi. I Gilbert udowadnia to w tej książce bardzo dobitnie. Jak dokładnie, napisałem przy wydaniu pierwszym, i nie będę się tutaj powtarzał (zwłaszcza że na pewno nie odtworzyłbym nastroju chwili, i wszystko zepsuł) – natomiast jedno

co wydaje mi się niewątpliwe, to to, że sam ten fakt powinien być dla żywotnego i krytycznego umysłu atrakcyjny. Sam Chesterton też zresztą zwracał niejednokrotnie uwagę na ten dziwny i powszechny problem. Ludzie (wszyscy, ja też) mają nadzwyczajną wprost tendencję do łączenia pewnych idei, jakby tworzyły logiczną całość – wyłącznie dlatego, że kiedyś skojarzyły się historycznie. Tradycjonalistyczny katolicyzm szedł ramię w ramię z monarchią; Rewolucja Francuska, nieważne, czy antyklerykalna, czy po prostu obojętna, nie miała z chrześcijaństwem żadnych jawnych związków. Pius IX walczył z Garibaldim; Leon XIII opowiedział się po stronie monarchów, a nie narodów. I tak dalej i tak dalej, przykłady można by mnożyć. Natomiast, nawet z czysto rozumowego punktu widzenia, sprawa nie jest wcale taka prosta; i przy bliższych oględzinach okazuje się nieraz, że podobne sojusze miały motywację daleką od ideowej czystości, że za słowami nie zawsze idą czyny, że ludzie błądzą, że nie rozumieją nawet samych siebie, że rzeczy pozornie niechrześcijańskie mogą być najbardziej chrześcijańską (w pewnym sensie przynajmniej) siłą dziejową epoki, a „porządek chrześcijański" – ledwie maską nowego porządku, budowanego na zupełnie innych zasadach. Jako istoty rozumne i wolne, mamy prawo patrzeć na te historyczne węzły gordyjskie z pewnego dystansu, i nieco je przynajmniej luzować – i wtedy zaczną się dziać rzeczy niesłychane; i być może my również, podobnie jak Gilbert, dostrzeżemy w Garibaldim ostatniego rycerza chrześcijańskiej Europy.

Wszystko sprowadza się do wolności wewnętrznej, do której mamy prawo. Jeśli wierzymy w pewne rzeczy, musimy to robić z autentycznego przekonania i po autentycznym namyśle. Poszukiwanie prawdy zawsze musi być, moim zdaniem przynajmniej, na pierwszym miejscu; inaczej myślenie i wiara w cokolwiek zwyczajnie nie ma sensu. Inaczej działanie nie ma sensu; pisanie nie ma sensu; i życie nie ma sensu. I nawet jeśli ktoś się z Gilbertem w pewnych wypadkach nie zgodzi, jedno pozostaje pewne: ten wielki pisarz zawsze szukał prawdy i tylko prawdy; i bardzo to widać. Widać to we wszystkim, co tylko napisał, i na każdej stronie tej książki. Istotnie, nie jest to łatwa postawa, szczególnie z punktu widzenia tożsamości grupy; zazwyczaj ludzie myślący w ten sposób kroczą samotnie, nieakceptowani przez nikogo – zbyt konserwatywni dla liberałów i zbyt liberalni dla konserwatystów, zbyt lewicowi dla prawicy, i zbyt prawicowi dla lewicy; ponieważ są ponad, nie pasują – ponieważ nie pasują, udaje się, że nie istnieją. Chesterton sam przekonywał się o tym wystarczająco często – i do dziś przecież jego pisarstwo pozostaje przecież na ogół, na pewno w Polsce, politycznie lekceważone: dokładnie dlatego, że nie wiadomo „co z nim zrobić"; czy też może raczej – jak go użyć. Bo istotnie, książek Chestertona nie da się używać. Da się nad nimi tylko myśleć. Raz dał się Gilbert „rozegrać" politycznie (Partii Liberalnej, we

wczesnej młodości) – i już nigdy później; tak też nie daje się „rozgrywać" również dzisiaj.

Z natury jestem indywidualistą, więc łaknę takiej filozofii życiowej, jak łania łaknie wody ze strumieni. Być może to właśnie największy dług, jaki mam u tego człowieka (a mam ich sporo): ta wolność, którą daje szczere szukanie idei; wolność, która się nie boi. „Teoria republikańska nie pozwala prześladować Kościoła; doktryna Kościoła nie pozwala ekskomunikować republikanina". Jest miejsce dla demokratów w strukturach Kościoła – i jest miejsce dla Kościoła w świecie demokratycznym. Jeśli nie ma, to coś gdzieś poszło nie tak; to ktoś się pomylił – i nie chodzi już wcale o ideę, tylko o interesy. Oczywiście, wobec dramatów historii przepracowanie tego problemu wymaga niezmiernie dużo wysiłku, i szczerej otwartości z obydwu stron, o którą dzisiaj bardzo trudno (i Kościół nie wydaje się tutaj głównym sprawcą trudności), a dodatkowo bardzo świeżego spojrzenia na sprawę – bo role się odwróciły, choć wszyscy robią wszystko, aby nikt tego nie zauważył; i jeśli coś jest dziś martwe, to nie wiara chrześcijańska – ale demokratyczna. Niemniej, w ostatecznym rozrachunku, jedyne, co powinno nas obchodzić, to rozumienie i konsekwencja; jeśli wiemy dlaczego wierzymy tak a nie inaczej, i jeśli jesteśmy w naszej wierze konsekwentni, kto nas może osądzić?

Jedyne, o co proszę zatem czytelnika, to aby spojrzał na to niezwykłe dziełko przez pryzmat tego pytania.

Co zaś do kwestii przekładu jako takiego, to sprawa okazała się nader przyjemna. Do poprawki było bardzo niedużo – i właściwie lepiej byłoby mówić nie tyle o „poprawianiu”, co „szlifowaniu”. Przyznam, że to dla mnie duże zaskoczenie, bo nieczęsto udaje mi się zachować podobną dokładność i rygor; to chyba naprawdę jedyny taki przypadek. Cieszę się z tego niezmiernie, a że wyobraźnię mam bujną, to lubię wyobrażać sobie, że jest w tym jakiś głębszy sens; i że nieprzypadkowo właśnie ta książka wyszła mi najlepiej.

I proszę nie brać tego zbyt poważnie; poezja jest w znacznej mierze komedią – i ja też, ponieważ lubię poezję, mam prawo pośmiać się czasem sam do siebie.

Maciej Wąs,
Sosnowiec, 12 III 2018,
św. Teofana kronikarza

Słowo od tłumacza

Gilbert Keith Chesterton zawsze wracał w swoim pisarstwie do tego, co najprostsze; do ziemi ojczystej, do marzeń o niebie, do spontanicznej intuicji piękna i tej przedziwnej godności każdego człowieka, którą bardziej widzi się, niż rozumie. Z tej przyczyny, jego myśl często nie znajdowała w historii należytego uznania – o prostych rzeczach bowiem, bardzo łatwo się zapomina; i potrzeba do ich pojęcia pewnej skromności, a wręcz niewinności ducha, która pamięta, że „wiedza nadyma, lecz miłość buduje”…

Tak też, jego ekonomia była w środowisku „ludzi poważnych” konsekwentnie lekceważona. Jego apologetyka – traktowana jak ładne świecidełko, kolorowe, lecz w środku zupełnie puste. Jego teologia – jak fantazje dziecka. Jego styl – jak pocieszne pustosłowie. O jego polityce zaś – w ogóle nic się nie mówiło. I musiał minąć cały wiek, wiek doświadczeń dla cywilizacji Zachodu strasznych i traumatycznych, żeby znaczniejsza grupa ludzi dobrej woli podjęła na nowo idee tego wielkiego pisarza, odkrywszy, że historia całego nowego obrazu świata, z całym jego przybierającym najróżniejsze formy eksperymentem materializmu społecznego, potoczyła się dokładnie tak, jak przewidywał kilkadziesiąt lat wcześniej pewien angielski dziennikarz.

Niemniej, rzeczy proste zawsze będą budzić wątpliwości współczesnego umysłu; i obawiam się, że nie pozostanie ów fakt bez wpływu na lekturę Zbrodni Anglii, które to dzieło, budzące wielki szacunek ludzi takich, jak Wacław Borowy czy Adam Doboszyński, dzięki wspólnym (i niemałym) wysiłkom zaangażowanych w inicjatywę Chesterton Polska, polski czytelnik ma wreszcie szansę w całości poznać. Oto bowiem stanowi ona wprost kwintesencję tego, o czym się wyżej mówiło. Książkę tę pisał Chesterton w czasie dla siebie wyjątkowo trudnym. Jego ojczyzna, którą tak bardzo kochał, cierpiała strasznie, ogarnięta płomieniem wojennym, będącym dla Starego Kontynentu, z jego wiarą w nieuchronny postęp moralny ludzkości i zbawczą mocą nauk pozytywnych, przyczyną szoku, z którego – poniekąd – nie udało mu się otrząsnąć do dzisiaj. Sam pisarz zaś, dopiero co wyzdrowiał po ciężkiej chorobie, która o mały włos nie pozbawiła go życia – i która miała odcisnąć na owym życiu trwałe, i trudne, piętno. Z tych względów (a zapewne także z wielu innych, o których nikt poza samym Chestertonem wiedzieć nie może), idee znajdujące wyraz w Zbrodniach Anglii cechuje prostota wręcz nadzwyczajna, która jest raczej prostotą, że tak powiem, geometryczną – prostotą linii raczej, niż myśli.

I tak też przebijają w tym dziełku dwie takie linie, zupełnie proste. Jedna, mniej widoczna, skierowana pionowo; to jest linia

Chestertonowskiej wiary religijnej, chcąca dosięgnąć Boga. Druga, znacznie bardziej ewidentna, to linia pozioma; to linia Chestertonowskiej wiary politycznej, chcąca dosięgnąć – człowieka. I tej właśnie kwestii wiary politycznej warto poświęcić tutaj kilka słów; może się ona bowiem okazać dla wielu znacznym zaskoczeniem. Jako iż w powszechnej (a przynajmniej szeroko rozpowszechnionej) opinii polskich czytelników, zaznajomionych głównie z bardziej abstrakcyjnymi jego dziełami, Chesterton jest przedstawicielem myśli konserwatywnej; podczas gdy w rzeczywistości był on konserwatyzmu zaciekłym przeciwnikiem.

Słowo „wiara" nie pojawia się w tym kontekście przypadkowo. Nie bez przyczyny jeden z najwybitniejszych znawców i badaczy pism Chestertona napisał kiedyś, że demokracja była dla tego pisarza rzeczywistością religijną raczej, niż ściśle polityczna czy społeczną. W każdym ważniejszym i mniej ważnym dziele Chestertona, nawet przecież w apologetycznej Ortodoksji, temat demokracji zajmuje poczesne miejsce; z rzadka jednak zostaje poddany tak pełnej i cierpliwej obróbce, jak w niniejszej książce. Wobec kwestii relacji politycznych, łączących Anglię z autokratycznie rządzonym imperium zjednoczonych Niemiec, ujawnia ów autor cały swój płomienny – moglibyśmy powiedzieć: liberalizm, choć na pewno lepszym terminem będzie tutaj „radykalizm", w angielskim znaczeniu tego słowa; radykalizm nie tyle zwolennika, co wprost

fanatyka republiki, demokracji i ideałów Rewolucji Francuskiej – radykalizm populisty z krwi i kości, wołającego wielkim głosem o wyzwolenie mas. Płomienność owa uobecnia się nawet w samej warstwie formalnej; szkice niniejsze są bowiem w pewnych momentach, nawet jak na Chestertona, bardzo chaotyczne i obfite w różnorakie (być może z punktu widzenia sztuki pisarskiej jako takiej – niepotrzebne) osobliwości językowe, które tym mocniej podkreślają, że oto spotyka się czytelnik z prawdziwą pasją, z prawdziwym, głębinowym porywem ducha, którego jedynym celem jest zmusić wszystkich do rozpoznania i uznania niezwykłej godności każdego człowieka; i który nie zgodzi się w tej kwestii na żadne kompromisy[1].

---

[1] Pisałem to na gorąco i pod mocnym wrażeniem; w toku późniejszej, spokojniejszej lektury, doszedłem do przekonania, że ten chaos to ledwie, jak to często u Gilberta, pozór, czy „maska", pod którą jest czysta logika i ogromne oczytanie. W warstwie poglądowej zaś warto zwrócić uwagę na jeszcze jeden „skandaliczny" element (tym razem „skandaliczny" dla drugiej, że tak powiem, strony) i zwrócić uwagę na sposób, w jaki pisze Chesterton o prostych monarchiach średniowiecza; jeśli sugerowanie, że jedną z doskonalszych form ideałów głoszonych przez Rewolucję Francuską jest właśnie taka mała, prosta monarchia, oparta na bezpośredniej niemal relacji króla i poddanych, nie jest odważne, to nic nie jest odważne – a jednak, Gilbert tak właśnie sugeruje, z zupełnie otwartą (no, może prawie zupełnie) przyłbicą. To drugi aspekt sprawy, o którym nie wspomniałem z kalkulacji polemicznej, ale który zasługuje na przynajmniej tyle samo „obróbki", którą uroczyście zobowiązuję się tutaj niniejszym przeprowadzić, gdy tylko czas pozwoli. Przypis z wydania drugiego.

I tak też Chesterton, człowiek głęboko wierzący w Boga, jeszcze wtedy nie katolik, ale już wyraźnie ciążący w kierunku Kościoła Rzymskiego, w swojej poetycko-politycznej wizji opiewa glorię młodej Republiki Francuskiej i młodego Napoleona Bonaparte, włoskiego Risorgimento i Józefa Garibaldiego; opiewa – i rzeczywiście, czyni to nader pięknie – wszystkie te wielkie wstrząsy dziejowe, podkopujące stary, arystokratyczny ład świata, którego Kościół bronił ustami samych papieży. Nie jest to tylko płaskie orędzie osiemnastowiecznego optymizmu; od czasu do czasu bowiem, w najmniej niemal odpowiednim momencie, strzela wysoko do góry niespodziewane westchnienie do Boga; i nawet o włoskich rewolucjonistach nie umie Chesterton pisać inaczej, niż tylko jako o dzieciach i rycerzach wielkiego Christianitas.

Nie ma w tej książce żadnego prawie miejsca na niuanse; wobec jej zwięzłości i zaangażowania, wszystko ostatecznie sprowadza się do tych dwóch rzeczywistości, równie wyraźnych i niewątpliwych, jak światło i ciemność. Czy podobne, heroiczne niemalże zespalanie przeciwieństw, ma szansę ostać się w świetle osądu współczesnego świata, wychowanego w drwiącym sceptycyzmie, w cynizmie, dopatrującym się wszędzie złej woli, w kulcie szarości

i nieokreślenia? Czy może zasiać w sercu człowieka jakieś ziarna nowości i sensu, których przecież pragnie się od każdego wielkiego twórcy? Nie moja to rzecz, udzielać komukolwiek odpowiedzi na to pytanie. Warto jednak pamiętać, że dokładnie zadaniem dziejowym duchów żywych i nieprzeciętnych, jest wyrastać ponad przyjęte powszechnie sposoby patrzenia na rzeczywistość; w tym – ponad powszechnie przyjęte antynomie, które ułatwiają porządkowanie biegu przypadków. Chesterton miał przecież jak mocniejsze poczucie kontrastu i różnicy; na relacje rzeczy przeciwstawnych – nie tylko przeciwstawnych zewnętrznie, ale istotnie, w sensie jak najgłębszym i jak najbardziej realnym – spoglądał wszakże inaczej, niż większość jego bliźnich. Bo przecież nie każdy kontrast to prosty pojedynek zaprzeczeń. Bywa, że sięga on znacznie głębiej – i na czym innym polega; na tym, chociażby, że jedna z jego stron należy do ziemi; druga zaś – to sprawa niebieska. I wtedy walka przeciwieństw przeistacza się w walkę miłującą, w której dwie, przeczące sobie energie, nie tracąc nic z siebie, nie umniejszając się i nie ustępując ani o jedną jotę, znajdują punkt spotkania; i tworzą coś, co stanowiło dla Chestertona najgłębszą tajemnicę bytu – tak wielką, że z rzadka tylko o niej pisał; krzyż.

I na planie tego krzyża, rozgrywają się, w oczach angielskiego pisarza, dzieje całej Europy; a pewnie i także całego świata. A pewnie i także – każdej duszy ludzkiej, stworzonej, wybranej i chcianej,

mającej właściwie dwa ledwie cele na świecie: dosięgnąć Boga – i dosięgnąć człowieka. A przecież te dwie rzeczywistości, tak nieskończenie różne i nieprzystawalne, też się kiedyś przecięły; w największej tajemnicy nie tyle nieba i ziemi, co całego istnienia, jakie ogarnia sobą nieogarniony ocean Bożego umysłu.

Maciej Wąs,

Sosnowiec, św. Marcela, papieża,

16 I 2017 r.

Rozdział I – Kilka słów do profesora Tornado

Szanowny Panie Profesorze Tornado,

niemiecki oryginał Pana imienia to dla mnie zbyt wiele; i tak właśnie przedstawia się najbliższa odległość, na którą mogę się doń zbliżyć; ale wobec owego majestatycznego obrazu czystego wichru, poruszającego się ruchem czysto kołowym, wydaje mi się, że oto odsłania się przede mną – jak gdyby w błysku wizji – jakaś część Pańskiego umysłu. Pańska wyjątkowa izolacja intelektualna wszakże sprawia, że umie je Pan wyrażać tylko w takich słowach, które przynoszą przyjemność – Panu, na innych zaś wywierają wrażenie mizerne, a może wręcz – niefortunne. Żeby z Pana kampanii moralnej przeciwko Anglikom mogło w ogóle cokolwiek wyniknąć, ktoś, nawet jeżeli byłby to ledwie Anglik, musiałby wpierw pokazać Panu, jak przestać głosić filozofię – i zacząć ją praktykować. Dlatego też postanowiłem zaprzedać duszę w służbę Prusom, i w zamian za używaną marynarkę z zestawu wytwornych szat cesarza (mundur aspiranta w angielskiej marynarce wojennej), przepis niemieckiej *hausfrau* na trujący gaz bojowy, dwa tanie cygara i dwadzieścia pięć Krzyży Żelaznych, zgodziłem się udzielić Panu lekcji z absolutnych podstaw polityki międzynarodowej. Z tego, co mam do powiedzenia odnośnie tej części mojego zadania, tylko bardzo niewiele nie sprowadza się do ogólnej prośby, aby zechciał

Pan zwrócić uwagę na kilka elementarnych zasad. Przedstawiają się one, mniej więcej, jak następuje: –

Po pierwsze, proszę się trzymać jednej wymówki. Gdyby jakiś kupiec, z którym łączyłaby Pana tylko bardzo niezobowiązująca znajomość, przypadkiem odkrył, że grzebie Pan w jego kasie i wybiera z niej miedziaki, być może byłby Pan w stanie wytłumaczyć mu, że jest Pan pasjonatem numizmatyki i zajmuje się kolekcjonowaniem monet; i być może człowiek ten by Panu uwierzył. Ale gdyby jakiś czas później powiedział mu Pan, że wobec tego, jak bardzo był on obładowany nieporęcznymi „krążkami z miedzi", zrobiło się go Panu żal i postanowił Pan wymienić je na własne, srebrne sześciopensówki, to późniejsze wytłumaczenie, zamiast (o, paradoksie) zwiększyć jego zaufanie do Pańskich motywacji, w rzeczywistości nieco by je zmniejszyło. I gdyby okazał się Pan na tyle niemądry, by wpaść na kolejny, genialny pomysł i powiedzieć naszemu delikwentowi, że wszystkie jego miedziaki były fałszywe i ukrył je Pan za pazuchą wyłącznie po to, aby uchronić swojego przyjaciela przed policyjnym oskarżeniem o fałszowanie pieniędzy, kupiec ten sam mógłby wezwać na pomoc policję. Takie postawienie sprawy nie będzie natomiast stanowić najmniejszego choćby wyolbrzymienia, jeżeli odniesie się je do sposobu, w jaki po kolei wytrącał Pan sobie z rąk wszystkie argumenty, jakimi mógł Pan

dysponować w sprawie takiej, jak zatopienie *Luzytanii.* Na własne oczy widziałem, jak kolejno wychodzą spod Pańskiego, jak wszystko na to wskazuje, pióra następujące wyjaśnienia: (i) że statek ten tak naprawdę był okrętem wojskowym, transportującym kontyngent żołnierzy z Kanady; (ii) że nawet jeżeli tak nie było, był to statek kupiecki, bezprawnie transportujący broń dla żołnierzy Ententy we Francji; (iii) że, jako iż pasażerowie tego statku zostali uprzednio ostrzeżeni w krótkiej notatce w gazecie, Niemcy miały pełne prawo wysadzić ich w powietrze aż pod sam nieboskłon; (iv) że na statku tym znajdowały się działa – i storpedowaliście go dlatego, że angielski kapitan miał zamiar was ostrzelać; (v) że rządy Anglii i Ameryki, podtykając *Luzytanię* pod sam nos niemieckiego dowództwa, wystawiły je na niemożliwą do poskromienia pokusę; którą w jakiś dziwny sposób unaocznił tylko lub zintensyfikował fakt, że statek przypłynął w terminie – bo każdy zna przecież ową tajemną zasadę kosmosu, zgodnie z którą jeśli podaje się herbatę dokładnie o piątej popołudniu, można dolewać do niej trucizny; (vi) że *Luzytanii* nie zatopili wcale Niemcy – ale Anglicy, jako iż jej angielski kapitan specjalnie postanowił utopić siebie i około tysiąca swoich rodaków, aby zapoczątkować wymianę sztywnych not dyplomatycznych pomiędzy panem Wilsonem a Kaiserem. Jeżeli ta interesująca historyjka jest prawdziwa, mogę powiedzieć tylko tyle, że podobna oszalała i samobójcza lojalność wobec najodleglejszych nawet interesów własnego kraju prawie że pozwala usprawiedliwić

rzeczonego kapitana za jego zbrodnię. Ale czy nie dostrzega Pan, mój drogi Panie Profesorze, że samo bogactwo i różnorodność działań Pana twórczego geniuszu sprawia, że każde z tych wyjaśnień, jeśli rozważać je samo w sobie, wydaje się poniekąd wątpliwe? My, którzy czytamy Pana teksty w Anglii, osiągamy z czasem taki stan ducha, w którym ostatecznie niewiele znaczy, jakie wytłumaczenie akurat zdecyduje się nam Pan zaproponować – albo czy w ogóle zaproponuje nam Pan jakiekolwiek wyjaśnienie. Równie dobrze może nam Pan oświadczyć, jesteśmy na to gotowi, że zatopiliście *Luzytanię,* ponieważ od urodzenia kochający morze synowie Anglii będą szczęśliwsi, jeżeli pozwoli się im żyć w charakterze ryb głębinowych, albo ponieważ jeden z jej pasażerów miał trafić w swojej ojczyźnie na szubienicę. W ten właśnie klarowny sposób wyjaśniliście motywy swojego postępowania Włochom – tak drobiazgowo, że wypowiedzieli wam wojnę, i jeśli będziecie stosować tę samą metodę w relacjach z Amerykanami, całkiem możliwe, że ostateczny rezultat również będzie ten sam.

Po drugie: mówiąc kłamstwa, które wydają się Panu konieczne do obrony niemieckiej pozycji międzynarodowej, proszę nie mówić ich tym, którzy znają prawdę. Proszę nie mówić Eskimosom, że śnieg jest jasnozielony; ani Murzynom w Afryce, że słońce nigdy nie wschodzi nad Czarnym Kontynentem. Raczej odwrotnie: Eskimosom proszę

opowiadać o Afryce, w której panuje wieczna noc; a potem – pójść się do żyjących w tropikach Afrykanów i sprawdzić, czy naprawdę uwierzą w opowieści o zielonym śniegu. Podobnie, strategia, jaką powinien Pan stosować, polega na szkalowaniu Anglików w Rosji i Rosjan w Anglii; i są całe setki starych, sprawdzonych oszczerstw, których mógłby Pan użyć przeciwko tym dwóm narodom. Prawdopodobnie ciągle jeszcze istnieją Rosjanie, którzy myślą, że każdy angielski gentleman prędzej czy później obwiązuje wokół szyi swej żony gruby sznur, i idzie sprzedać ją na targu w Smithfield. Na pewno istnieją jeszcze Anglicy, którzy myślą, że każdy rosyjski gentleman prędzej czy później kręci z grubego sznura bicz, i codziennie chłoszcze swojej żonie plecy. Niemniej opowieści tych, nader przecież malowniczych i użytecznych, używać można, jak wszystkich innych rzeczy na świecie, wyłącznie w pewnych granicach; i granice te biorą się z faktu, że opowieści te nie są *prawdziwe, i* że z konieczności musi istnieć gdzieś grupa ludzi, którzy wiedzą, że nie są one prawdziwe. Tak też wygląda to w wypadku tych faktów, które próbuje nam Pan przedstawić jako zwykłe opinie. Scarborough[2] mogłoby być fortecą; ale nią nie jest.

2 Miasto w północno-wschodniej Anglii nad Morzem Północnym. Zbombardowane (razem z Hartlepool i Whitby) przez Niemców 16 grudnia 1914 roku. W wyniku tej akcji śmierć poniosło około 120 cywilów.

I tak się składa, że wiem, że nią nie jest. Pan Morel[3] może zasługiwać na to, aby cieszyć się w Anglii powszechnym uwielbieniem; niemniej – nie cieszy się on w Anglii powszechnym uwielbieniem. Rosjanom może Pan wmawiać, że jest inaczej – proszę bardzo; ale nie nam. Widzieliśmy pana Morela; widzieliśmy także Scarborough. Zanim zacznie Pan gadać, powinien Pan o tym pomyśleć.

Po trzecie, proszę nie pysznić się co chwilę wysokim poziomem kultury w języku, który bez litości odsłania jej rzeczywisty poziom. Twierdzi Pan, że może wchodzić z butami w opinie wszystkich innych ludzi, ponieważ oto złożono w Panu skarby mądrości i umiejętności, których starczyłoby dla całego świata. Niemniej, jeżeli czyjejś mądrości starczy dla całego świata, zazwyczaj starczy jej także na jeden akapit w gazecie. Panu zaś z rzadka udaje się napisać choćby właśnie jeden akapit, w którym nie popadłby Pan w monotonię, niepotrzebną dygresyjność, niezrozumiałość, sprzeczność, czy ogólne niedomaganie umysłowe. Jeżeli może nas Pan czegoś nauczyć – proszę to zrobić teraz. Jeżeli twierdzi Pan, że po tym, jak nas Pan podbije, zdoła nas Pan nawrócić, dlaczego nie nawróci nas Pan – zanim nas Pan podbije? Na ten moment, nie

3 Edmund Morel (1873-1924) – angielski dziennikarz, polityk, pacyfista. Działacz na rzecz ukrócenia belgijskich okrucieństw w Kongo. Sprzeciwiał się brytyjskiemu zaangażowani w I Wojnę Światową i usprawiedliwiał niemiecką agresję na Belgię.

możemy dać wiary opowieściom o Pańskim niespotykanie wysokim wykształceniu – dokładnie ze względu na sposób, w jakim Pan o nim opowiada. Jeżeli jakiś Anglik mówi: „Nie popełniam błędy w mojej angielszczyźnie, nie ja", możemy zrozumieć, o co mu chodzi; ale nie możemy go popierać. Powiedzieć: „Je parler le Frenche language, non demi" to rzecz zrozumiała, ale mało przekonująca. I kiedy mówi Pan, jak uczynił to Pan niedawno w swojej odezwie do Amerykanów, że germańskie mocarstwa przelały w obronie własnej kultury dużo swej „czerwonej cieczy", pragnęlibyśmy zwrócić Pana uwagę na fakt, ze kulturalni ludzie nie posługują się w literaturze podobnym stylem. Albo gdy twierdzi Pan, że tylko z powodu prymitywnej ignorancji Belgowie mogą myśleć, że urządziliście im rzeź – podczas gdy żadnej rzezi nie było, my możemy tylko zastanawiać się, czy naprawdę *Pan* jest do tego stopnia prymitywnym ignorantem, żeby sądzić, że ktoś Panu wierzy – podczas gdy nikt Panu nie wierzy. I tak, na przykład, kiedy chełpi się Pan spopieleniem Wenecji, aby tym dobitniej wyrazić swoją głęboką pogardę dla „turystów", nie możemy mieć najlepszego zdania, jako o kulturze, o takiej kulturze, która zakłada, że Bazylika św. Marka to rzecz, która zainteresowałaby raczej turystów, niż historyków. Ta sprawa, jednakże, stanowiłaby najmniejszą cześć naszego niepochlebnego sądu. Sąd ów zyskuje kompletność dopiero w momencie, w którym przeczytamy akapit taki jak ten, zajmujący prominentne miejsce w pewnej gazecie, w której szczególnie często się Pan upowszechniał: „Faktu, że Włosi mieli pełną świadomość, że

to miasto antyków i turystów stanowi potencjalny cel, i słusznie go stanowi, ofensywy i bombardowania, dowodzi szybkość, z jaką wywieźli oni zeń na początku wojny niektóre ze swoich najcenniejszych dzieł sztuki". Kultura może implikować zdolność do zachwycenia się antykami – i do wyrzeczenia się tej przyjemności, jaką daje rozwalanie ich na kawałki, jakby były zabawkami dla dzieci; może jej również nie implikować. Niemniej, kultura, jak można przypuszczać, niewątpliwie implikuje zdolność do myślenia. Intelektom mniej pracowitym niż Pański zazwyczaj wystarczy pomyśleć nad czymś raz. Jeżeli jednak pomyśli Pan nad tą sprawą ze dwa, czy dwadzieścia razy, na pewno w końcu zaświta Panu, że jest chyba coś nie tak z rozumowaniem, zgodnie z którym zdeponowanie diamentów w sejfie udowadnia, że „słusznie" stanowią one potencjalny cel dla złodzieja. Bezustanne stwierdzanie podobnych rzeczy niewiele może dopomóc w upowszechnianiu Pana wyższej kultury; i jeśli będzie je Pan powtarzał zbyt często często, niektórzy mogą zacząć się nawet zastanawiać, czy Pana kultura rzeczywiście jest w jakikolwiek sposób wyższa od czegokolwiek. Najlepszy z Pańskich przyjaciół, który udziela Panu teraz tych kilku skromnych rad, nie może powstrzymać łez smutku na widok podobnie nieostrożnej gadatliwości. Gdyby ograniczył się Pan do pojedynczych słów, wypowiadanych w odstępach około jednego miesiąca, prawdopodobnie nikt nie mógłby się im w racjonalny sposób przeciwstawić, ani poddać ich jakiejkolwiek racjonalnej krytyce.

Z czasem mógłby Pan nawet nauczyć się używać pełnych zdań w taki sposób, by nie ujawniać przy tym prawdziwego stanu rzeczy.

Ze względu na zlekceważenie niniejszych pryncypiów, drogi Panie Profesorze, każdy z Pana ataków na Anglię okazał się nietrafiony. W istocie, nie drasnęły one nawet owego miejsca, o którym wszyscy krytycy Anglii wiedzą, że to miejsce bardzo czułe. Prawdziwego krytyka Anglii mamy na przykład w osobie pana Bernarda Shawa, którego imię Pan uwielbia, najwyraźniej nie potrafiąc go jednak napisać; jako iż w gazecie, do której się przed chwilą odwołałem, nazywa go Pan „Berhardem Shawem". Być może sądzi Pan, że on i Bernhardi[4] to ta sama osoba. Lecz gdyby zdecydował się Pan zacytować to, co Bernard Shaw rzeczywiście mówi, zamiast tylko błędnie pisać jego nazwisko, niechybnie przekonałby się Pan, że jego krytyka stanowi dokładne przeciwieństwo pańskiej krytyki; i oczywiście – bo jego krytyka jest racjonalna. Nie atakuje on Anglii o to, że wystąpiła przeciwko Niemcom. Atakuje ją o to, że nie dość mocno i zdecydowanie opowiedziała się po stronie Rosji. Nie jest on głupcem, aby oskarżać Sir Edwarda Greya[5] o niegodziwy

4 Fryderyk von Bernhardi (1849-1930) – niemiecki generał, uważany za prekursora niemieckiego szowinizmu narodowego.

5 Edward Grey (1862-1933) – angielski polityk, członek Partii Liberalnej, minister spraw zagranicznych w latach 1905-16.

machiawelizm i antyniemieckie spiski; oskarża go o bycie sympatycznym, arystokratycznym staruszkiem, który nie potrafił zastraszyć Junkrów na tyle skutecznie, by porzucili swoje wojenne plany. Przy czym w ogóle nie chodzi tutaj o to, czy bardziej podoba się nam ta czy tamta opcja; sam pan Shaw, jak mniemam, darzyłby podobnie przegadane kompromisy mniejszą sympatią, niż najbardziej bezczelne intryganctwo. Chodzi po prostu o to, że Anglików takich jak Grey można atakować z pozycji pana Shawa – z pańskiej zaś: nie. Nie jest prawdą, jakoby Anglicy zachowali odpowiednią jasność umysłu lub samokontrolę, aby byli w stanie zawiązać konspirację mającą za cel zniszczenie zjednoczonych Niemiec. Każdy, kto zna Anglię, każdy, kto Anglii nienawidzi – nienawidzi jej tak, jak nienawidzi się żywej istoty – powie Panu, że to nie jest prawda. Anglicy mogą być snobami, mogą być plutokratami, mogą być hipokrytami, ale nie są, w żadnym wypadku, intrygantami; i szczerze wątpię, czy kiedykolwiek mogliby nimi zostać, nawet gdyby chcieli. Masy ludowe są do spisków po prostu organicznie niezdolne, a jeśli niewielkie kółeczko ludzi, którzy zajmują się finansowaniem naszej polityki, rzeczywiście zajęło się jakimś spiskiem, to tylko po to, aby utrzymać pokój za prawie wszelką cenę. Każdy londyńczyk, który zna londyńskie ulice i gazety tak dobrze, jak kolumnę Nelsona czy Park Regenta, wie, że wśród klasy rządzącej, a nawet w samym rządzie, znaleźli się ludzie, którzy bronili Niemiec dosłownie płonąc pożądaniem – dopóki obrona Niemiec, ze względu

na ich własne czyny, stała się niemożliwa. Jeżeli nie powiedzieli oni nic na temat naplucia na złożoną Belgom obietnicę zachowania pokoju, stało się tak po prostu dlatego, że nie było już niczego, co można by powiedzieć.

Byliście jednym z pierwszych narodów, który mówił o czymś takim, jak „polityka światowa"; i pierwszy narodem, który całkowicie przestał się nią przejmować. Nawet wasza polityka zagraniczna jest waszą polityką wewnętrzną. Nie da się jej zastosować do żadnego narodu, poza Niemcami; i z waszych dwudziestu swobodnych domysłów na temat dwudziestu innych narodów, żaden nie był trafiony, nawet przez przypadek. Wasze dwa lub trzy domysły na temat mojej własnej, dalekiej od niewinności ziemi, były takiej jakości, że bliżej prawdy bylibyście próbując przeprowadzić inwazję na Anglię przez Kaukaz albo odkrywając ją nagle opodal archipelagu Wysp Południowych. Waszym pierwszym złudzeniem, gdy twierdziliście, że nasza odwaga była wyrachowana i nienawistna – podczas gdy tak naprawdę sama nasza demoralizacja była nieśmiała i zagubiona – zdążyłem się już zająć. Dokładnie tak samo przedstawia się sprawa z waszą drugą tezą; że angielska armia ma charakter najemny. Przekonanie to wyniósł Pan z bibliotek, a nie z bitew; i naprawdę, bardzo chciałbym zobaczyć kiedyś, jak próbuje Pan przekupić najgorszego próżniaka z Hammersmith, jak gdyby był

on cynicznym kondotierem, potrafiącym z chciwości zaprzedać swą kopię obcemu miastu. Drogi Panie – fakty są zupełnie inne. Został Pan źle poinformowany. Armia Brytyjska jest armią najemną w takim samym stopniu, co poborową. To armia ochotnicza w ścisłym tego słowa znaczeniu; nie mam też nic przeciwko temu, aby nazywał ją Pan armią amatorów. Nie ma tutaj żadnego przymusu – i prawie żadnych pieniędzy. W tym momencie rekrutuje się one ze wszystkich klas naszego społeczeństwa – i tylko przedstawiciele bardzo niewielu z nich nie zarobiliby więcej w swoich zwyczajnych zawodach. Liczy ona prawie że tylu żołnierzy, ile liczyłaby każda armia z poboru; to znaczy, że uwzględnia pewien konieczny margines tych, którzy są niezdolni do służby lub potrzeba, aby służyli w inny sposób. W naszym kraju wspólny całemu chrześcijaństwu duch demokratyczny przejawia niespotykaną cokolwiek ospałość i na pierwszy rzut oka w ogóle go nie widać. I najbardziej autentycznym i czysto ludowym ruchem, jakiego doświadczyliśmy od czasu czartystów[6], jest właśnie zaciąg związany z trwającą wojną. Możecie mówić, że podobnie niezorganizowany i sentymentalny zryw ochotników to na wojnie rzecz bezwartościowa – proszę bardzo; jeżeli rzeczywiście tak uważacie; a nawet jeżeli tak nie uważacie. Jak

6 Radykalny ruch polityczny w Anglii, istniejący w latach 1808-57, domagający się m.in. zniesienia cenzusu majątkowego w czynnych prawach wyborczych, wprowadzenia pensji dla członków parlamentu (tak, aby mogli w nim pracować także ludzie mniej zamożni) i corocznych wyborów, jako metody walki z korupcją.

najbardziej możecie twierdzić, że Niemcy są niepokonane i że nigdy nie uda się nam was powystrzelać. Jeżeli jednak twierdzicie, że nie *chcemy* was powystrzelać, wyrządzacie nam wielką niesprawiedliwość. Istotnie – bardzo wielką niesprawiedliwość.

Nie muszę tutaj zajmować się jeszcze bardziej oszalałymi tezami, głoszonymi przez niektórych z was; jak choćby tą, że Anglicy chcą zatrzymać na własność Calais i walczyć nie tylko z Niemcami, ale i z Francją o przywilej posiadania granicy lądowej i konieczności utrzymywania armii z poboru. To również wyciągnęliście z bibliotek – i to bibliotek cokolwiek starych i zatęchłych. Powiedzieliście to, jak sądzę, żeby zdobyć dla siebie nieco sympatii wśród Francuzów – w związku z czym to już nie do końca moja sprawa, bo naród ten z całą pewnością potrafi zadbać o siebie. Wtrącam tu tylko przelotnie jedno ledwie słówko, na wypadek, gdyby wpadł Pan na pomysł, by dalej marnować energię swojego potężnego umysłu na podobne projekty. Anglicy mogą wam pewnego dnia wybaczyć; Francuzi – nie. Wy, Teutoni, podchodzicie do życia zbyt lekko i beztrosko, abyście kiedykolwiek mogli zrozumieć łacińską powagę. Chodzi mi tutaj wszakże tylko o to, aby pokazać Panu, że co do Anglii, przynajmniej, pozostajecie w niezmiennym i niesamowicie wielkim błędzie.

Mówiąc poważnie, drogi Panie Profesorze, to, po prostu, nie wystarczy. Łatwo byłoby pojedynkować się z Panem do końca świata i zbijać każdy argument, jaki spróbuje Pan wymyślić – tak, że Anglicy doszliby z czasem do wniosku, że Anglia w ogóle nie ma wad. Odmawiam jednak uczestnictwa w podobnej zabawie. Anglia ma na sumieniu wiele prawdziwych win, o których nigdy nie powinno się zapominać, nawet wobec rozmachu Pana niewiarygodnych pomyłek. Nie mogę pozwolić, aby moi rodacy dali się skusić tym przyjemnościom intelektualnej pychy, które przyniosłoby im niechybnie porównywanie się z wami. Ogromny upadek i ziejąca otchłań Pana niekompetencji stawia mnie w straszliwie niebezpiecznym położeniu wyższości duchowej. Pana błędy to kwestia faktów; ale samo wymienienie ich – to jeszcze nie cała prawda. Dla przykładu – jegomość, który myślał, że napotkane przezeń w jednej z angielskich reklam wyrażenie „odciąć się od kogoś" znaczy „pociąć kogoś na kawałki", popełnił błąd; ale powiedzieć, że tego typu reklamy bardzo często są wulgarne, to już nic błędnego. I znów: prawdą jest, że angielscy ubodzy są zahukani i niepewni, że nie mają żyłki do zbrojnych rewolucji – choć błędem byłoby twierdzić, że większość ich życia schodzi im dosłownie na myśleniu o gruszkach na wierzbie. Prawda, że przeciętny Anglik czuje zdecydowanie za duży pociąg do arystokracji; ale błędem byłoby dowodzić tego na podstawie faktu, że czasem mówi on

o „wyjściu na obiad z księciem Humphrey”[7]. W więcej niż jednym sensie zapomina Pan, co znaczy „stylistyczny”.

Uznałem zatem, że czymś pożytecznym byłoby wyposażyć Pana w katalog prawdziwych zbrodni Anglii; w selekcji mojej kierowałem się zaś zasadą, która nie może Pana nie zainteresować ani nie ucieszyć. W bardzo wielu wypadkach postępowaliśmy naprawdę bardzo źle. Bardzo źle postąpiliśmy, przykładając rękę do powstrzymania Europy przed ukróceniem bezbożnego piractwa Fryderyka Wielkiego. Bardzo źle postąpiliśmy, pozwalając, aby nasz tryumf nad Napoleonem splugawiony został przez brud i krew brutalnych barbarzyńców Bluchera. Bardzo źle postąpiliśmy, pozwalając, aby pokojowo nastawionego króla Danii obrabował w jasnym świetle dnia pospolity bandyta imieniem Bismarck; i aby pruscy rębacze zniewolili i zakneblowali dwie francuskie prowincje, którymi nie potrafili rządzić i których nie potrafili do siebie przekonać. Bardzo źle postąpiliśmy, oddając tym krwiożerczym

7 Oryg. *Dining with Duke Humphrey*, wyrażenie często spotykane w literaturze elżbietańskiej, wzięte z obyczajów zubożałej szlachty, o której mówiło się, że zamiast jeść porządny obiad (na co nie miała pieniędzy), spędzała porę obiadową przy grobowcu księcia Humphrey (inaczej księcia Goulcesteru), w okolicach katedry św. Pawła w Londynie. Z czasem zamieniło się ono w wyrażenie idiomatyczne, oznaczające po prostu wyjście na obiad.

awanturnikom terytorium tak ważne, jak Helgoland. Bardzo źle postąpiliśmy, wychwalając bezduszną pruską edukację i kopiując bezduszne pruskie prawa. Wiedząc, jak chętnie, wobec całej tej angielskiej niegodziwości, zmiesza Pan swoje łzy z moimi, dedykuję niniejsze dziełko właśnie Panu – i łączę

najgłębsze wyrazy szacunku,

G.K. Chesterton

Rozdział II – Protestancki Bohater

W luźniejszej odmianie angielskiego dziennikarstwa często bierze się dzisiaj na warsztat kwestię tego, co powinno stać się z cesarzem Niemiec po zwycięstwie Państw Sprzymierzonych. Ci spośród naszych ekspertów, którzy obdarzeni są bardziej kobiecym usposobieniem, twierdzą, że powinno się go zastrzelić. Świadczy to jednak o mylnym pojęciu co do samej natury monarchii dziedzicznej. Nie ma wątpliwości, że w najgorszym wypadku Wilhelm II miałby pełne prawo powiedzieć do swojego sympatycznego następcy tronu to samo, co Karol II powiedział swojemu bratu, gdy ten ostrzegł go o trwającym właśnie spisku na jego życie: „Nigdy nie zabiją mnie po to, żebyś ty został królem". Inni, o bardziej potwornych umysłach, sugerowali, że powinno się go zesłać na Wyspę św. Heleny. Na tyle, na ile pozwala to stwierdzić przybliżona kalkulacja jego znaczenia historycznego, równie dobrze można by go zesłać na Górę Kalwarii. Mamy tu do czynienia ze starszym, niespokojnym i niepozbawionym inteligencji człowiekiem, który – tak się składa – jest na dodatek Hohenzollernem; i który, żeby oddać mu sprawiedliwość, myśli raczej o Hohenzollernach w ogólności, jako o pewnej świętej kaście, niż o konkretnym miejscu, które akurat mu w niej przypada. W tego typu rodzinach stara przechwałka i motto dziedzicznego królestwa

stanowi straszliwą i zwyrodniałą prawdę. Król nigdy nie umiera; tylko gnije na wieki.

Gdyby to, co stanie się z Jego Wysokością Wilhelmem po tym, jak jego dziedzina zostanie już skutecznie rozbrojona, było problemem niedużej wagi, pozwoliłbym mojej wyobraźni zadowolić się innym jeszcze obrazem jego schyłkowych lat; rozwiązaniem, które byłoby pokojowe, humanitarne, harmonijne i wspaniałomyślne.

Pośród malowniczych dróg i wsi Anglii Południowej przechodnie mogą w wielu miejscach natknąć się na stary i cichy pub o nazwie „Król Prus". Szyldy te upamiętniają zapewne wizytę, jaką nasi sojusznicy złożyli nam w 1815 roku, choć znaczna część angielskiej klasy średniej może skojarzyć je także z czasem, w którym Fryderyk II pracował właśnie ciężko na miano „Wielkiego", podobnie zresztą jak na wiele innych dookreśleń swojej monarszej godności – łączących się raczej z kontekstem geograficznym – do których miał znacznie mniejsze prawo. Rodzimi dysydenccy pastorzy zwykli zatrzymywać się przed tym znakiem (jako iż w tamtych czasach nasi dysydenci pili piwo jak wszyscy inni chrześcijanie – a właściwie, ściśle mówiąc, odpowiadali za większą część jego produkcji) i wznosić toasty na cześć zamierzchłego męstwa i zamierzchłego zwycięstwa tego, którego nazywali „Protestanckim Bohaterem".

Gdyby przyszło nam na myśl powiedzieć, że jak na bohatera, w sensie: herosa, przystało, rzeczywiście miał on w sobie coś dziwnie diabelskiego, powinniśmy użyć każdego z tych słów w sensie jak najdokładniej dosłownym. To, czy rzeczywiście był on bohaterem, czy nie, można dość precyzyjnie ustalić, choćby czytając listy jegomościa imieniem Wolter, którego całkowita bezreligijność Fryderyka przyprawiała o niemały szok. Niemniej, poczciwy dysydent wypijał swoje piwo z pełną niewinnością, i ruszał w dalszą drogę. A wielki bluźnierca z Poczdamu śmiałby się do rozpuku, gdyby się o tym dowiedział; bo był to dowcip bardzo w jego stylu. W podobny sposób robił on sobie żarty gdy wezwał innych cesarzy Europy, by pożywali razem z nim komunię, i mieli uczestnictwo w eucharystycznym ciele Polski. Gdyby rzeczywiście czytał Biblię tak chętnie, jak bez wątpienia mniemał o nim nasz angielski dysydent, być może zdołałby przewidzieć zemstę, jaką ludzkość wywarła ostatecznie na jego rodzinie. Mógłby zorientować się, czym Polska naprawdę była i czym jeszcze miała się stać; mógłby zdać sobie sprawę, że je i pije na własne potępienie, nie zważając na Ciało Pańskie.

Czy zaangażowanie obecnego niemieckiego cesarza w roli kierownika jednego z tych przydrożnych pubów byłoby dowcipem w *jego* stylu, to się jeszcze okaże. Stanowiłoby to jednak znacznie

bardziej harmonijne i odpowiednie zakończenie tej historii niż wszystkie te majestatyczne formy eutanazji, które proponują jego wrogowie. Stary szynkarski szyld, skrzypiący nad nim zawsze, ilekroć zdecydowałby się posiedzieć chwilę na ławce przed domem swego wygnania znacznie lepiej przypominałby mu prawdziwą wielkość jego plemienia niż wszystkie owe nowoczesne i bazarowe niemal gwiazdki i podwiązki, które zwykło się wkładać na ludzi w Kaplicy Windsorskiej. Ze współczesnego szlachectwa ulotniło się bowiem wszelkie wspomnienie o rycerstwie; i jak bardzo oddaliliśmy odeń w naszych wędrówkach można łatwo sprawdzić: wystarczy nieśmiało zasugerować, aby, powiedzmy, Sir Tomasz Lipton[8] obwiązał swój kapelusz rękawem sukni pani swego serca albo ofiarował swoją zbroję rodową jako wotum przy grobie św. Tomasza z Canterbury. Rozdawanie i przyjmowanie Orderu Podwiązki w wypadku współczesnego towarzystwa despotów i dyplomatów stanowi wyłącznie przejaw owej niedbałej uprzejmości, która pomaga zachować pokój w społeczeństwach zdominowanych przez niepewność i nieszczerość. Niemniej, ten stary, sczerniały szyld z drewna to przynajmniej, i mimo wszystko, ślad po czymś realnym; ślad po czasach, w których przez Hohenzollernów stawały w płomieniach nie tylko pola i miasta, ale także w bardzo

8 Sir Tomasz Lipton (1848-1931) – szkocki arystokrata, kupiec, sportowiec człowiek sukcesu. Potentat na rynku herbacianym (tak jest, to właśnie on).

prawdziwym sensie ludzkie umysły: nawet jeżeli były to płomienie piekieł.

Wszystko miało swoją młodość, nawet Fryderyk Wielki. I bardziej niż odpowiednim wstępem był w wypadku strasznej epopei Prus fakt, że zaczęła się ona właśnie nienaturalną tragedią utraty młodości. Ojciec Fryderyka, ślepy i tępy barbarzyńca, miał z całkowitym wypraniem go z przyzwoitości pewną trudność – co świadczy o tym, że jego syn był wtedy jednak w jakimś tam stopniu przyzwoity. Jeżeli młodszy i większy z dwóch Fryderyków kiedykolwiek miał serce, było to serce złamane; złamane tą samą przemocą, która złamała jego flet. Gdy jego jedyny przyjaciel zginął na jego oczach, z miejsca kaźni trzeba było zabrać dwa trupy; lecz jeden z nich został zeń zabrany na wielkim koniu bojowym, na którym zmierzał potem od zwycięstwa do zwycięstwa: z maleńką wszakże buteleczką trucizny w kieszeni. Niebezzasadnie jest zatrzymać się zatem na moment nad ogromnym i mrocznym domem jego dzieciństwa. Jako iż znakiem szczególnym, który wyróżnia pruską armię i ambicję spośród wszystkich innych, jest właśnie owa pomarszczona i przedwczesna wiekowość. W porównaniu, tryumfy wszystkich innych tyranów wyglądają niemal jak zabawy małych chłopców. Było coś lepszego, niż tylko ambicja, w pięknie i pasji młodego Napoleona. On przynajmniej naprawdę coś kochał; i jego pierwsza kampania wojenna

przypominała historię miłosną. Wszystko, co było w nim z poganina, wielbiło republikę tak, jak mężczyzna wielbi kobietę, wszystko zaś, co było w nim z katolika, doskonale rozumiało paradoks Matki Bożej Zwycięskiej. Henryk VIII, człowiek o znacznie gorszej reputacji, był w swojej młodości dobrym rycerzem późniejszej i bardziej dekoratywnej szkoły rycerstwa; prawie że moglibyśmy powiedzieć, że był on naprawdę znakomitym, starszym gentlemanem – dopóki nie przestał być młody. Nawet Neron z początku cieszył się miłością ludu: i musiał być jakiś powód, dla którego owa słynna chrześcijanka rzuciła wiązankę kwiatów na jego wstrętny grób. Niemniej, duch wielkiego Hohenzollerna od swych pierwszych dni śmierdział stęchlizną grobu. Swoje pierwsze zwycięstwo odniósł on jak ktoś złamany już w przeszłości przez wiele porażek; jego moc była obdarta z ciała aż do samych kości i tak przerażająca, jak zmartwychwstanie kościotrupa; bo najgorsze, co mogło go spotkać – już go spotkało. Gmach jego królestwa wzniesiono na ruinach jego męskości. Znał najdalszy kraniec hańby; jego dusza uległa przemocy. Nie mógł on nigdy odpokutować za ten grzech; mógł go tylko ciągle odtwarzać i ciągle zań odpłacać. Mógł zniewalać dusze swoich żołnierzy przemocą szafotu i pręgierza; mógł zniewalać dusze innych narodów – przemocą swoich żołnierzy. Mógł tylko łamać ludzi, jak sam niegdyś został złamany; i choć mógł łamać innych, sam nie mógł się nigdy z niczego wy-łamać. Nie mógł zabić nikogo w przypływie gniewu, ani w ogóle grzeszyć w prostocie ducha. Dlatego też stoi on

zupełnie samotny pośród tego typu zwycięzców; ze swoim szaleństwem, które nie wynikało zaledwie z nieuporządkowania odwagi. Na długo nim posłyszał w duszy pierwszy podszept wojenny, położono w niej fundament jego zuchwalstwa – strach.

Na temat pracy, jaką wykonał na tym łez padole, nie trzeba za długo strzępić sobie języka. Była ona romantyczna – jeżeli szczytem romantyczności jest ta wersja legendy, w której smok pożera św. Jerzego. Przemienił mały kraj w wielki kraj; potężnym rozmachem swych kłamstw stworzył nowy rodzaj dyplomacji; wyniósł zbrodnię na nowy poziom, uwalniając ją od wszelkich niedomagań wypływających z niedbalstwa czy połowiczności. W rozkoszny sposób połączył zamożność i złodziejstwo. W jego wydaniu nawet najzwyklejsza w świecie grabież wyglądała tak solidnie, jak własność prywatna. Troszczył się o to, co ukradł, dokładnie tak samo, jak prostszego sortu ludzie troszczą się o to, co zarobili bądź odziedziczyli. Z odrażającą czułością zwracał swoje puste oczy na coraz to nowe terytoria, które potem nie bez oporu przechodziły pod jego panowanie: pod koniec wojny siedmioletniej nikt nie miał najbledszego pojęcia zarówno, jak można by go wyrzucić ze Śląska, jak i dlaczego w ogóle ktoś go tam kiedykolwiek wpuścił. W Polsce, niczym diabeł, który opętał człowieka, rozrywał na kawałki ciało, w którym mieszkał; było to jednak na długo zanim ktokolwiek myślał,

że w podobnie rozdarte członki wrócą jeszcze kiedyś do życia. Jego zerwanie z tradycją chrześcijaństwa nie ograniczało się także wcale do świata chrześcijańskiego; wielka jak świat generalizacja Macaulaya jest bardzo prawdziwa, mimo iż także bardzo Macaulayowska. Lecz choć, na dłuższa metę, rozsiewał on po całej ziemi ziarna nowej wojny, na jego ostatnie lata przypadł długi i stosunkowo pomyślmy okres pokoju; pokoju, o którym powiedziano już, być może słusznie, wiele dobrego; pokoju, z którego wiele ludów Europy naprawdę było zadowolonych. Bo choć Fryderyk nie rozumiał sprawiedliwości, potrafił zrozumieć umiarkowanie. Był on najszczerszym i najbardziej zepsutym spośród pacyfistów. Nie chciał żadnych nowych wojen. Zmaltretował i zrujnował wszystkich swoich sąsiadów; nie miał im tego jednak za złe.

Bezpośrednia przyczyna tej gwałtownej katastrofy, opowiedzenie się Anglii po stronie nowego tronu Hohenzollernów, wynikała, oczywiście, z polityki pierwszego Williama Pitta. Był on tym typem człowieka, w którym próżność i prostota za łatwo ulegają mocy rzeczy oczywistych. Nie widział on w europejskim kryzysie niczego prócz wojny z Francją; w wojnie z Francją zaś – niczego prócz powtórki z bezowocnych cokolwiek tryumfów pod Agincourt

i Malplaquet[9]. Należał do grona erastiańsko[10] nastawionych wigów, sceptycznych lecz wciąż zachowujących zdrowe zmysły, i ani nie dość dobrych, ani nie dość złych, by byli w stanie pojąć, że nawet w bezreligijnej zupełnie epoce każda wojna w ostatecznym rozrachunku zawsze okaże się wojną religijną. W całej jego istocie nie dałoby się znaleźć ani szczypty ironii; w stosunku do Fryderyka zaś, starego już w tamtym czasie jak sam świat, zachowywał się jak tak, jak na wzorowego ucznia przystało.

Niemniej, przyczyny bezpośrednie nie były w tym wypadku przyczynami jedynymi – ani prawdziwymi. Prawdziwe przyczyny łączyły się z tryumfem jednej z dwóch tradycji, które długo walczyły ze sobą o władzę nad Anglią. I żałośnie jest poniekąd nadmienić, że tradycja zagraniczna znalazła swoich reprezentantów w dwóch spośród najzdolniejszych ludzi tamtej epoki: Fryderyku Wielkim i Picie; podczas gdy to, co naprawdę stanowiło starą, rodzima tradycję

---

9 Bitwa pod Malplaquet – starcie, które miało miejsce 11 września 1709 roku podczas Hiszpańskiej Wojny Sukcesyjnej. Po jednej stronie stanęła armia francuska, po drugiej – siły angielskie, austriackie i holenderskie. Była iście pyrrusowym zwycięstwem koalicji antyfrancuskiej, która poniosła w niej dwukrotnie większe straty w ludziach, niż przegrani.

10 Termin pochodzi od imienia Tomasza Erastusa, angielskiego teologa z wieku XVI; zasadniczo „erastianizm” oznacza pogląd, wedle którego religia powinna zostać ściśle podporządkowana państwu.

Anglii, znalazło swoich reprezentantów w dwóch spośród najgłupszych ludzi, jakich ludzkość kiedykolwiek zechciała tolerować w całej swojej historii: Jerzym III i Lordzie Bute[11]. Bute był zwykłym figurantem, podstawionym przez grupę torysów, próbujących wcielić w życie mądrą, choć nieżyciową całkiem koncepcję „demokratycznej monarchii", zarysowaną przez Bolingbroke'a[12] w *Królu-patriocie. Z* całą szczerością skupiała się ona na ponownym zainteresowaniu ludzi tym, co zwykło nazywać się „sprawami wewnętrznymi" – tak wewnętrznymi, jak Jerzy III. Faktycznie mogłaby ona zatrzymać postęp korupcji parlamentów i grodzenia pól, przez samo tylko to, że odwróciłaby ona ich uwagę od zagranicznej chwały wigów typu Churchilla[13] i Chathama; i jednym jej podstawowych celów było zerwanie sojuszu z Prusami. Niestety, wszystkie malownicze elementy piractwa Poczdamu drastycznie przerastały możliwości wyobraźni Windsoru. Wszystkie prozaiczne

---

11 Jan Stuart, 3-ci hrabia Bute (1713-1790) – angielski polityk, nauczyciel Jerzego III, premier Wielkiej Brytanii w latach 1762-63.

12 Henryk John, wicehrabia Bolingbroke ((1678-1751) – angielski polityk, pisarz i filozof polityczny, torys i jakobita. Zwolennik równowagi demokratycznym elementem brytyjskiego ustroju politycznego a władzą królewską. Jego najważniejsze dzieło to przywoływany przez Chestertona *The Patriot King.*

13 Prawdopodobnie chodzi tu o Lorda Jana Churchilla (1650-1722) – angielskiego polityka i dowódcę wojskowego, uznawanego za jednego z najgenialniejszych wodzów świata, zasłużonego podczas Hiszpańskiej Wojny Sukcesyjnej; przodka Winstona.

natomiast elementy Poczdamu stały się już dawno częścią Windsoru; „ekonomia zimnej baraniny”, niezgrabny i ciężki gust artystyczny oraz przedziwna, północna mieszkanka grubiaństwa i etykiety. Gdyby idee Bolingbroke’a wcielał w życie ktoś z charakterem, jakiś Stuart, na przykład, albo choćby królowa Elżbieta (która, pomimo swej nieprawdopodobnej wulgarności, rzeczywiście miała charakter), dusza narodu miałaby szansę wyzwolić się ze swych nowych, północnych okowów. Niemniej, na ironię losu zakrawa fakt, że król, do którego torysi uciekali się w obronie przed germanizacją, sam był Niemcem.

Musimy zatem odnieść źródło wypływów niemieckich w Anglii do samego początku Sukcesji Hanowerskiej; potem zaś do sporu pomiędzy królem a prawnikami, który miał miejsce w Naseby[14]; a potem jeszcze – do momentu, w którym Henryk VIII opuścił w gniewie średniowieczne kolegium europejskich państw. Bardzo łatwo wyolbrzymić rolę, jaką odegrał w tym wszystkich ów wielki i ludzki, ale także bardzo spoganizowany człowiek, Marcin Luter. Henryk VIII naprawdę szczerze nienawidził herezji niemieckiego mnicha, jako iż w kwestiach teoretycznych król ten naprawdę był

14 Zapewne aluzja do bitwy pod Naseby, która miała miejsce w 1645 roku. Było to starcie między siłami króla Karola Suarta i wojskami parlamentu, dowodzonymi przez Tomasza Fairfaxa, zakończone porażką rojalistów.

katolikiem; i ci dwaj panowie napisali, zwalczając się wzajemnie, niezliczoną ilość tekstu, w znacznej mierze składającego się ze zniewag i wyzwisk, w obu wypadkach w znacznej mierze bardzo zasłużonych. Lecz Luter nie był luteraninem. Był on znakiem rozłamu w katolicyzmie; ale nie był budowniczym protestantyzmu. Te kraje, które stały się później zbiorowo i demokratycznie protestanckie, Szkocja, na przykład, i Holandia, przyjęły naukę Kalwina, a nie Lutra. Kalwin zaś – był Francuzem; nader niesympatycznym Francuzem, prawda, ale obdarzonym także nader francuską umiejętnością tworzenia oficjalnych instytucji, które naprawdę potrafią działać i mają jakąś dziwną bezosobową osobowość, jak monarchia *ancient regime'u* czy terror jakobinów. Luter był anarchistą, a zatem – marzycielem. Osiągnął coś, co, być może, na dłuższą metę stanowi najpełniejszą formę porażki; wyrobił sobie nazwisko. Kalwin osiągnął zaś tyle, że stworzył aktywną, władczą i represyjną instytucję, jaką jest szkocki Kirk. I jakże wiele mówi o nim fakt, że nawet swoją abstrakcyjną pracę z teologii zatytułował: „Instytucja".

W Anglii wszakże, pojawiły się elementy chaosu podobne osobowości Lutra raczej, niż Kalwina. Tym też tłumaczyć można wiele z tych wydarzeń naszej historii, które mogą wydawać się nieco zagadkowe, zwłaszcza zwycięstwo Cromwella - nie tylko nad angielskimi

rojalistami, ale i nad szkockim „kościołem przymierza”[15]. Stanowiło ono zwycięstwo bardziej beztroskiej formy protestantyzmu, która miała w sobie wiele elementów arystokratycznych, ale także wiele autentycznej wolności, nad ową logiczną ambicją Kirku, która – jeżeli to możliwe – uczyniłaby protestantyzm czymś równie konstruktywnym, co katolicyzm. Można je nazwać zwycięstwem protestantyzmu indywidualistycznego nad socjalistycznym. To właśnie miał na myśli Milton, gdy powiedział, że nowa instytucja prezbitera stanowiła tylko „hiperbolę” starej instytucji księdza; to jego *urząd* działał – i działał bardzo twardo. Wrogowie prezbiterian nie rzucali słów na wiatr, kiedy nazywali samych siebie „Niepodległymi”. Do dziś nie zrozumie Szkocji nikt, kto nie zda sobie sprawy, że wciąż zachowuje ona wiele ze swojej średniowiecznej sympatii do Francji, francuską równość, francuską wymowę łaciny i,

---

15 Oryg. *The Convenanters* – szkocki ruch religijno-polityczny o charakterze prezbiteriańskim, biorący swoją nazwę od „Narodowego Przymierza”, podpisanego przez szkockich arystokratów i duchownych w 1638 roku, a mającego na celu ochronę tożsamości religijno-politycznego szkockiego Kirku (w wypadku anglikanów i katolików oznaczało to okres dotkliwych prześladowań). Początkowo stojąc po stronie parlamentu, ale nie mogąc znaleźć z nim porozumienia ze względu na wielki rozmach swoich ambicji, „convenanters” ostatecznie doszli do porozumienia z Karolem II Stuartem i zostali, podobnie jak rojaliści, zmieceni z powierzchni ziemi przez Oliwera Cromwella.

jakkolwiek dziwnie mogłoby to brzmieć, w niczym nie jest równie francuska, jak w swoim prezbiterianizmie.

Tylko w tym luźnym i negatywnym sensie można powiedzieć, że za wielkimi współczesnymi błędami Anglii stał Luter. Teza ta jest prawdziwa tylko w tym sensie, że tak w Anglii, jak w Niemczech, bardziej miękka i mniej abstrakcyjna odmiana protestantyzmu okazała się użyteczna dla dworsko-arystokratycznych kompromisów polityki; jako iż każda abstrakcyjna doktryna służy w pewien sposób sprawie równości ludzi. Niemiecki luteranizm bardzo szybko przerodził się w to, czym jest dzisiaj – religię dworskich kapelanów. Zreformowany kościół Anglii stał się natomiast czymś lepszym; miejscem zatrudnienia dla młodszych potomków naszych możnych. Niemniej, te dwie paralelne tendencje, w całej swej sile i słabości, osiągnęły coś na kształt symbolicznej kulminacji w momencie, w którym średniowieczna monarchia ostatecznie upadła i angielscy arystokraci przekazali uszkodzoną i tracącą na znaczeniu koronę komuś, kto sam był właściwie nikim więcej, niż niemieckim arystokratą.

Trzeba pamiętać, że ówczesne Niemcy wykorzystywało się wtedy jako coś w rodzaju wylęgarni książąt. Mocą przedziwnego procesu dziejowego, rzeczy, które niszczeją, z czasem zmieniają się w swoje

dokładne przeciwieństwo. Tak też w Anglii purytanizm zaczął się jako najtwardsza ze wszystkich doktryn, a skończył jako najbardziej miękka; o nader miękkim sercu, a często także i miękkim mózgu. W dawnych czasach purytanin wznosił się na wojnie na wyżyny swoich możliwości; to podczas pokoju stawał się nie do zniesienia dla wszystkich przyzwoitych chrześcijan. Lecz ci ze współczesnych Anglików, którzy twierdzą, że są potomkami wielkich militarystów roku 1649, odnoszą się do militaryzmu z najwyższym przestrachem. W Niemczech ten zwrot dokonał się w przeciwnym kierunku. Z kraju, który kiedyś ceniono za to, że dostarczał w dużej ilości królów na tyle małych, że mogli służyć jako zapchajdziury, wziął się współczesny koszmar monarchy-giganta, pragnącego pożreć wszystkich innych monarchów ziemi. Niemniej, stare niemieckie królestwa zachowywały, nie bez zachęty ze strony innych państw, wszystkie te dobre rzeczy, które łączą się z małą wagą interesów i wyrazistością granic: muzykę, etykietę, marzycielską filozofię i tak dalej. Były one na tyle małe, że mogły być także uniwersalne. Mogły pozwolić sobie na szerokość horyzontów i wielość punktów widzenia. Cechowała je bezstronność bezsilności. Wszystko to całkowicie się dzisiaj odwróciło, i oto toczymy wojnę z Niemcami, których potęga jest największa, a horyzonty - najwęższe na świecie.

Prawdą jest, rzecz jasna, że angielscy możnowładcy umieścili się w hierarchii ważności powyżej tego niemieckiego księcia raczej, niż poniżej. Włożyli mu koronę na głowę tylko po to, aby ugasić pożar. To, że nowo przybyły, choć królewskiego pochodzenia, był niemalże wieśniakiem, stanowiło część planu. Hanower miał stać się dominium angielskim, a nie Anglia – hanowerskim. Niemniej, fakt, że nasz dwór stał się w związku z tym dworem niemieckim, by tak rzec, przygotował grunt; angielska polityka już wtedy podświadomie zaangażowała się na dwa wieki w proces umniejszania historycznego znaczenia Francji, łączący się jednocześnie z niepojętym wyolbrzymianiem historycznego znaczenia Niemiec. Ten okres naszej historii można symbolicznie ulokować między dwoma momentami, z Janem Carteretem[16], szczycącym się swoją biegłością w niemczyźnie u jego początku i Lordem Haldanem[17], szczycącym się swoją biegłością w niemczyźnie u jego końca. Już wtedy wyraz „kultura" zaczyna się niemal pisać jako „Kultur". Wszakże cały ten pokojowy i powolnie rozwijający się teutonizm wszedł w fazę przesilenia i świadomej decyzji dopiero wtedy, gdy

16 Jan Carteret (1690-1763) – angielski arystokrata, dyplomata i polityk o bardzo proniemieckim nastawieniu.

17 Ryszard Haldane (1856-1928) – angielski polityk, prawnik i filozof, członek partii Liberalnej, usunięty z rządu angielskiego w 1915 roku z powodu oskarżeń o sympatyzowanie z Niemcami.

wielki głos premiera Pitta wezwał nas, niczym trąba z niebios, byśmy pośpieszyli z pomocą „Protestanckiemu Bohaterowi”.

Spośród wszystkich monarchów tej bezbożnej epoki, tym, kto najbardziej przypominał prawdziwego mężczyznę, była kobieta. Maria Teresa z Austrii była Niemką szlachetniejszego typu, ograniczoną z punktu widzenia domu raczej, niż narodu, trwającą mocno w owej starej wierze, z której tak wyśmiewał się jej własny dwór, i tak waleczną, jak młoda lwica. Fryderyk jej nienawidził – jak nienawidził wszystkiego, co niemieckie i wszystkiego, co dobre. Napisał on w swoich osobistych pamiętnikach, z jasnością, która nadaje nieprzeniknionej nikczemności jego charakteru niemal jakąś cechę nadludzką, że ze względu na jej młody wiek, niewielkie doświadczenie i brak przyjaciół, uważał ją za bardzo łatwy cel swoich grabieży. Zaatakował Śląsk zanim oficjalnie wypowiedział jej wojnę (jak gdyby pobiegł ją uprzedzić, że niedługo to zrobi) i ta nowa, anarchiczna sztuczka, wespół z zepsuciem większości dworów, po dwóch śląskich kampaniach powiększyła majątek tego złodzieja o nowe, smakowite łupy. A jednak – Maria Teresa nie chciała podporządkować się niemoralności dziewięciu paragrafów prawa. Przy pomocy mieszanki próśb i ustępstw na rzecz Francji, Rosji i innych mocarstw, stworzyła coś, co w porównaniu z wojskami ateistycznego innowatora, nawet w tej ateistycznej epoce, musiało

przypominać poniekąd zjawę zmarłych krucjat. Gdyby krucjata owa rzeczywiście była powszechna i szczera, nowoczesny precedens tryumfu nagiej siły i spisku zostałby zniweczony; i cały straszliwy sąd nad chrześcijaństwem, który właśnie się dokonuje, nigdy by na nas nie spadł. Lecz gorliwość innych krzyżowców o Europę była ledwie połowiczna; gorliwość Fryderyka o Prusy zaś – ogromna; i wytrwale szukał on w tej walce sojuszników, którzy pomogliby my zdusić zupełnie to słabe przebudzenie sił dobra i utwierdzić na wieczność jego twardą jak diament pychę. Sojusznikami, których sobie znalazł, byli Anglicy. I nie jest przyjemnie Anglikowi pisać te słowa.

Tak właśnie przebiegł pierwszy akt tej tragedii – i tutaj też możemy wreszcie rozstać się z Fryderykiem Wielkim; bo z nim już skończyliśmy – choć z jego ciężką pracą: nie. Wystarczy dodać tutaj jeszcze tylko tyle, że gdybyśmy określili jego późniejsze działania mianem „satanicznych”, nie byłaby to obelga, ale naukowa charakterystyka teologiczna. Był kusicielem. Zmusił innych monarchów, aby mieli wespół z nim „uczestnictwo w ciele Polski” i zasmakowali, czym jest czarna msza. Polska leżała zdruzgotana przed trzema olbrzymami w stalowych zbrojach, i jej imię stało się synonimem klęski. Prusacy, ze swoją zwykłą i podziwu godną wielkodusznością, wygłaszali wykłady o wadach dziedzicznych

zamordowanego przez nich człowieka. Nie dostrzegali życia, wciąż tlącego się w tych biednych członkach; i dużo czasu jeszcze musiało upłynąć, zanim zrozumieli swój błąd. W dniu, kiedy to się stało, pięć różnych narodów miało mieć uczestnictwo nie w polskim ciele – ale w polskim duchu; i wyspy zachodu posłyszały nareszcie z oddali głos trąby, obwieszczający w Warszawie zmartwychwstanie ludów.

Rozdział III – Zagadka Waterloo

Ów wielki Anglik, Karol Fox, człowiek tak prominetnie narodowy, jak sam admirał Nelson, dokonał swego żywota w głębokim przekonaniu, że to Anglia stworzyła Napoleona. Nie chodziło mu, rzecz jasna, o to, że jakikolwiek inny kanonier włoskiego pochodzenia poradziłby sobie równie dobrze; chodziło mu o to, że zmuszając Francuzów, by wycofali się, by tak rzec, aż na pozycje swojej artylerii, w sposób konieczny zrobiliśmy z najważniejszego spośród francuskich artylerzystów najważniejszego spośród francuskich obywateli. Gdyby Republikę Francuską zostawiono samej sobie, prawdopodobnie poszłaby ona w ślady innych tego typu idealistycznych eksperymentów; i wychwalała pokój na równi z postępem i równością. Prawie na pewno zimno i podejrzliwie spoglądałaby na każdego awanturnika, który zdawałby się chętny zastąpić swoją osobowością czystą bezosobowość suwerennego ludu; i za najbardziej naturalny owoc republikańskiej czystości uznałaby dostarczenie takiemu Cezarowi jego osobistego Brutusa. Jeżeli jednak to, że jakiś jeden obywatel mógłby zagrozić nowej równości społecznej, było dla Francuzów czymś niepożądanym, to, że jakiś obcokrajowiec mógłby jej po prostu zakazać, było dla nich czymś zwyczajnie nie do przyjęcia. Gdyby Francja nie uregulowała szybko swoich relacji z francuskimi żołnierzami, w niedługim czasie

musiałaby regulować swoje relacje z austriackimi żołnierzami; i absurdem byłoby, gdyby – zdecydowawszy się już polegać na żołnierskim rzemiośle – ograniczyła ona możliwości działania najlepszemu spośród francuskich żołnierzy, nawet jeżeli przypadkowo nie był on Francuzem. Tak więc niezależnie od tego, czy uważamy Napoleona za bohatera, który uratował ten kraj od zguby, czy tyrana, który wykorzystał do swych celów panujący w nim wtedy radykalizm, jasne jest, że ci, którzy wywołali wojnę, odpowiadają także za pojawienie się wodza wojennego; i że ci, którzy chcieli zniszczyć republikę, tak naprawdę stworzyli cesarstwo. Fox występował zatem przynajmniej przeciwko owemu znacznie mniej angielskiemu w swojej istocie typowi snoba, który łajałby go na pewno za rzekomy brak patriotyzmu; i oskarżał rząd premiera Pitta o to, że dołączając do antyfrancuskiej koalicji, przeważył szalę zwycięstwa na korzyść militarystycznego modelu Francji. Niezależnie jednak od tego, czy miał on rację, czy nie, byłby on również najbardziej ze wszystkich ludzi na świecie gotów zaświadczyć, że to nie Anglia jako pierwsza skoczyła do gardła młodej republice. Istniała bowiem wtedy w Europie siła znacznie większa i bardziej nieokreślona – i to ona wcześniej zdecydowała się jej przeciwstawić. Kto zatem pierwszy poszedł na tę wojnę – i kto właściwie stworzył Napoleona? Odpowiedź może być tylko jedna: Niemcy. Taki jest właśnie drugi akt dramatu o filogermańskiej degeneracji Anglii. I zawiera on w sobie pewien bardzo istotny wątek;

ten mianowicie, że Niemcy oznaczały wtedy *całe* Niemcy, dokładnie tak, jak dzisiaj. Barbarzyństwo Prus i głupota Austrii zmieszały się w jedno. Brak litości i brak rozumu spotkały się ze sobą; ucałowały się nieprawość i niedorzeczność; a kusiciel i kuszony połączyli siły. Wielka i dobra Maria Teresa była już bardzo wiekowa. Miała syna – filozofa ze szkoły Fryderyka Wielkiego; a także córkę, której losy potoczyły się jednak szczęśliwiej – ścięto ją bowiem na gilotynie. Niewątpliwie, fakt, że jej brat i krewni nie byli zadowoleni z takiego obrotu sprawy, był czymś zupełnie naturalnym; wydarzyło się to wszakże dopiero długo po tym, jak Germanie rzucili przeciw nowej republice całą swoją potęgę. Ludwik XVI sam jeszcze żył i, nominalnie przynajmniej, rządził wtedy, gdy pojawiły się ze strony Prus i Austrii pierwsze naciski, mające zawrócić Francję z jej drogi wyzwolenia. Nie da się zatem zaprzeczyć, że tym, co zjednoczeni Germanie pragnęli zniszczyć, była nie Rewolucja nawet, ale sama tylko reforma. Rola, którą odegrał w tym wszystkim Józef I, ma znaczenie iście symboliczne. Jako iż był on tym, kogo określa się współcześnie mianem „oświeconego despoty" – czyli despotą absolutnie najgorszego gatunku. Był również tak bezreligijny, jak sam Fryderyk Wielki, nie tak wszakże odrażający – ani nie tak zabawny. Stara i przyjemna austriacka rodzina, w której Maria Teresa pełniła funkcję kochającej matki, a Maria Antonina – raczej nie najlepiej wykształconej córki, została już do tego momentu doszczętnie zdominowana i zawłaszczona przez uschłego cokolwiek młodzieńca,

samouka, który własnymi siłami zgłębił tajniki pruskiej skuteczności. Igła kompasu coraz bardziej odchyla się już wtedy w kierunku północnym. Prusy zaczynają pełnić rolę odzianego „w lśniącą zbroję” wodza wszystkich Germanów. Austria zaś – ich wiernego *Sekundant.*

Pozostała jednak między Austrią a Prusami jedna przynajmniej różnica, która miała uwydatniać się coraz bardziej i bardziej w miarę, jak młody Napoleon wbijał się pomiędzy te kraje niczym ostry klin. Różnicę ową można wyrazić najkrócej mówiąc, że Austrii naprawdę, w jakiś barbarzyński i bezsensowny sposób, zależało na Europie; Prusom wszakże zależało wyłącznie na Prusach. Austria nie jest narodem; nie da się znaleźć Austrii na mapie. Lecz Austria *jest* swego rodzaju imperium; Świętym Cesarstwem Niemieckim, które nigdy nie nastało – ciągle ogromniejącym i zobowiązującym do czegoś marzeniem. Rzeczywiście poczuwa się ona, w jakimś niejasnym i patriarchalnym sensie, do przywództwa – nie nad narodem, ale nad narodami. Przypomina umierającego cesarza upadającego Rzymu; który choć wie, że rzymskie legiony opuściły już Brytanię i Partię, czuje jednak również i wciąż, i mimo wszystko, że ich obecność w tych krajach była także czymś zupełnie naturalnym, tak jak w wypadku Sycylii czy Galii Południowej. Nie twierdzę, że sędziwy Franciszek Józef wyobraża sobie, że jest cesarzem Danii czy Szkocji;

wydaje mi się jednak, że gdyby zdarzyło mu się rządzić naraz tak Szkotami, jak Duńczykami, nie uznałby tej sytuacji za rzecz bardziej niestosowną od faktu, że rządzi obecnie tak Polakami, jak Węgrami. Ów austriacki kosmopolityzm ma w sobie jakiś ślad po wzajemnej odpowiedzialności krajów chrześcijaństwa. I to właśnie odpowiadało za różnicę, jaka zachodziła między poczynaniami Austrii, a tymi, które stały się udziałem na wskroś egoistycznego awanturnika z północy – dzikiego psa Pomeranii.

Można zasadnie utrzymywać, jak zresztą zaczął utrzymywać z czasem sam Fox, że w swoich ostatnich latach Napoleon stał się tak naprawdę wrogiem wolności, w tym sensie, że stał się on wrogiem owej bardzo szczególnej i szczególnie okcydentalnej formy wolności, którą nazywamy nacjonalizmem. Opór, który stawili mu Hiszpanie, na przykład, z całą pewnością był w swojej istocie ludowy. Miał w sobie ową przedziwną, opóźnioną i utajoną siłę, z którą lud prowadzi wszystkie swoje wojny. Łatwo było temu zdobywcy wkroczyć do Hiszpanii; problemy zaczęły się wtedy, gdy chciał ją opuścić. Był to jeden z wielkich paradoksów historii: że ten sam człowiek, który stworzył z motłochu armię mogącą dochodzić swych praw wobec królów i książąt, miał ostatecznie ponieść porażkę nie z rąk książąt i królów, ale motłochu. Czymś równie pewnym jest bowiem także fakt, że na drugim końcu Europy, pośród płonącej

zabudowy Moskwy i na moście w Berezynie, jego prawdziwym wrogiem okazała się dusza miejscowego ludu – podobnie jak samo miejscowe niebo. Wszystko to jednak nie ma żadnego znaczenia dla pierwszych wielkich punktów sporu, które pojawiły się na długo zanim odziani w niemieckie mundury kawalerzyści bezowocnie wypatrywali króla Ludwika pod Varennes lub utknęli na owym błotnistym stoku pod wiatrakiem w Valmy[18]. I w pojedynku owym, od którego zawisło wszystko to, czym Europa miała się później stać i czym dzisiaj jest, wielka Rosja, rycerska Hiszpania i nasza własna, wspaniała wyspa, odgrywały wyłącznie rolę sekundantów. Pojedynek ów, na początku, na końcu i na wszystkie wieki, był pojedynkiem między Francuzem i Niemcem; to znaczy: między obywatelem i barbarzyńcą.

Nie trzeba już dzisiaj bronić Rewolucji Francuskiej, nie trzeba bronić Napoleona, jej syna i szermierza, przed krytyką w stylu Southeya[19]

18 Aluzja do bitwy pod Valmy, która odbyła się 20 września 1792 roku. Wzięły w niej udział siły francuskie i pruskie, a zakończyła się ona zwycięstwem Francuzów.

19 Robert Southey (1774-1843) – angielski poeta, eseista i, m.in., podróżnik. Jego poglądy polityczne ewoluowały od płomiennego jakobinizmu do brytyjskiego konserwatyzmu torysów.

i Alisona[20], która już wtedy nawet miała w sobie więcej z atmosfery Bath i Cheltenham niż Tourcoing[21] i Talavery[22]. Rewolucję Francuską atakowano dlatego, że była demokratyczna i broniono jej dlatego, że była demokratyczna; i Napoleona nie obawiano się jako ostatniego z żelaznych despotów, ale jako pierwszego z żelaznych demokratów. Co Francja chciała udowodnić, to i udowodniła; nie to, że zwykli ludzie wszyscy są aniołami, czy dyplomatami czy gentlemanami (jako iż te niedorzeczne, arystokratyczne iluzje nigdy nie stanowiły części teorii jakobińskiej), ale to, że wszyscy zwykli ludzie mogą stać się obywatelami i wszyscy oni mogą stać się żołnierzami; że zwykli ludzie potrafią walczyć i potrafią rządzić. Nie ma żadnej potrzeby mieszać tej sprawy z owymi wybrykami niezdarnego modernizmu, które zamieniły obywatelski zdrowy rozsądek w zwyczajny nonsens. Niektórzy ze zwolenników wolnego handlu wydają się pozbawiać ludzi jakiegokolwiek kraju, za który mogliby walczyć; niektórzy ze zwolenników wolnej miłości wydają się pozbawiać ich

---

20 Sir Archibald Alison (1792-1867) – szkocki adwokat i historyk, wielki zwolennik torysowskiego konserwatyzmu, autor niezmiernie poczytnej książki *Historia Europy od początków Rewolucji Francuskiej do restauracji Bourbonów.*

21 Bitwa pod Tourcoing: starcie armii Republiki Francuskiej i koalicji państw niemieckich, które miało miejsce w 1794 roku i zakończyło się zwycięstwem Francuzów.

22 Prawdopodobnie aluzja do bitwy pod Talaverą z 1809 roku, w której starły się ze sobą siły koalicji hiszpańsko-angielskiej oraz francuskimi siłami króla Józefa Bonaparte.

jakiegokolwiek domu, w którym mogliby rządzić. Niemniej, podobne pomysły nie zostały zrealizowane ani we Francji, ani gdziekolwiek indziej. To, co rzeczywiście udało się wywalczyć to nie wolny handel, ani wolna miłość – lecz Wolność; i nigdzie nie ma ona charakteru tak patriotycznego i tak rodzinnego, jak w kraju, z którego wzięła swój początek. Francuscy ubodzy nie kochali swojej ziemi mniej tylko z tego względu, że musieli się nią podzielić. Nawet patrycjusze są tam patriotami; i jeśli nawet niektórzy spośród uczciwych rojalistów czy arystokratów ciągle jeszcze powtarzają, że demokracja nigdzie nie umie się organizować i nikomu nie umie być posłuszna, oni sami są jednak przez ową demokrację organizowani i są jej posłuszni, czy to w szlachetnym życiu, czy w bohaterskiej śmierci, od Szwajcarii aż po ocean.

Na korzyść Austrii wszakże, a tym bardziej na korzyść Rosji, można powiedzieć natomiast przynajmniej tyle; że francuski ideał republikański był niekompletny, one zaś miały, w dalekim od czystości, ale wciąż jak najbardziej realnym, a wręcz popularnym, sensie, to, co było potrzebne do jego uzupełnienia. Czar nie był demokratą – był jednak humanitarystą. Chrześcijańskim pacyfistą; bo każdy Rosjanin ma coś z Tołstoja. Mówienie o „Białym Carze" to nie taka zupełna fantazja; bo dla Rosji nawet zniszczenie odznacza się jakąś śmiertelną miękkością, przypominającą śnieg. Jej idee

częstokroć są niewinne, a nawet dziecinne; jak choćby idea Pokoju. Sformułowanie „Święte Przymierze” stanowiło dla cara pewną piękną prawdę, mimo tego, że dla jego łajdackich sojuszników, Metternicha i Castlereagha[23], był to jedynie bluźnierczy żart. Austria, choć popadła niedługo wcześniej w fatalny i cokolwiek zdradziecki zwyczaj flirtowania z pogańską Turcją i pogańskimi Prusami, wciąż nosiła w sobie coś ze starego pocieszenia, jakie przynosił duszy katolicyzm. Jej księża wciąż jeszcze dawali świadectwo owej potężnej, średniowiecznej instytucji, nawet przez swoich wrogów uważanej za szlachetny koszmar. Zachowali godność nawet pomimo wszystkie swoje wiekowe, polityczne niegodziwości. Jeżeli rzeczywiście zaćmiewali słońce na niebie, przystrajali je również w piękne barwy szat czy aureoli świtu; jeżeli rzeczywiście dawali ludziom tylko chleb i kamienie, rzeźbili na tych kamieniach piękne oblicza i wypisywali fascynujące opowieści. Jeżeli sprawiedliwość widziała na ich haniebnych szafotach śmierć setek niewinnych skazańców, wciąż mogli oni powiedzieć, że śmierć tych ludzi miała w sobie więcej nadziei, niż życie poganina. Jeżeli nowe światło dnia odsłoniło przed światem ohydne męki, które zadawali innym, wciąż trwała w ich

23 Robert Stewart, wicehrabia Castlereagh (1769-1822) – angielski polityk i dyplomata, o nastawieniu bardzo konserwatywnym (jego działania walnie przyczyniły się do ostatecznego zjednoczenia wrogów Napoleona i wszystkiego, co w związku z tym nastąpiło). Niechęć Chestertona do tego polityka może łączyć się z faktem, iż Castlereagh odegrał ważną rolę w tłumieniu Rewolucji Irlandzkiej z 1798 roku.

ciemnościach jakaś słaba pamięć o tym, że są to męki czyśćca, a nie, jak w wypadku tych, które organizowali bezwstydnie w biały dzień paryscy i pruscy sataniści, męki samych piekieł. Głosili oni prawdę wciąż jeszcze bliską ludzkiej naturze; jako iż zaiste, ziemia bez nieba nie jest nawet ziemią, tak jak bez nieba nie może być pejzażu. I nie ma miejsca dla człowieka we wszechświecie bez Boga.

Można zatem zasadnie twierdzić, że niezależnie od wszystkiego w pewnym momencie stary świat i nowy świat musiały popaść w konflikt; choćby tylko z tego powodu, że horyzonty starych ludzi są zawsze szerokie, młodych zaś – zawsze wąskie. Kościół nauczył się, nie na końcu, ale na początku swojego istnienia, że pogrzeb Boga to rzecz zawsze przedwczesna. Trąbki wojsk Bonapartego rzeczywiście tchnęły nowe życie w całą żyjącą w tamtej przelotnej chwili część ludzkości – Kościół mógł jednak zadąć wtedy w ową jeszcze bardziej rewolucyjną trąbę, która ożywi kiedyś na powrót całą wielką demokrację umarłych. Jeżeli jednak nawet zgodzimy się przyjąć, że starcie nowej republiki ze świętą Rosją i Świętym Cesarstwem Rzymskim było nieuniknione, pozostaną nam jeszcze dwie europejskie potęgi, które, na dwa różne sposoby i działając z dwóch bardzo różnych motywów, współokreśliły ostateczny układ sił. Ani jedna, ani druga, nie miała w sobie choćby krztyny katolickiego mistycyzmu. Ani jedna, ani druga, nie miała w sobie choćby krztyny

jakobińskiego idealizmu. Ani jedna, ani druga zatem, nie miała żadnego prawdziwego, moralnego powodu, aby w ogóle wziąć udział w tej wojnie. Jedną z nich była Anglia, drugą zaś – Prusy.

Można bardzo zasadnie argumentować, że Anglia musiała walczyć, aby utrzymać kontrole nad portami Morza Północnego. Równie zasadnie można argumentować, że gdyby opowiedziała się po stronie Rewolucji Francuskiej z takim samym zapałem, z jakim opowiedziała się ostatecznie przeciwko niej, uzyskałaby – choć inną drogą – dokładnie takie same korzyści. Pewne jest, że Anglia nie pozostawała w żadnej koniecznej komunii z orężem i torturami kontynentalnych tyranii, i że stała wtedy na skrzyżowaniu dróg. Faktycznie, panował w Anglii ustrój arystokratyczny, niemniej – o liberalnym charakterze; i idee, które kiełkowały wtedy wśród przedstawicieli jej klasy średniej były dokładnie tymi samymi ideami, które stworzyły Amerykę i właśnie na nowo stwarzały Francję. Najzagorzalsi jakobini, jak choćby Danton, zaczytywali się w dziełach angielskich liberałów. Nasz lud nie miał religii, za którą mógłby walczyć, jak lud rosyjski, czy wandejski. Nasz pastor nie był już ani księdzem, ani małym posiadaczem ziemskim. Ta wielka pustka w naszej ziemi zdążyła już do tego czasu uczynić snobizm jedyną religią Anglii Południowej; i zmienić bogaczy w pewnego rodzaju mitologię. Ogólny skutek tego wszystkiego można bardzo dobrze podsumować

przykładem owego bardzo kulturalnego skrótu, dzięki któremu nasza ludność wiejska mówi „pańskie ziele" na to, na co dawniej mówiła „ziele Naszej Pani"[24]. Opuściliśmy względnie demokratyczny zwrot „nasza", a zatrzymaliśmy arystokratyczne odniesienie do „pańskości". Anglia Południowa ciągle jest, jak nazywano ją w średniowieczu, ogrodem; ale ogrodem, w którym rośnie głównie roślina określana jako „panie i panowie"[25].

Stawaliśmy się coraz bardziej i bardziej zaściankowi – nawet w kwestiach naszych kontynentalnych kampanii; staliśmy na naszej wyspie, niby na jakimś zakotwiczonym okręcie. Nigdy nie myśleliśmy o tym, co Nelson robił w Neapolu, ale na wieki wieków wyłącznie o tym, co robił pod Trafalgarem; i nawet wymowę tej hiszpańskiej nazwy udało się nam przekręcić. Lecz nawet jeśli uważamy, że nasz pierwszy atak na Napoleona był z narodowego punktu widzenia koniecznością, ogólna tendencja pozostaje niezmieniona. Opowieść ta zmienia się tylko z tragedii wyboru w tragedię przypadku. Tragedia zaś polegała na tym, że po raz drugi w dziejach, szliśmy do boju ramię w ramię z Niemcami.

---

24 Oryg. *Our Lady's Bedstraw* – po polsku przytulia.

25 Oryg. *Lords and ladies* – jest to potoczne określenie angielskie dla bardzo trującej rośliny o wdzięcznej nazwie „obrazki plamiste".

Jeżeli jednak Anglia walczyła wyłącznie o pewien kompromis, Prusy walczyły wyłącznie o pewną negację. Były one i są, w najpełniejszym tego słowa znaczeniu, duchem, który zaprzecza. Fakt, że walczyły z Napoleonem przeciwko wolności jest równie pewny, jak to, że z Marią Teresą walczyły przeciwko religii. *Za co* jednak właściwie walczyły – nie bardzo potrafiłyby chyba komukolwiek powiedzieć. W najlepszy wypadku – za Prusy; w najgorszym – za tyranię. Płaszczyły się przed Napoleonem po tym, jak je pokonał i sprytnie zmieniły stronę po tym, jak odważniejsze narody pokonały Napoleona. Zobowiązały się restaurować dynastię Bourbonów i starały się ich podczas tej restauracji obrabować. Na własną rękę zniweczyłyby tę restaurację kolejną rewolucją. Jako jedyne w całej tej wielkiej agonii ludów, nie miały ni jednej gwiazdy przewodniej jednego chociaż, samotnego ideału, który mógłby rozświetlić głęboką noc ich nihilizmu.

Rewolucja Francuska ma jedną cechę, którą wyczuwają wszyscy ludzie świata; i którą można określić jako nagłą starożytność. Jej klasycyzm był czymś więcej, niż tylko czczą gadaniną. Kiedy się już wydarzyła, wydawało się, jakby wydarzyła się tysiąc lat temu. Przemawiała w przypowieściach; w mocy klangoru włóczni i straszliwej czapki frygijskiej. Niektórym wydawało się, że

przeminęła tak prędko, jak wizja proroka; a jednak, wydawała się również tak wieczna, jak marmur posągów. I trudno było myśleć o najbardziej niezłomnych spośród jej bohaterów inaczej, niż jako o nagich siłaczach antycznej Grecji. Gdy przypominamy sobie, że wydarzyła się ona tak niedawno, że parasole były już w tamtym czasie modne i że pojawiały się już wtedy pierwsze modele cylindrów, zawsze stanowi to jakiś rodzaj komicznego szoku. I ciekawa to rzecz, przydająca kompletności owemu poczuciu, że wszystko to przyszło jakby spoza świata, że pierwsze i ostatnie z jej wielkich czynów militarnych to przede wszystkim symbole; i gdyby nie ów wizyjny charakter, byłyby one zupełnie daremne. Zaczęła się ona od zajęcia praktycznie pustego więzienia zwanego Bastylią; i zawsze myślimy o tym jako o początku Rewolucji, nawet mimo to, że prawdziwa Rewolucja zaczęła się dopiero jakiś czas później. Skończyła zaś – wtedy, gdy Wellington i Blucher spotkali się na polu walki w 1815 roku; i zawsze myślimy o tym wydarzeniu jako o ostatecznej porażce Napoleona; nawet mimo tego, że Napoleon przegrał faktycznie już znacznie wcześniej. I wyobraźnia ludowa nie myli się w tym wypadku, podobnie jak w wypadku większości tego typu spraw; jako iż motłoch naprawdę jest artystą – choć żaden z niego naukowiec. Uczestnicy zamieszek 14 lipca nie wsadzili do Bastylii nowych więźniów, ale rzeczywiście wypuścili tych, którzy w niej byli. Napoleon, podczas swojego powrotu, naprawdę był już tylko *revenant,* czyli, innymi słowy, duchem. Lecz Waterloo stanowiło

wydarzenie tym bardziej ostateczne, że było zarówno widmowym zmartwychwstaniem, jak i drugą śmiercią. I drugi z tych wypadków ma także inne jeszcze elementy, o wymowie jeszcze bardziej osobliwej i symbolicznej. Owa przedziwna i rozdwojona bitwa, która poprzedziła Waterloo, przypominała rozdwojoną osobowość z marzenia sennego. I w dziwny sposób odpowiadała również rozdwojeniu umysłowemu Anglików. Łączymy wydarzenia spod Quatre Bas[26] ze sprawami tak romantycznie angielskimi, że balansującymi niemal na granicy sentymentalizmu: z Lordem Byronem i „Czarnym korpusem" Millaisa. W naturalny sposób cieszymy się, że Wellington wygrał z Neyem. W żaden sposób nie cieszymy się jednak, że Blucher wygrał z Napoleonem. Niemcy wielokrotnie skarżyły się, że często nie poświęcamy wiele uwagi temu, że pruscy żołnierze byli obecni w decydującym momencie bitwy. I bardzo zasadnie możemy tak czynić. Bo nawet w tamtych chwilach targało nami w związku z tą sprawą nie tylko uczucie zazdrości, lecz także, w znacznej mierze, wstydu. Wellington, najbardziej ponury i najbardziej chyba nieprzyjemny spośród wszystkich torysów, pozbawiony wszelkiej sympatii dla Francuzów i niemal wszelkiej dla człowieka, opisywał swoich pruskich

---

26 Wszystko to stanowi aluzję do dwóch bitew – po Ligny i po Quatre Bas, stoczonych tego samego dnia, 16 lipca 1815 roku, trzy dni przed bitwa pod Waterloo; pod Ligny siły Napoleona walczyły z Prusakami, pod Quatre Bas – z Anglikami Wellingtona.

sojuszników z najzwyklejszym obrzydzeniem. Peel, największy spośród torysów fircyk i snob, wychwalający pod niebo „naszych mężnych sprzymierzeńców”, w swym oziębłym, oficjalnym przemówieniu, po prostu nie mógł powstrzymać cierpkich słów na temat tego, w jaki sposób zachowywali się żołnierze Bluchera. Przedstawiciele naszej klasy średniej dobrze robili, przyozdabiając swoje salony obrazami *Spotkania Wellingtona z Blucherem.* Powinni tylko dowiesić do nich pewne uzupełnienie, na którym Piłat i Herod podawaliby sobie dłonie. Potem, po owym spotkaniu pośród popiołów Hougomont[27], mniemając w rozmarzeniu, że udało się im zadeptać ostatnie z ledwie żarzących się węgielków demokracji, Prusacy poszli w swoją drogę, postępując według swego gatunku. Za nimi, podążył pochodzący z przepełnionej goryczą irlandzkiej ziemi, arystokratyczny ironista – my zaś wiemy już, co sobie wtedy myślał; i Blucher – jego myśli nas jednak nie obchodzą; i jego żołnierze wkroczyli do Paryża – i skradli stamtąd miecz Joanny z Arc.

27 Duże gospodarstwo w pobliżu Waterloo.

Rozdział IV – Nadejście janczarów

Świętej pamięci Lord Sailsbury[28], smutny i obdarzony wielkim poczuciem humoru człowiek, wygłosił w swoim czasie wiele poważnych i publicznych twierdzeń, które okazały się zgubne i fałszywe – a także wiele twierdzeń zupełnie prywatnych i frywolnych, które były bardzo wartościowe – i powinny stać się nieśmiertelne. Na przykład, starł on kiedyś w proch skostniałą i błędną psychologię „reform społecznych", głoszącą, jakoby Anglicy upijali się ze względu na to, że w ich kraju znajduje się za dużo pubów, mówiąc, że jakkolwiek w Hatfield znajduje się bardzo wiele sypialni, nigdy nie zauważył, żeby robił się przez nie jakoś szczególnie śpiący. Ze względu na samo to można wybaczyć mu przykry zwyczaj gadania o „żywych i martwych narodach"; mimo iż narody umierają dokładnie ze względu na tego typu gadanie. W podobnym duchu, zaliczył on naród irlandzki do „celtyckich frędzli", doszytych do zachodnich rubieży angielskiego płaszcza. Wystarczy chyba w związku z tym nadmienić, że póki co, frędzle owe są tutaj znacznie obszerniejsze, niż cała reszta szaty. Lecz straszliwa satyra czasu bardzo skutecznie pomściła na nim irlandzkie krzywdy, w znacznej części posługując

28 Robert Gascoyne-Cecil, 3-ci markiz Sailsbury (1830-1903) – angielski polityk konserwatywny (następca Beniamina Disraelego na stanowisku szefa partii), premier Wielkiej Brytanii w latach 1885-86, 1886-92, 1895-1902.

się do tego inną częścią naszego pięknego odzienia, którą z pogardą niemal cisnął był wcześniej w odmęty Morza Północnego. Nazywa się ona Helgoland; i Lord Sailsbury oddał ją Niemcom.

Późniejsza historia leżących po dwóch stronach Anglii wysp to rzecz sama w sobie wystarczającą ironiczna. Gdyby Lord Sailsbury przewidział, co takiego stanie się zarówno z Helgolandem, jak Irlandią, być może, że nie przespałby już w Hatfield ani minuty – czy to w jednej sypialni, czy w setce. Na wschodniej z tych wysp, umocnił on ową potężną fortecę, której żołnierze mieli zostać pewnego dnia wezwani do tego, aby nas zniszczyć. Na zachodniej – osłabił inną potężną fortecę, której żołnierzy sami mieliśmy wezwać pewnego dnia na ratunek. Tego właśnie dnia miał ruszyć z Zatoki Helgolandzkiej na nasze okręty i łodzie jego zaufany sojusznik, Wilhelm Hohenzollern; i tego właśnie dnia, jego stary i więziony przezeń kiedyś wróg, Jan Redmond[29], miał powstać nagle w godzinę angielskiej zguby i bez krztyny przymusu ofiarować nam, wśród

29 Jan Edward Redmond (1856-1918) – irlandzki prawnik, polityk nacjonalistyczny i poseł do angielskiej Izby Gmin, przywódca umiarkowanej Irlandzkiej Partii Parlamentarnej i zwolennik samostanowienia Irlandii w ramach Zjednoczonego Królestwa (tzw. *Home Rule*). Po wybuchu I Wojny Światowej wezwał organizację paramilitarną o nazwie *National Volunteers* (której również przewodził) do wsparcia Armii Brytyjskiej. Postać wyjątkowa.

przypominających gromy niebios głosów naszej wdzięczności, swój irlandzki miecz. Wszystko, co Robert Cecil uważał za bezwartościowe, okazało się nasza stratą, wszystko zaś, co uważał za słabe – naszą podporą. Pośród tych członków jego własnej klasy politycznej, czy też wyznawców jego politycznego *credo*, którzy zgodzili się na sojusz z tym wielkim irlandzkim politykiem i witali go z otwartymi ramionami, znajdowali się zarówno tacy, którzy naprawdę znali prawdziwe relacje, jakie łączyły w przeszłości Anglię i Irlandię, jak i tacy, którzy dopiero w tamtej godzinie wyraźnie odczuli na sobie ich skutki. Wszyscy zdawali sobie bardzo dobrze sprawę z faktu, że Anglia nie może już tylko panować; wielu zdawało sobie sprawę z tego, że w pewnym sensie musi zacząć błagać. Niektórzy zaś – że zasłużyła sobie na to, aby musiała błagać. Ci „niektórzy" stanowili w tym wypadku nieliczną grupkę ludzi, mających jakie-takie pojęcie na temat tego, co zwykło nazywać się „historią"; i jeśli nawet jeśli nachodziła ich czasami ochota odkurzenia w opisach Irlandii podobnych, martwych sloganów, jak „celtyckie frędzle", to tylko po to, aby zastanowić się, czy mamy jakiekolwiek prawo ucałować choćby skraj jej płaszcza. Jeżeli istnieją wciąż jeszcze Anglicy, którym taki język wydaje się czymś ekstrawaganckim, rozdział niniejszy został napisany dokładnie po to, aby ich w tej kwestii oświecić.

W dwóch poprzednich rozdziałach, zarysowałem ogólny przebieg zdarzeń, w wyniku którego Anglia, po części ze względu na przypadki historii, po części ze względu na fałszywą filozofię, pomalutku wchodziła w orbitę wpływów niemieckich, której centrum znajdowało się już wówczas w Berlinie. Nie muszę streszczać tutaj powodów tego stanu rzeczy ze wszystkimi szczegółami. Luter, pomimo iż stanowił osobiste hobby Henryka VIII, tak naprawdę nie był w Anglii nawet herezjarchą. Niemniej, zgubny germanizm reformacji, jego pociąg ku północy, kwarantanna, której poddał on kulturę łacińską, w pewnym sensie stanowił źródło wszystkich późniejszych wydarzeń. Bardzo dobrze unaoczniają naturę tego osobliwego zjawiska dwa fakty; barbarzyńska odmowa przyjęcia nowego kalendarza astronomicznego wyłącznie z tego powodu, że opracował go papież oraz osobliwa decyzja dotycząca zmiany obowiązującej wymowy łaciny – tak, aby wydawała się ona czymś innym, niż łacina; zmieniająca ją nie tyle w martwy język, co nowy język. Co do wydarzeń późniejszych, rola, jaką odegrali w nich przedstawiciele poszczególnych dynastii, jest naraz bardzo złożona i zupełnie przypadkowa; „gniewny Niemiec”[30] przyszedł i odszedł; znacznie mniej interesujący Niemcy przyszli i zostali. Ich wpływ

30 Aluzja do księcia Ruperta Reńskiego (1619-1682), naczelnego dowódcy sił rojalistycznych podczas Angielskiej Wojny Domowej, siostrzeńca króla Karola I o niemieckim pochodzeniu. Określenie „gniewny Niemiec” nadał mu Tomasz Macaulay w wierszu pt. „Bitwa pod Naseby”.

miał charakter negatywny, ale nie nieistotny; utrzymał on Anglię z dala od szerokiego nurtu europejskiego życia, na który to mogłyby wprowadzić ją rządy galofilskich Stuartów. Tylko jeden z przedstawicieli dynastii hanowerskiej był czynnie niemiecki; niemiecki tak bardzo, że pysznił się mianem Bryta, nie potrafiąc nawet tego słowa poprawnie napisać. Przypadkowo zupełnie, utracił on Amerykę. Bardzo wymownym faktem jest tutaj to, że wszyscy najzacniejsi przedstawiciele prawdziwego plemienia Brytów, którzy pisali to słowo poprawnie, szanowali Rewolucję Amerykańską i chcieli paktować z jej przywódcami, pomimo cały swój dżingoizm czy legitymizm; ów romantyczny konserwatysta, Burke, ów ziemiożerczy imperialista, Chatham, a nawet, w gruncie rzeczy, ów nieprawdopodobnie nudny torys, North[31]. Niezdolność do kompromisów stanowiła bardziej cechę hanowerskiego elektora, niż angielskiego króla; ograniczonego i małego księcia z Niemiec, którego nudził Szekspir i w jakiś tam sposób wzruszał Haendel. Tym, co przypieczętowało ostatecznie nieszczęsną angielsko-niemiecką zażyłość, były nasze dwa sojusze z Prusami; pierwszy, dzięki któremu wojna siedmioletnia nie zdołała złamać krzepnącej właśnie tradycji Fryderyka Wielkiego; i drugi, dzięki któremu nie złamały jej siły

31 Fryderyk North (1732-92) – angielski arystokrata, premier Anglii w latach 1770-82. Wobec Rewolucji Amerykańskiej stosował, przynajmniej z początku, politykę sankcji ekonomicznych, licząc, że te ją zakończą. Oceniany, jak się wydaje, raczej negatywnie.

Rewolucji Francuskiej i Napoleona. Najpierw pomogliśmy Prusom umknąć przed sprawiedliwością, niczym jakiemuś młodocianemu złoczyńcy; potem zaś – pomogliśmy owemu złoczyńcy odegrać rolę wysokiego sądu. Dopomógłszy mu w jego bezprawnych czynach, upewniliśmy się, aby zostały one oficjalnie zalegalizowane. Dopomogliśmy w oddaniu dziedzicowi Bourbonów francuskiej korony, choć nasi pruscy sojusznicy, w swoim zwykłym, radosnym stylu, próbowali wyłuskać z niej zawczasu kilka małych klejnotów. Trzeba powiedzieć, że przez cały tamten okres, tak istotny w historii, można było niezawodnie polegać na naszym poparciu dla niezreformowanych praw i rządów sprawowanych wbrew woli społecznej. Jak by nie patrzeć, nawet imię admirała Nelsona niesie się po uliczkach Neapolu jakimś złowrogim echem. Cokolwiek jednak można by powiedzieć o naszej sprawie, praca, jaką w owym okresie wykonaliśmy, przy użyciu złota i stali, była tak kunsztowna i ciężka, że Anglicy jeszcze dziś mogą odczuwać z niej dumę. Nigdy nie dokonaliśmy niczego większego, niż to, czego dokonaliśmy wtedy gdy, w pewnym sensie, uratowaliśmy Niemcy od zguby – z jednym wyjątkiem tego wszystkiego, czego musimy dokonywać teraz, sto lat później, aby je zniszczyć. Tym, którzy nie poświęcili studiowaniu historii ani wiele wysiłku, ani wiele czasu, zazwyczaj wydaje się ona ledwie wyblakłą, malowniczą fasadą: mniej lub bardziej monochromatycznym tłem dla dramatu ich własnych dni. Tym też może wydawać się mało istotne, czy w jakiejś zamierzchłej walce,

której wszyscy uczestnicy dawno już umarli, stanęliśmy po tej, czy po innej stronie; Bonaparte i Blucher obaj noszą przecież na głowach stare bikorny; zarówno francuscy królowie, jak i francuscy królobójcy, to nie tyle martwi ludzie, co martwi obcokrajowcy; wszystko to ledwie gobelin, równie ozdobny i umowny, co wojna dwóch róż. Nie tak się sprawy miały: walcząc za stary świat, a przeciw nowemu, walczyliśmy o coś jak najbardziej realnego. Jeżeli chcemy bezbłędnie i boleśnie dowiedzieć się, co to konkretnie było, trzeba nam otworzyć stare, zapieczętowane i straszne wrota, wiodące do pewnej krainy, którą nazywano wtedy Irlandią – ale którą równie dobrze można by nazwać piekłem.

Dokonawszy wyboru strony konfliktu i wypowiedziawszy wojnę nowemu światu, z przyczyn zewnętrznych bardzo szybko zorientowaliśmy się, z czym właściwie łączyło się to duchowe dzieciobójstwo; i że zaangażowaliśmy się w coś w rodzaju nowej Rzezi Niewiniątek. W Irlandii ówczesny młody świat reprezentowany był przez kilku młodych ludzi, podzielających demokratyczne marzenia kontynentu i zdecydowanych pokrzyżować zamiary premiera Pitta; który nie bał się dokładać coraz więcej paliwa do pękającej już prawie od żaru, wielkiej machiny korupcji, byle tylko wciągnąć Irlandię w angielskie intrygi przeciw jakobinom. Towarzyszyły całej sprawie również wszelkie możliwe zbiegi

okoliczności, mogące wywołać u angielskich rządzących niejasne poczucie, że piastują raczej średniowieczną funkcję „opatów nierządu”[32]. Surowa i niepewna postać premiera Pitta trwała wciąż na tym samym miejscu, nie pasując zupełnie do otoczenia, z ciężką sakiewką w ręku; podczas gdy jego mężniejsi przeciwnicy wyciągali już swoje ręce po miecz – jedyną możliwą ucieczkę człowieka, którego nie da się kupić i który nie chce pozwolić się sprzedać. Rebelia wybuchła i została stłumiona; rząd zaś który ją stłumił, był od owej rebelii dziesięć razy bardziej bezprawny. Jeden jedyny raz wydawało się, że fatum odsłoniło przed naszym wzrokiem obraz całkowicie czarno-biały, jakby była to alegoria; tragedię straszliwych oczywistości. Bohaterowie naprawdę byli bohaterami, łajdacy zaś – nikim prócz łajdaków. Zwyczajne pogmatwanie życia, w którym dobrzy ludzie czynią złe rzeczy przez pomyłkę, a źli ludzie czynią dobre rzeczy przez przypadek, wydawało się czasowo zawieszone, jak gdyby poddawał je oględzinom jakiś tajemniczy trybunał nieba. Musieliśmy dopuszczać się takich uczynków, które nie tylko były niegodziwe, ale co do których czuło się, że są niegodziwe. Musieliśmy niszczyć ludzi, którzy nie tylko byli szlachetni, ale wydawali się szlachetni. Ludzi takich, jak Wolfe Tone[33], polityk prawdziwie

32 Oryg. *Abbot of Misrule* – w Anglii: wybierany w losowaniu urzędnik, mający sprawować kontrolę nad obchodami „Święta Głupców”.

33 Teobald Wolfe Tone (1763-98) – irlandzki polityk i wojskowy, przywódca Powstania 1798. Pomimo początkowych sukcesów, wobec braku wsparcia zagranicznego

wielkiego formatu, któremu nie pozwolono stworzyć państwa; i Robert Emmet[34], człowiek kochający gorąco swoją ojczyznę i swoją wybrankę, w samym wyglądzie którego dostrzegano wtedy jak gdyby coś z orlego wdzięku młodego Napoleona. Jego los był jednak od losu Napoleona szczęśliwszy; jako iż Emmet na zawsze pozostał młody. Powieszono go; zdążył jednak wcześniej wypowiedzieć jedną z owych wielkich fraz, stanowiących zawiasy dla bram dziejów. Stworzył epitafium, wyrzekając się epitafium: i gest ów zawiesił jego grobowiec na sklepieniu nieba, niczym trumnę Mahometa. W konfrontacji z takimi właśnie Irlandczykami, naród angielski potrafił wydać z siebie jedynie Castlereagha; jednego z tych niewielu ludzi w historii ludzkości, którzy stali się sławni chyba wyłącznie po to, aby mogli popaść w niesławę. Sprzedał swój własny kraj i ciemiężył nasz; przez resztę czasu zajmował się zaś tworzeniem nonsensownych metafor i obarczył dwa rozsądne i odrębne narody ciężkim brzemieniem owej ohydnie nonsensownej metafory, jaką jest unia. W tym wypadku nie ma już żadnego miejsca na jakąkolwiek huśtawkę sprzecznych sympatii, jak w wypadku konfliktu Cezara z Brutusem czy Cromwella z Karolem I; nie ma literalnie nikogo, kto

ostatecznie poniósł porażkę i dostał się do angielskiej niewoli. Zginął śmiercią samobójczą.

34 Robert Emmet (1778-1803) – irlandzki polityk, mówca, republikanin, przywódca Powstania 1803. Pojmany i stracony przez wojsko brytyjskie. Mowa, którą wygłosił przed egzekucją, trwale zapisała się w irlandzkiej historii.

by sądził, że Emmet pragnął w życiu bogactw tego świata – albo że Castlereagh pragnął czegokolwiek innego. Nawet przypadkowe podobieństwa obydwu stron podkreślały tym mocniej zachodzący tu kontrast – oraz absolutną wyższość nacjonalistów. Tak też, Castlereagh i Lord Fitzgerald[35] obaj byli arystokratami i gentlemanami. Lecz Castlereagh był zepsutym dworakiem, Fitzgerald zaś – szczodrym ziemianinem; którego krew, przynajmniej w pewnej mierze, razem z pewnymi elementami jego ducha, przeszła potem na innego jeszcze, wielkiego gentlemana, który – w samym centrum emetycznego immoralizmu naszej polityki – zwrócił ową ziemię irlandzkim chłopom. I znów, wszyscy tego typu osiemnastowieczni arystokraci (podobnie jak niemal wszyscy arystokraci wszystkich innych czasów i miejsc) nie mieli nic wspólnego z ludowym mistycyzmem i ludowymi kapliczkami biedoty; teoretycznie wyznając protestantyzm, lecz praktycznie – pogaństwo. Tone niemniej, należał do tej klasy pogan, którzy nie chcieli prześladować inaczej myślących, tak jak prokonsul Gallio; Pitt zaś – do tej klasy pogan, którzy godzili się na prześladowania

---

35 Edward Fitzgerald (1763-1798) – brytyjski arystokrata pochodzenia irlandzkiego. Początkowo związany z koroną, z czasem zaczął skłaniać się ku tendencjom niepodległościowym. Zmarł w wyniku ran postrzałowych, które odniósł podczas próby aresztowania go za kontakty z Wolfe Tonem oraz Stowarzyszeniem Zjednoczonych Irlandczyków, dążącym do ustanowienia niepodległej Republiki Irlandzkiej.

z przyczyn pragmatycznych; i zajmuje on w historii to samo miejsce, co Piłat. Był nietolerancyjnym indyferentystą; gotowym przyznać prawa polityczne papistom, lecz jeszcze bardziej gotowym urządzić im masakrę. Tak też życie obydwu pogan, Tone'a i Castlereagh'a, zakończyło się w sposób pogański: samobójstwem. Niemniej towarzyszące temu okoliczności przedstawiały się tak, że każdy człowiek, niezależnie od tego, do jakiego należał stronnictwa, czuł, że Tone umierał jak Katon, Castlereagh zaś – jak Judasz.

Pochód polityki Pitta podążał dalej; i otchłań ziejąca między światłem i ciemnością wciąż się pogłębiała. Udało się przywrócić porządek; i gdziekolwiek tylko się ów porządek pojawiał, tam też pojawiała się anarchia straszniejsza nad wszystko, co było do tej pory pod słońcem. Ze zmurszałych krypt Inkwizycji wypełzły tortury – i przemierzały ulice i pola w pełnym świetle dnia. Z niemożliwym do opisania okrucieństwem darto z wiejskich księży pasy, by potem palić ich zwłoki przy wtórze przerażających żartów na temat pieczonego kapłana. Gwałt stał się sposobem sprawowania władzy. Plugawienie dziewic – nakazem policyjnym. Z tym samym mrocznym symbolizmem, działania angielskiego rządu i angielskich osadników zdawały się przeradzać stopniowo w zwierzęce potworności, popełniane wobec żon i córek plemienia wyróżniającego się rzadką i uduchowioną czystością oraz religią, która uważa niewinność za

Matkę samego Boga. W swoim wymiarze cielesnym, stało się to wszystko wojną demonów z aniołami; jak gdyby Anglia nie umiała wydać z siebie nikogo, prócz oprawców, Irlandia zaś – nikogo, prócz męczenników. Taka właśnie była część ceny, zapłaconej przez irlandzkie ciało i angielską duszę za przywilej zeszycia ran, zadanych Prusom przez ostry miecz Jeny.

Niemniej, Niemcy nie były tutaj obecne tylko swoim duchem; Niemcy obecne były także swoim ciałem. Nie mając najmniejszego zamiaru umniejszać wyczynów Anglików i oranżystów, spokojnie mogę stwierdzić, że najsubtelniejszych smaczków dodali sprawie żołnierze przeszkoleni zgodnie z tradycją odziedziczoną po okropieństwach wojny trzydziestoletniej oraz tego, co stara ballada określa mianem „okrutnych wojen germańskiej wyżyny". Mój irlandzki znajomy, którego brat jest żołnierzem, i którego krewni służą w wielu istotnych bazach Armii Brytyjskiej, powiedział mi kiedyś, że w czasach jego dzieciństwa legenda (czy raczej prawda) o roku 1798 była tak przerażająco żywa, że jego rodzona matka nie pozwalała wypowiadać w domu słowa „żołnierz". Gdziekolwiek zatem tradycja niniejsza ciągle żyje, tam też znienawidzone pojęcie „żołnierza" w szczególny sposób odnosi się do żołnierza niemieckiego. Kiedy Irlandczycy mówią, jak robią to niektórzy z nich, że niemiecki najemnik był gorszy niż oranżyści, mówią oni dokładnie tyle, ile potrafią

wypowiedzieć ludzkie usta. Dalej nie ma już zgoła nic, poza przekleństwem Boga, które zostanie kiedyś wypowiedziane w nieznanym języku.

Praktykę wykorzystywania niemieckich żołnierzy, a nawet całych niemieckich regimentów, przebranych za Armię Brytyjską, przynieśli do naszego kraju niemieccy książęta, i wybijała ona na powierzchnię jeszcze przy okazji wielu ważnych momentów naszej osiemnastowiecznej historii. Dało się ich prawdopodobnie znaleźć pośród tych, którzy obozowali tryumfalnie na wrzosowisku Durmossie[36], a także (i jest to myśl znacznie cieplejsza) – pośród tych, którzy pierzchali chyżo z okolicy Prestonpans[37]. Kiedy ów bardzo typowy Niemiec, Jerzy III, ograniczony, poważny, człowiek karłowatej kultury i nieokrzesany w samym swoim życiu domowym, toczył spór ze wszystkim, co miało w sobie pierwiastek ducha, nie tylko w wypadku amerykańskiej demokracji, ale nawet angielskiej

36 Aluzja do bitwy pod Culloden, która odbyła się 16 kwietnia 1746 roku pomiędzy siłami Karola Stuarta, domagającego się korony Anglii i Szkocji, oraz króla Jerzego II. Zakończona klęską wojsk jakobickich, walnie przyczyniła się do ostatecznego upadku powstania.

37 Bitwa pod Prestonpans – mające miejsce w dniach od 20 do 21 września 1745 roku starcie sił jakobitów oraz oddziałów wiernych Jerzemu II, zakończone zwycięstwem wojsk stronnictwa Stuartów. Prestonpans to mała miejscowość w Szkocji.

arystokracji, niemieckie oddziały aż nadto nadawały się do pełnienia funkcji jego ambasadorów za Atlantykiem. W swoich doskonale zdyscyplinowanych szykach, podążyły one za Burgoynem[38] podczas owego wielkiego marszu przez lasy, który zakończył się pod Saratogą[39]; i ze swym zwykłym, drewnianym wyrazem twarzy, oglądały naszą klęskę. Ich obecność od długiego już czasu wywierała bardzo realne skutki. Z jednej strony, sam ich militaryzm – rzecz ciekawa – sprawił, że Anglia stała się mniej militarna; a w szczególności, że stała się ona bardziej merkantylna. Zaczęto już wtedy przeczuwać, niejasno oczywiście – i nigdy świadomie – że wojna to coś, co trzeba zostawić obcokrajowcom. Przeczucie owo, w nieuchwytny sposób przymnożyło Niemcom prestiżu, jako iż jawili się w jego świetle jako lud urodzonych żołnierzy – stało się to zaś kosztem Francuzów, deprecjonowanie których leżało w interesie naszej własnej próżności. Sama mieszanina angielskich i niemieckich mundurów wystarczyła na tło dla owej wielkiej parady, podczas której wszystkim wydawało się czymś coraz bardziej i bardziej naturalnym założenie, że angielscy i niemieccy potentaci

---

38 Jan Burgoyne (1722-1792) – angielski wojskowy i dramaturg, głównodowodzący w początkowej fazie wojny z Jerzym Waszyngtonem. Poddał się pod Saratogą.

39 Bitwa pod Saratogą – seria starć między wojskami Jerzego Waszyngtona a Jana Burgoyne’a, które miały miejsce między 17 września a 8 października 1777 roku, zakończona zwycięstwem Amerykanów i kapitulacją Brytyjczyków . Stanowiła punkt zwrotny Rewolucji Amerykańskiej.

powinni witać się jak kuzyni i, w pewnym sensie, zapomnieć dzielących ich kraje granicach. Tak też już w 1908 niemiecki cesarz wydawał się angielskim politykom poniekąd groźny, angielskiemu ludowi zaś – bezsprzecznie szalony. A jednak, nikt nie uważał za coś szczególnie niebezpiecznego czy odrażającego faktu, że Edward VII pokazywał się czasami w pruskim uniformie. Sam Edward VII był przyjacielem Francji, i ciężko pracował na rzecz przymierza z tym krajem. A jednak, gdyby pokazał się kiedyś wystrojony w czerwone spodnie francuskiego żołnierza, wielu ludziom wydałoby się to czymś zwyczajnie śmiesznym; tak śmiesznym, jak gdyby pokazał się publicznie przebrany za Chińczyka.

Niemniej, nasi niemieccy najemnicy czy sojusznicy mieli jeszcze jedną cechę, która (mocą tego samego, złowrogiego zbiegu okoliczności, któremu staramy się przyjrzeć w tej książce) podniecała wszystko, co najgorsze w angielskim konserwatyzmie i nierówności, jednocześnie tłamsząc wszystko to, co w nim najlepsze. Prawda, że idealny angielski gentleman miał w sobie za wiele z możnowładcy; należy jednak dodać, że możnowładca ów – był dobrym możnowładcą. Najlepszy możnowładca, którego znam z literatury, to książę Tezeusz ze *Snu nocy letniej* – człowiek dobry dla swoich poddanych i dumny ze swych psów; i byłby on doskonałą doprawdy istotą ludzką, gdyby nie jego delikatna skłonność do

okazywania łaskawości obydwóm grupom dokładnie w ten sam sposób. Lecz podobnie naturalna, a wręcz pogańska życzliwość, harmonizuje się pięknie z wilgotnymi, ciepłymi lasami oraz obłymi obłokami Anglii Południowej; nigdy zaś nie znalazła dla siebie żadnego miejsca pomiędzy twardymi i gospodarnymi arystokratami równin Prus Wschodnich, kędy wieje wschodni wiatr. Oprócz dumy, cechowała tych ludzi także wielka skłonność do gniewu, a wszystko, cokolwiek stworzyli, w szczególności zaś ich armia, zyskiwało spójność wyłącznie dzięki czystej brutalności. Dyscyplina wszystkich osiemnastowiecznych armii była wystarczająco okrutna – jako iż opracowano ją na długo po tym, jak umarła już wszelka wiara czy nadzieja, która mogłaby trzymać ludzi razem. Niemniej państwo, które osiągnęło w Niemczech pozycję dominującą, dominowało także pod względem okrucieństwa. Fryderyk Wielki musiał zabronić swoim angielskim wielbicielom podążać za jego wojskiem podczas kampanii wojennych – by nie zorientowali się oni przypadkiem, że najbardziej oświecony monarcha Europy zakazał prawnie stosowania tortur wyłącznie po to, aby móc je stosować bezprawnie. Wpływ ów, jak już zobaczyliśmy, odcisnął na Irlandii piętno, którego nigdy nie uda się usunąć. Angielskie rządy nad Irlandią były złe już wcześniej; wątpię wszakże, czy w jaśniejącym coraz mocniej świetle wieku rewolucji mogłyby one utrzymać całe swoje zło, gdyby nie fakt, że opowiedzieliśmy się ostatecznie po tej stronie konfliktu, która zmusiła nas do schlebiania barbarzyńskiej tyranii Europy.

Prawdopodobnie nie zobaczylibyśmy nigdy koszmaru takiego, jak anglicyzacja Irlandii, gdyby nasze oczy nie przyzwyczaiły się wcześniej do germanizacji Anglii. A jednak, nawet w Anglii wiek ów nie był tak zupełnie bezowocny; jednym z jego owoców było zaś wzbudzenie człowieka, stanowiącego, być może, najlepszego świadka wpływu, jaki wywarł na Anglię czas jej sojuszu z Niemcami. I tym właśnie człowiekiem zajmę się w następnym rozdziale.

Rozdział V – Anglia utracona

Mówienie prawdy o Irlandii to sprawa dla angielskiego patrioty nie najprzyjemniejsza; niemniej – jest to również sprawa bardzo patriotyczna. W poprzednim rozdziale mówiłem prawdę i tylko prawdę, choć i tak udało mi się ją ledwie tylko musnąć. Kilkakrotnie, a szczególnie u początku obecnej wojny, znaleźliśmy się o włos od katastrofy – dokładnie dlatego, że pochodziliśmy do owej prawdy lekceważąco i uparliśmy się traktować wszystkie nasze zbrodnie roku ‘98 i późniejsze tak, jakby były one czymś bardzo odległym; podczas gdy w powszechnym odczuciu narodu irlandzkiego, a także w samej rzeczywistości, są one czymś bardzo bliskim. Podobnie niekonkretna skrucha jest w tym wypadku nie na miejscu – i zwyczajnie nie wystarczy. Może i dobrze jest czasem wybaczyć i zapomnieć; ale zdecydowanie zbyt łatwym numerem byłoby zapomnieć i mieć wybaczone.

Prawda zaś o Irlandii jest po prostu taka: że relacje łączące Anglię i Irlandię, to relacje dwóch ludzi, którzy podróżowali przez chwilę razem, z czego jeden z nich próbował zadźgać drugiego na śmierć na ostatnim postoju albo otruć go w ostatniej napotkanej karczmie. Ich rozmowy nadal mogą być bardzo grzeczne – niemniej, okazjonalnie

mogą się także trochę nie kleić. Tematy takie jak usiłowanie zabójstwa, historyczne i literackie przykłady tego zjawiska, mogłyby nagle stać się przedmiotem taktownych niedopowiedzeń; na pewno jednak okazjonalnie przemykałyby one również jednemu albo drugiemu przez głowę. Od czasu do czasu zapadnie między nimi jakaś niezręczna, niepozbawiona napięcia cisza. Częściowo zamordowany z interlokutorów może nawet uważać powtórkę zamachu na swoje życie za rzecz mało prawdopodobną; wymagać jednak od niego, aby nie mógł sobie jej nawet wyobrazić, to chyba – ostatecznie – rzecz nieco wygórowana. I nawet jeśli, co daj Boże, dominująca strona zagadnienia naprawdę szczerze żałuje przeszłych metod urzeczywistniania swojej dominacji i, co więcej, dowodzi tego w jakiś niezaprzeczalny sposób – na przykład z narażeniem zdrowia i życia ratując swojego towarzysza przed atakiem zbójców – jej ofiara wciąż może nie znajdować w sobie zdolności do powściągnięcia abstrakcyjnej, psychologicznej zadumy na temat tego, kiedy właściwie jej kompan zaczął darzyć ją podobnie ciepłym uczuciem. Takie przedstawienie sprawy jako przypowieść na temat nastawienia przejawianego przez Anglię w stosunku do Irlandii, nie tylko w roku ‘98, ale na długo przed zdradzieckim złamaniem Traktatu z Limerick[40], a także podczas całego Wielkiego Głodu i jeszcze długo,

40 Traktat podpisany w irlandzkim mieście Limerick 3 października 1691 roku, kończący wojnę Wilhelma Orańskiego z jakobicką i katolicką szlachtą Irlandii.

długo później, nie ma natomiast w sobie ani krzty przesady. Sposób, w jaki obchodzili się Anglicy z Irlandczykami po ich powstaniu narodowym, zupełnie dosłownie porównać można do postępowania człowieka, który najpierw łapie kogoś w pułapkę, wiąże swojej ofierze ręce i nogi, a potem jak gdyby nigdy nic kroi ją na kawałki. To, jak zachowywaliśmy się w czasie irlandzkiego Głodu, stanowiło dokładną analogię tego, jak zachowywałby się nasz bohater, gdyby w ostatnich momentach życia swojego zakładnika postanowił umilić sobie czas próbą nawiązania z nim niezobowiązującej pogawędki na temat jego stosunkowo wysokich szans na śmierć przez wykrwawienie. Brytyjski premier publicznie odmówił użycia ogromnej brytyjskiej floty do zatrzymania klęski. Brytyjski premier praktycznie sam ową klęskę wywoływał: bo przecież to przez jego rozporządzenia na poły zagłodzona część populacji Irlandii musiała płacić na tę całkiem zagłodzoną. Najpopularniejszy werdykt, wydawany w tamtym czasie przez irlandzkich ławników w sprawie śmierci jakiegoś wynędzniałego nieszczęśnika, brzmiał: „zamordowany z premedytacją przez Lorda Jana Russella"; i werdykt ów wydała ostatecznie nie tylko cała irlandzka opinia publiczna, ale i sama historia. Byli jednak wśród wpływowych Anglików także i tacy, którym nie wystarczyło publiczne przyznanie się do winy – i musieli jeszcze upublicznić motyw. *The Times,* który cieszył się wówczas w narodzie autorytetem i szacunkiem nadającym jego słowom wagę współczesnemu dziennikarstwu zupełnie nieznaną,

otwarcie radował się z perspektywy nowego Złotego Wieku, w którym rdzenny Irlandczyk „będzie nad rzeką Liffey widokiem tak rzadkim, jak czerwonoskóry na wyspie Manhattan". Czymś wystarczająco szalonym wydaje się już samo to, że jeden Europejczyk mógłby w ogóle powiedzieć coś takiego o drugim Europejczyku, czy nawet o Indianinie, gdyby Indianie odgrywali w swoim kraju taką rolę, jaką w naszym odgrywał wtedy – i nadal odgrywa – naród irlandzki; gdyby Stany Zjednoczone miały indiańskiego Lorda Najwyższego Sędziego, indiańskiego szefa sztabu, gdyby w Kongresie działała Partia Indiańska, w skład której wchodziliby pierwszorzędni mówcy i popularni powieściopisarze, mogąca powoływać i odwoływać prezydentów wedle własnego uznania; gdyby połowa najlepszych żołnierzy w Ameryce była szkolona do walki tomahawkiem, a połowa najlepszych artykułów prasowych pisana pismem obrazkowym, gdyby wódz jednego plemienia, znany jako Sosna w Świetle Zmierzchu, w powszechnym mniemaniu uchodził za najlepszego żyjącego poetę, albo wódz Rudy Wychudły Lis za najlepszego żyjącego dramaturga. Gdyby wszystko to okazało się prawdą, angielski krytyk prawdopodobnie nigdy nie wyraziłby się na temat amerykańskich Indian w sposób równie pogardliwy; a przynajmniej – żałowałby, że to zrobił. Niemniej, to niepojęte zupełnie zeznanie bardzo jasno wskazuje na najbardziej osobliwy element całej sytuacji. Nie był to zwyczajny przypadek złego sprawowania władzy. Nie chodzi tylko o to, że ustanawianych przez nas instytucji nie da się

obronić; choć ich nader interesującą cechą jest właśnie to, że dosłownie nie da się ich obronić; od słynnej półpensówki Wooda[41] po anglikański Kościół Irlandii[42]. Metody Pitta są równie niemożliwe do usprawiedliwienia, co metody Pigotta[43]. Różnica leży tutaj jednak

---

41 Miedziana moneta wartości połowy pensa, wybijana od 1722 do 1724 roku przez niejakiego Williama Wooda, angielskiego fabrykanta, na rynek irlandzki (łączna wartość wybitych monet wyniosła 100 800 funtów). Ze względu na strach przed galopującą inflacją, rozpoczęła się w Irlandii wielka kampania społeczna, wspierana piórem samego Jonatana Swifta, która doprowadziła ostatecznie do wycofania monet z obiegu.

42 Anglikańska wspólnota eklezjalna, powołana do istnienia w Irlandii w 1536 roku. Z powodu nikłej popularności wśród irlandzkiego ludu, jego dominacja musiała być narzucana odgórnie, nierzadko przy użyciu siły. Bardzo długo stanowił dla Irlandczyków symbol angielskiej okupacji. W 1869 roku stracił, dzięki decyzjom parlamentu, status irlandzkiego kościoła państwowego.

43 Aluzja do Ryszarda Pigotta (1835-89), irlandzkiego dziennikarza. Początkowo związany z ruchem nacjonalistycznym, z czasem zaczął skłaniać się coraz bardziej do idei pełnej unii Irlandii i korony. Zaczął sprzedawać brytyjskim gazetom informacje na temat liderów ruchu patriotycznego. W calu zniszczenia kariery politycznej Karola Parnella posunął się nawet do fałszerstwa (znanego jako „Fałszerstwo Pigotta") – sfałszował mianowicie list, mający świadczyć o poparciu tego polityka dla morderstw politycznych, popełnionych przez irlandzkich radykałów niepodległościowych 6 maja 1882 w Parku Phoenix w Dublinie na Lordzie Cavendishu i Tomaszu Burke'u, dwóch ważnych przedstawicielach rządu brytyjskiego w Irlandii. Podstęp się nie udał, Parnell został ponownie wybrany do paramentu, udowodnił przestępstwo, otrzymał sowite odszkodowanie od *The Times,* Pigott zaś uciekł do Hiszpanii, gdzie popełnił samobójstwo – zastrzelił się w jednym z madryckich hoteli.

także w celu podjętych działań. Przemocy nie stosowano w tym wypadku po to, aby ludzie mogli żyć w cichości, ale po to, aby mogli w cichości umierać. A teraz siedzimy sobie, w dostojnej nieświadomości naszego grzechu, i debatujemy nad tym, czy Irlandczycy faktycznie mogą ocalić Irlandię od zguby. O nas zaś, ściśle biorąc, nie można powiedzieć nawet tyle, że nie potrafiliśmy tego zrobić. Bo myśmy jej po prostu nie potrafili zniszczyć.

Zaprzeczenie temu stwierdzeniu – albo choćby najmniejszemu z jego elementów – to rzecz zwyczajnie niemożliwa. Czy da się, zatem, powiedzieć w tej sprawie cokolwiek na korzyść Anglików? Da się: choć Anglicy sami nigdy tego nie mówią. Irlandczycy zresztą też nie; mimo iż jest to tyleż obrona, co manifestacja słabości. Wydawałoby się, że Irlandczycy mają dobry powód powiedzieć wszystko, cokolwiek można tylko powiedzieć przeciwko angielskiej klasie panującej, a jednak nie powiedzieli oni, a nawet praktycznie nie odkryli, jednej prostej rzeczy – że panuje ona także nad Anglią. Mają pełną słuszność, gdy twierdzą, ze Irlandczycy powinni mieć coś do powiedzenia w kwestii rządów nad swoją ojczyzną – mylą się wszakże dotkliwie, zakładając, że Anglicy rzeczywiście mają coś do powiedzenia w kwestii rządów nad swoją ojczyzną. I mam mocne przekonanie, że nie mąci mi sądu wpływ narodowych uprzedzeń, gdy twierdzę, że zwyczajny Anglik byłby zupełnie zgoła niezdolny do

popełnienia tych wszystkich okrucieństw, których dopuszczano się w jego imię. Najistotniejsze jest tutaj jednak to, że naprawdę istniała kiedyś – i to kwestia faktu historycznego – inna Anglia, Anglia zwyczajnych Anglików, która nie tylko z całą pewnością zachowałaby się w całej sprawie lepiej, ale rzeczywiście powzięła całkiem spore wysiłki, aby zachować się lepiej. Jeżeli ktokolwiek domagałby się dowodu, odpowiadam: dowody zostały zniszczone – albo przynajmniej świadomie zbojkotowane; można je jednak znaleźć w niemodnych dzisiaj zakątkach literatury; i kiedy się je znajdzie – nie ma już żadnych wątpliwości. Jeżeli ktokolwiek domagałby się przykładów wielkich postaci owej potencjalnej, demokratycznej Anglii, która nigdy się nie ziściła, odpowiadam, że o tych wielkich ludziach bardzo często mówi się dzisiaj jako o małych ludziach – albo nie mówi w ogóle; że ich znaczenie zostało skutecznie umniejszone – w miarę, jak emancypacja, o której marzyli, stawała się coraz mniej realną perspektywą. Największy spośród nich to dziś niewiele więcej, niż samo nazwisko; krytykuje się go zaś nie po to, by zrozumieć – ale po to, by zlekceważyć; reprezentował on jednak całą wspomnianą tutaj alternatywę – i bardziej liberalną wizję angielskości; i dlatego, że to robił, cieszył się także ogromną popularnością. Traktując go tutaj jako figurę omawianych idei, w najkrótszy możliwy sposób opowiemy całą tę zapominaną historię. I nawet kiedy ledwie zaczynam ją opowiadać, oto staję nagle wobec owego wszechobecnego zła, które stanowi przedmiot niniejszej książki.

Albowiem faktem jest, i myślę, że to coś więcej, niż zwykły zbieg okoliczności, że patrząc na mój kraj z miejsca, z którego patrzył nań także ów wielki Anglik, po raz kolejny widzę naprzeciw mnie postać niemieckiego żołnierza.

Syn drobnego rolnika z Surrey, cieszący się dobra opinią torys i anglikanin, odważył się pewnego dnia zabrać głos przeciwko nadzwyczajnemu okrucieństwu, z jakim obeszli się z podlegającymi im angielskimi żołnierzami, wiążąc im uprzednio ręce, wyposażeni w bicze niemieccy oficerowie; obnoszący w tamtym czasie po angielskich łąkach swoje surowe, zagraniczne uniformy i swoją krwawą, zagraniczną dyscyplinę. W krajach, z których pochodzili, podobne męczarnie stanowiły, rzecz jasna, jedyną dostępną metodę przymuszania ludzi do tego, aby oddawali swe życie w bezpłodnych sporach dynastycznych Północy; niemniej głupiutkiemu Willowi Cobbettowi, który mieszkał na swojej małej, prowincjonalnej wysepce i wiedział o świecie niewiele więcej, ponad to, co mieściło się pośród niewysokich wzgórz i żywopłotów, otaczających malutki kościół, przy którym znajduje się obecnie jego grób, wydarzenie to wydało się poniekąd dziwne – więcej nawet: niesympatyczne. Zdawał sobie, oczywiście, sprawę z faktu, że w Armii Brytyjskiej również stosowano w tamtym czasie karę chłosty; niemniej, niemieckie standardy jej wymierzania w powszechnej opinii odznaczały się

nadzwyczajną wprost surowością, i miały w sobie coś z, jak to się mówi, „smaku nabytego”. Co gorsza, wierzył on jeszcze do tego w masę różnych, przestarzałych przesądów, godnych starej babci raczej, niż mężczyzny, na przykład: w to, że Anglików powinni karać tylko inni Anglicy, i ogólnie tego typu nonsensa. Protest swój wyraził nie tylko w mowie, ale i w druku. I bardzo szybko przekonał się, jak niebezpiecznie jest mieszać w wyższej polityce wysokoniemieckich militarystów. Delikatne uczucia zagranicznych najemników zdołały wreszcie powrócić do równowagi – po tym, jak wtrącono Cobbetta na dwa lata do Newagate[44] i zrujnowano grzywną w wysokości tysiąca funtów. Ów mało istotny epizod stanowi natomiast piękną i jasną ilustrację tego, czym było Święte Przymierze; tego, co naprawdę oznaczało dla niegdyś na poły zliberalizowanego kraju zaangażowanie się w sprawę obcych monarchów. To ten właśnie epizod, a nie *Spotkanie Wellingtona z Blucherem,* powinien zostać uwieczniony na płótnie jako kluczowy moment tamtej wojny. I to z niego porywczy fenianie powinni wydedukować, że teutońscy żołdacy nie ograniczali się wyłącznie do torturowania Irlandczyków. Równie gotowi byli torturować Anglików; jako iż większość żołdaków to ludzie zupełnie wolni od uprzedzeń. Dla Cobbetta, nasi sojusznicy zachowywali się wobec nas w sposób, którego nie powstydziliby się

44 Więzienie londyńskie, położone nieopodal wejścia do słynnego *City.*

porządni najeźdźcy. Bonuś[45] to były strachy na lachy; ale Niemiec – to był koszmar, zmora nocna, coś, co siedziało nam na piersiach i regularnie próbowało udusić. W wypadku Irlandii, Święte Przymierze oznaczało ruinę wszystkiego, co irlandzkie, od „*Credo* św. Patryka"[46] po samą barwę zieleni. W wypadku Anglii wszakże,

---

45 Oryg. *Boney* – pogardliwe określenie na Napoleona Bonaparte, popularne wśród brytyjskich żołnierzy.

46 Aluzja do jednego z dwóch irlandzkich *credo,* które ułożył za swojego życia św. Patryk. Jedno z nich, bardziej poetyckiej natury, można by przełożyć mniej-więcej tak (żeby wiedział Czytelnik, o czym tutaj mowa). Oczywiście, przekładam ze współczesnej angielszczyzny:

Nasz Bóg, Bóg wszystkich ludzi,
Bóg nieba i ziemi, mórz i rzek,
Bóg słońca i księżyca, i wszystkich gwiazd,
Bóg gór wyniosłych i dolin uniżonych,
Bóg ponad niebem, w niebie i pod niebem –

On to ma mieszkanie
w niebie, ziemi i morzu,
i wszystkich rzeczach,
co po nich igrają.

Wszystko sprawia,
wszystko ożywia,
jest ponad wszystkim,
wszystko podtrzymuje.

oznaczało ono ruinę wszystkiego, co angielskie – od *Habeas Corpus*[47] po Williama Cobbetta.

Po aferze z biczowaniem, chłostał on świat swym piórem niczym biczem – aż zmarł. Ów straszliwy pamflecista należał do grona tych osób, które istnieją po to, aby ujawnić różnicę pomiędzy biografią, a żywotem. Z jego biografii można się dowiedzieć tyle, że z torysa przemienił się on w radykała. Z jego żywota natomiast, gdyby ktoś go

Sprawia, że słońce jaśnieje swym blaskiem,
spowija księżyc i gwiazdy, oraz
źródła wykopał wśród jałowej ziemi,
wyspy lądu położył pośród morskich wód
i gwiazdy na niebie dla dwóch większych świateł.

Ma On Syna, współwiecznego z Sobą,
podobnego Sobie,
i nie jest Syn młodszy od Ojca,
ni Ojciec starszy od Syna.

I Duch Święty
w Nich Obydwu tchnie;
i nierozdzielni są:
Ojciec, Syn i Duch Święty.

47 Ustawa wydana w Anglii w 1679 roku, zakazująca aresztowania kogokolwiek bez nakazu sądowego. Zawieszona m.in. w 1794.

kiedyś spisał, jasno wynika, że był on torysem zawsze – ponieważ zawsze był radykałem. Niewielu ludzi zmieniało się mniej, niż on; i wokół niego politycy pokroju Pitta skręcali się i skakali, niczym fakirzy tańczący wokół świętej skały. Swój sekret zabrał ze sobą do grobu; a jest on taki, że Cobbettowi naprawdę zależało na prostych Anglikach. Był on konserwatystą, ponieważ kochał ich przeszłość – i liberałem, ponieważ troszczył się o ich przyszłość. A jednak – był także kimś znacznie więcej. Jego udziałem stały się dwie bardzo rzadkie w naszych czasach formy męstwa: gotowość do odcięcia się od zamierzchłych sukcesów oraz gotowość do stawienia czoła nadchodzącej zgubie. Burke powiedział, że niewielu jest zwolenników tyranii, która minęła; nie dodał, niestety, że jeszcze mniej jest krytyków tyranii, która przetrwała. Wpędzając się w coraz bardziej szaleńczą obsesję przeciwko Rewolucji Francuskiej, która ledwie przypadkiem wywłaszczyła bogaczy, nigdy nie skrytykował on (by być sprawiedliwym: może nigdy nie zauważył) Rewolucji Angielskiej, która zaczęła się od kasaty zakonów a zakończyła grodzeniem pól; rewolucji, która skutecznie i systematycznie wywłaszczała ubogich. Retorycznie budując wokół Anglików twierdzę, politycznie nie wpuściłby ich nawet na gminne pastwisko. Cobbett, myśliciel o znacznie większej wrażliwości historycznej, dostrzegł w Tudorowskim łupiestwie początki kapitalizmu i całym sercem je znienawidził; dostrzegł początki kapitalizmu w miastach przemysłowych – i całym sercem przeciwstawił się ich potwornej

ekspansji. Paradoks, który głosił, sprowadzał się zasadniczo do twierdzenia, że Opactwo Westminsterskie ma bardziej narodowy charakter, niż Opactwo Welbeck. Ten sam paradoks stał się w jego wypadku źródłem przekonania, że mieszkaniec hrabstwa Warwickshire czerpie większe powody do dumy ze Stradford-on-Avon, niż Birmingham. Szukanie Anglii w Birmingham wydałoby mu się czymś równie dziwnym, co szukanie Irlandii w Belfaście.

Prestiż doskonałego stylu Cobbetta zdołał przetrwać prześladowanie, jakie zgotowano jego równie doskonałym poglądom. Niemniej, stylu tego również się dzisiaj nie docenia – ze względu na utratę prawdziwej angielskiej tradycji literackiej. Zwolennicy ostrożniejszych szkół pisarstwa kompletnie przeoczyli fakt, że naturalny geniusz angielskiego języka sam z siebie dąży nie tylko do aktywności, ale wręcz agresji. Anglik z naszych rodzimych artykułów wstępnych to człowiek spokojny, zrównoważony i powściągliwy; tylko że taki Anglik – to po prostu Prusak. Same angielskie spółgłoski mówią głosem Cobbetta. Literacka wielkość dra Johnsona wychodziła zeń wtedy, gdy pisał „śmierdzi", a nie „putrefakcja". Weźmy niektóre nasze popularne powiedzenia, na przykład „pierze żabami" – zwróćmy uwagę nie tylko na samą ekstrawagancję obrazowania (choć jest ona bardzo Szekspirowska), ale przede wszystkim na jakąś chaotyczną energię, jaką cechuje się tutaj sama

pisownia. Zamiast „żaby” powiedzmy choćby „grenouilles” – i to już zupełnie co innego. Być może, że nasz stary, narodowy geniusz najlepiej przetrwał okres swojej urbanistycznej niewoli w starych, komicznych piosenkach, cieszących się podziwem wszystkich ludzi, którym nieobce są podróże i kultura kontynentu, tak pana Jerzego Moore’a[48], jak i pana Hilarego Belloca. Refren jednej z nich (do której jestem osobiście bardzo przywiązany) brzmiał:

„Wichrze południowy, wiej,

nanieś błota w usta mej

Janki, Janki, Janeczki”.

W tym wypadku również zwróćmy uwagę nie tylko na kolosalną wizję lepkich brył ziemi, porwanych przez tornado aż pod samo niebo, ale także na odpowiedniość samego brzmienia. Powiedzmy „vent” i „bouche” zamiast „wicher” i „błoto” - i to już zupełnie co innego. Cobbett to był właśnie taki wicher z południa; i jeśli zdawało się

48 Jerzy Moore (1852-1933) – irlandzki pisarz, poeta, dramaturg i krytyk literacki. Przedstawiciel naturalizmu. Prawdopodobnie jedyny człowiek, do którego Chesterton czuł prawdziwą antypatię. (Przypis z *Nowego Jeruzalem*)

czasami, że zatykał usta swoich przeciwników błotem, było to błoto z prawdziwej gleby Anglii Południowej.

I tak, jak jego pozornie szalony język jest bardzo literacki, tak jego pozornie szalone przesłanie jest bardzo historyczne. Większość ludzi go nie rozumie – ponieważ nie rozumie także różnicy pomiędzy wyolbrzymianiem prawdy a wyolbrzymianiem kłamstwa. Faktycznie, Cobbett przesadzał – ale na temat tego, co wiedział, a nie tego, czego nie wiedział. Wydaje się mówić paradoksami wyłącznie dlatego, że opowiadał się za tradycją, a przeciw modzie. Paradoks to rzecz fantastyczna, którą powiedziało się raz; moda to rzecz jeszcze bardziej fantastyczna, którą powtórzyło się dostatecznie wiele razy. W wypadku Cobbetta, mógłbym podać niezliczone przykłady tego, o co mi chodzi, tutaj wszakże podam Ci, Czytelniku, zaledwie jeden. Ktokolwiek, komu zdarzy się wejść na linię ognia nieokiełznanej furii tego człowieka, od czasu do czasu doznaje czegoś w rodzaju najzwyklejszego, fizycznego szoku. Nikt, kto przeczytał *Historię reformacji,* nie zdoła nigdy zapomnieć fragmentu (nie pamiętam teraz, jak dokładnie on brzmiał), w którym Cobbett mówi, że sama myśl o kimś takim, jak Cranmer, wystarczy, aby mózg zaczął kręcić się wokół własnej osi i, na jedną chwilę, zwątpił w dobroć Boga; lecz szybko odzyskuje dusza dawną wiarę i pokój – gdy tylko przypomni sobie, że Cranmera spalono ostatecznie żywcem na stosie. Trzeba

przyznać: to jest przesada. Zapiera dech w piersiach; dokładnie tak, jak powinno. Chodzi mi tutaj jednak o to, że znacznie dziwniejszym poglądem na osobę Cranmera był ten, który w czasach Cobbetta uchodził za obowiązujący; i który nie był tylko efemerycznym obrazem, ale trwałym, historycznym pomnikiem. Tysiące pastorów i pisarzy posłusznie zaliczało Cranmera w poczet świętych i męczenników; i wciąż jeszcze istnieje bardzo wiele godnych szacunku osób, które by to zrobiły. To nie wyolbrzymiona prawda – ale utrwalone kłamstwo. Cranmer nie był aż takim potworem niegodziwości, jaki wyłania się z kart *Historii reformacji*; był jednak naprawdę niegodziwy. W kwestii tego wszakże, czy był on mniej święty, niż mniemali o tym anglikańscy duchowni, nie ma w ogóle żadnego dylematu; bo nie był święty w żadnym zgoła stopniu; i jako grzesznik również nie odznaczał się jakąś specjalną atrakcyjnością. I w nie większym stopniu zasługuje on na miano męczennika za to, ze spłonął na stosie, niż Crippen[49] za to, że zginął na szubienicy.

Cobbett przegrał – ponieważ przegrali Anglicy. Po rozruchach luddystów, ludzie, jako ludzie, zostali pokonani; maszyny zaś, jako

49 Hawley Harvey Crippen (1862-1910) – angielski lekarz, oskarżony o zabójstwo żony i w 1910 roku skazany po głośnym procesie na karę śmierci przez powieszenie.

maszyny, odniosły zwycięstwo. Peterloo[50] w takim samym stopniu stanowiło klęskę Anglików, co Waterloo – klęskę Francuzów. Irlandia nie uzyskała praw do samostanowienia, ponieważ Anglia również nie zdołała ich uzyskać. Cobbett zaś nigdy nie przyłączyłby do nas Irlandii siłą – a tym bardziej nie przyłączyłby do nas siłą zimnego trupa tej ziemi. A jednak, przed swą porażką Cobbett miał ogromną rzeszę zwolenników; jego *Rejestr polityczny*[51] był tym, czym potem miały się stać wydawane w odcinkach powieści Dickensa. Dickens, tak na marginesie, odziedziczył zresztą ten sam instynkt do zwięzłości wypowiedzi i prawdopodobnie pisał „gaz i getry" z większą przyjemnością, niż jakiekolwiek inne słowa ze swych książek. Niemniej, Dickens miał także węższe niż Cobbett horyzonty – nie z własnej winy, ale dlatego, że w dzielącej ich epoce tryumfu Scrooge'ów i Gradgrindów[52] utraciliśmy ostatecznie wszelki związek z naszą chrześcijańską przeszłością, poza jednym małym wyjątkiem Świąt Bożego Narodzenia, które Dickens szarżą godną prawdziwego

---

50 Aluzja do tzw. „Masakry Peterloo", która miała miejsce16 sierpnia 1819 roku, kiedy angielska kawaleria przemocą rozbiła demonstrację domagającą się szeroko zakrojonych reform politycznych. Zginęło 15 osób.

51 Oryg. *Political Register* – tygodnik wydawany przez Williama Cobbetta w latach 1802-36. Początkowo protorysowski, szybko zaczął służyć szerzeniu poglądów, mówiąc po angielsku, radykalnych, np. idei rozszerzenia praw wyborczych na klasy pracujące. Około 1816 roku osiągnął imponujący jak na tamte czasy nakład 40 000 egzemplarzy.

52 Postać z powieści *Hard Times.*

romantyka, a i tak dosłownie o bardzo mały włos, zdołał ocalić od zguby. Cobbett był gospodarzem; to znaczy: wolnym człowiekiem, prowadzącym małe gospodarstwo. W czasach Dickensa, instytucja gospodarza wydawała się już takim samym przeżytkiem, jak instytucja łucznika. Cobbett miał średniowieczną duszę; to znaczy: reprezentował mniej więcej każdą możliwą odwrotność tego, co oznacza współcześnie słowo „średniowieczny". Był tak egalitarystyczny, jak św. Franciszek i tak niezależny, jak Robin Hood. Podobnie jak inni wolni chłopi z owej świetnej ballady, dzierżył on w swym ręku potężny łuk; o którym wielu z jego przeciwników powiedziałoby zapewne, że był on nie tyle mocno naciągnięty, co zwyczajnie naciągany. Lecz choć czasami rzeczywiście chybiał prawdy, nigdy nie potrafił celować celować w co innego – zupełnie inaczej niż na przykład Froude[53]. Jego opis wieku szesnastego, w którym upadła ostatecznie nasza chrześcijańska cywilizacja, nie jest od opisów Froude'a ani mniej, ani bardziej malowniczy; różnica leży w tym jednym, nudnym szczególe, jakim jest prawda. Efektem szesnastowiecznego kryzysu *nie* było ugruntowanie się silnej dynastii Tudorów – bo przecież dynastia ta prawie natychmiast wygasła; *było* nim natomiast pojawienie się nowej, potężnej klasy

53 Jakub Antoni Froude (1818-94) – angielski powieściopisarz i historyk, autor m.in. kontrowersyjnego dzieła *Historia Anglii od upadku Wolsey do zwycięstwa nad Wielką Armadą,* które przez angielskich liberałów oskarżane było o sprzyjanie despotyzmowi.

społecznej, skupiającej w swym ręku cały kapitał i całą własność ziemską – bo przecież istnieje ona do dziś. Nic nie sprawiłoby Cobbettowi takiej radości, jak możliwość naciągania swego średniowiecznego łuku przy wtórze okrzyku: „Za św. Jerzego i Anglię radosną!", bo choć pisarz ten zawsze wskazywał na drugą, brzydszą stronę Medalu Waterloo – to był patriotą; i jego złe przeczucia wiązały się raczej z Blucherem, niż Wellingtonem. Jeżeli jednak uznalibyśmy ów stary okrzyk bojowy za jego ostatnie słowo (i na pewno sam Cobbett nie miałby nic przeciwko temu), to przecież nie moglibyśmy nie zwrócić uwagi na fakt, że każdy z użytych w nim terminów oddala nas zasadniczo od wszystkiego, co współcześni plutokraci określają mianem „postępu" bądź „imperium". Zawiera on w sobie prośbę o wstawiennictwo świętych – najbardziej popularną i najsurowiej zakazaną formę mediewalizmu. Współczesnemu imperialiście Anglia kojarzy się ze św. Jerzym mniej więcej w takim samym stopniu, co Las św. Jana[54] w Londynie ze świętym Janem. Takie skojarzenia, to coś nacjonalistycznego w najbardziej zaściankowym sensie tego słowa; i nie zna piękna i prostoty wieków średnich nikt zgoła, kto choć raz w życiu nie zobaczył Krzyża św. Jerzego osobno,

54 Oryg. *St. John's Wood* – jedna z dzielnic angielskiej stolicy.

tak, jak powiewał on pod Cerçy[55] czy Flodden[56], i nie zauważył, o ile piękniejszy jest ów sztandar od sztandaru Unii. Słowo „radosna” stanowi natomiast świadectwo tego, jak słynna była Anglia ze swej muzyki i tańców, zanim pojawili się w niej purytanie i zanim resztek tej radości nie zdławiła ostatecznie dyscyplina społeczna wybitnie nie-angielskiej natury. Nie przez dwa lata, ale przez dziesięć dekad, Cobbett siedział w więzieniu; a jego wróg, ów „efektywny” obcokrajowiec, chodził sobie w pełnym świetle słońca, piękny, wspaniały, prawdziwy wzór dla każdego mężczyzny. Nie wydaje mi się zaś, by nawet Prusacy kiedykolwiek przechwalali się czymś takim, jak „radosne Prusy”.

---

55 Bitwa pod Cercy – starcie wojsk angielskich i francuskich, które miało miejsce 26 sierpnia 1346 roku. Francuzi przegrali ją pomimo ogromnej przewagi liczebnej.

56 Bitwa pod Flodden Field – starcie wojsk angielskich ze szkockimi oddziałami króla Jakuba IV, zakończone wielkim zwycięstwem Anglików, które miało miejsce 9 września 1513 roku. Szkoci byli w tej wojnie stroną agresywną.

Rozdział VI – Hamlet i Duńczycy

W jedynym klasycznym i doskonałym wytworze sztuki literackiej, jaki wydały z siebie Niemcy w toku całej historii – i nie chodzi mi tu o *Fausta,* ale *Baśnie braci Grimm* – znaleźć można rozkoszną opowieść o chłopcu, który pomimo przeżycia całego mnóstwa przygód nigdy nie nauczył się bać. Pamiętam, że podczas jednej z nich siedział on sobie przy kominku, gdy nagle wpadła przez ów kominek do środka para żywych nóg i jak gdyby nigdy nic zaczęła chodzić po pokoju. Jakiś czas później, tą samą drogą dołączyła do nich także cała reszta kwestii – lecz z fabularnego punktu widzenia to już niemal rozczarowanie. Cały ten obraz jest natomiast niezwykle uroczy i pełno w nim najlepszego niemieckiego domatorstwa. W bardzo jasny sposób pokazuje on, jak szalonych przygód może doświadczyć podróżnik, jeżeli tylko zdecyduje się zatrzymać na moment w domu. Niemniej, stanowi także wieloaspektowe świadectwo tego, że ów wielki wpływ Niemiec na Anglię, główny temat niniejszych esejów, zaczął się od rzeczy dobrych, i potem stopniowo się zdegenerował. Oto bowiem zaczął się on jako wpływ

literacki, od opowiadań Hoffmana[57], *Sintrama*[58] i tak dalej; od ponownego skierowania naszych oczu ku mrokom owej gęstej puszczy, wciąż stanowiącej tło dla jasnych miast Europy. Ta wiekowa, niemiecka ciemność miała zaś w sobie niepomiernie więcej życia, niż nowe, niemieckie światło. Niemieckie diabły były znacznie lepsze, niż niemieccy aniołowie. Spójrzcie choćby na teutońskie obrazy „Trzech myśliwych" i zwróćcie uwagę, że podczas gdy zły myśliwy w pewnym sensie robi wcale niezłe wrażenie, dobry myśliwy to w każdym możliwym sensie totalna porażka – wygląda niczym jakaś bezpłciowa kobieta, z twarzą przypominającą łyżeczkę do herbaty. Jest jednak w tych pierwszych opowieściach lasu, tych swojskich horrorach, coś więcej. W swoich wcześniejszych stadiach, mają one w sobie prawdziwą sól zbawienia – dlatego właśnie, że ich młody bohater się *nie* boi. Są straszne – po to, aby on mógł stać się nieustraszony. Jak długo ograniczenie niniejsze obowiązuje, owa barbarzyńska kraina snów pozostaje przyzwoita; i choć jednostki

57 Ernest Teodor Amadeusz Hoffman (1776-1822) – niemiecki pisarz, poeta, wybitny romantyk, autor wielu opowieści niesamowitych, cieszących się wielką popularnością w całej Europie.

58 Opowiadanie niesamowite o tematyce świątecznej, utrzymane w mrocznej i strasznej konwencji, autorstwa pana Fryderyka de la Motte Fouqué (1777-1843), niemieckiego pisarza romantycznego.

takie jak Coleridge i De Quincey[59] domieszały do niej także kilka gorszych rzeczy (opium, na przykład), w sensie ogólnym udało im się zachować w swoim pisarstwie ten podstawowy romantyzm. Niemniej, las ma także do siebie jedną jedyną wadę – można się w nim zgubić. I jedyne niebezpieczeństwo, jakie się z nim wiąże, polega nie na tym, że można tam spotkać diabły – ale że można zacząć je czcić. Innymi słowy, jest to niebezpieczeństwo, które zawsze łączył z lasem zdrowy instynkt folkloru; to *urok* – albo stałe zatracenie się w czymś rodzaju jakiejś nienaturalnej niewoli, jakiegoś duchowego niewolnictwa. W ewolucji germanizmu natomiast, od Hoffmana do Hauptmanna[60], naprawdę zobaczyć można postępująca tendencję do brania grozy na poważnie – a to już zwykły satanizm. Niemiec nabywa jakiejś upiornej i abstrakcyjnej sympatii do siły i strachu, które opisuje, bez specjalnego związku z ich rzeczywistym sensem. Niemiec nie stoi już po stronie chłopca, który walczy z goblinem, ale goblina, który usiłuje zjeść chłopca. Towarzyszy temu, jak zwykle w wypadku bałwochwalstwa, swego rodzaju zdehumanizowana powaga; ludzie lasu wznoszą już na pobliskiej górze pusty tron dla nadczłowieka. I to jest dokładnie ten moment,

---

59 Tomasz De Quincey (1785-1859) – angielski pisarz epoki romantyzmu, jeden z najznamienitszych angielskich eseistów. Autor m.in. *Wyznań angielskiego opiumisty.*

60 Prawdopodobnie Gerard Hauptmann (1862-1946) – niemiecki dramaturg, przedstawiciel naturalizmu, uhonorowany w 1912 roku Nagrodą Nobla.

w którym ja na pewno, a także większość osób, które kochają prawdę na równi z opowieścią, traci zainteresowanie sprawą. Całym sercem popieram „szukanie szczęścia po szerokim świecie", nie chcę go jednak żadną miarą znaleźć – a na pewno nie po to tylko, aby przekonać się, że tkwi ono, skute łańcuchami, pośród rzędów zlodowaciałych postaci różnych „Siegesallees"[61]. Nie chciałbym zostać bałwochwalcą, a tym mniej – bałwanem. Całym sercem popieram wyprawy do krainy wróżek, całym sercem popieram jednak także powroty do domu. Innymi słowy: gotów jestem podziwiać, na pewno nie dam się jednak urzec – ani mistycyzmowi, ani militaryzmowi. Całym sercem popieram niemiecką fantazję, do śmierci wszakże będę zwalczał niemieckie namaszczenie. Całym sercem popieram baśnie braci Grimm; jeżeli jednak istnieje coś takiego, jak „prawo braci Grimm" – złamałbym je tak szybko, jak tylko bym się o tym dowiedział. Lubię, kiedy nogi jakiegoś Prusaka (w jego pięknych, lśniących butach) wpadają mi przez kominek do domu i zaczynają po nim chodzić. Kiedy jednak Prusak ów wyciąga do tego z zanadrza głowę i zaczyna gadać, przyznaję, że trochę mnie to nudzi. Niemcy nie potrafią osiągnąć realnej głębi – ponieważ nie chcą zgodzić się na powierzchowność. Są pod urokiem sztuki – więc tylko się na nią gapią, nie potrafiąc ogarnąć. Nie chcą przyjąć do wiadomości, ze sztuka to tylko ruch i puch – małe piórko, nawet jeżeli

61 Z niemieckiego: Siegesallee – aleja zwycięstwa.

naprawdę ze skrzydeł anioła. Tylko że szlam znajduje się na dnie jeziora; a niebo – na jego powierzchni. Można to jasno zobaczyć w wypadku owego jakże typowego procesu, jakim jest germanizacja Szekspira. Nie mam Niemcom za złego tego, że zapominają, że Szekspir był Anglikiem. Mam im jednak za złe to, że zapominają, że był on człowiekiem; że miewał humory, że popełniał błędy i że, przede wszystkim, zdawał sobie sprawę, że jego sztuka to tylko sztuka, a nie jeden z przymiotów Boga. Taki jest właśnie problem z Niemcami; nie mogą „dzwonić na swych pragnień zgon”[62]; w dźwięku ich dzwonów nie ma ani jednej radosnej nuty. Fraza z Hamleta, mówiąca o „trzymaniu zwierciadła naturze”, w ustach podobnie namaszczonych krytyków zawsze znaczy tyle, że sztuka jest sztuką, jeśli jest realistyczna. W rzeczywistości znaczy ona jednak tyle (a przynajmniej tyle znaczyła w rzeczywistych myślach swojego autora), że sztuka jest sztuką – jeżeli jest sztuczna. Realiści, podobnie jak inni tego typu barbarzyńcy, naprawdę temu lustru *wierzą*; i dlatego też je tłuką. Pomijają oni również w każdym wypadku wyrażenie „jak gdyby”, które należy wczytywać we wszystkie poczynione przez Szekspira spostrzeżenia – a szczególnie w spostrzeżenia czynione przez Hamleta. To, o co mi chodzi, gdy mówię o wierze w lustrzane odbicia i tłuczeniu luster, dostrzec można także w pewnym konkretnym wypadku, który akurat

62 Aluzja do Kupca weneckiego.

pamiętam; gdy jeden niemiecki krytyk-realista cytował przeróżne niemieckie autorytety celem udowodnienia, że Hamlet miał przedziwne zaburzenia natury psychopatologicznej, o których nigdy się w tej sztuce otwarcie nie wspomina. Otóż krytyk ów – ewidentnie był pod jakimś urokiem; myślał o Hamlecie w taki sposób, jakby był to prawdziwy człowiek, z tłem głębokim na trzy bite wymiary – nieistniejące przecież w lustrzanym odbiciu. „Najlepsze z nich to ledwie cienie”[63]. Żaden niemiecki komentator nie poświęcił tej kwestii wystarczająco wiele uwagi. Tak czy inaczej wszakże, Szekspir był Anglikiem; i nigdzie nie był bardziej angielski, niż w swoich błędach; nigdy jednak nie pisał tak udanie, jak wtedy, gdy charakteryzował bardzo angielskie typy osobowości. I jeżeli można powiedzieć o Hamlecie cokolwiek, czego nie powiedział o nim sam Szekspir, powiedziałbym, że Hamlet również był Anglikiem. Tyleż Anglikiem, co gentlemanem – i że miał liczne i poważne bolączki, łączące się tak z jednym, jak i z drugim. Główną angielską wadę narodową, szczególnie w wieku dziewiętnastym, stanowił brak zdecydowania – i to nie tylko brak zdecydowania w działaniu, ale także brak równie istotnego zdecydowania w myśleniu, nazywanego przez niektórych dogmatem. I w polityce ubiegłego wieku, ów angielski Hamlet, jak zaraz się przekonamy, naprawdę odegrał

63 Aluzja do Snu nocy letniej.

bardzo ważną rolę – a może raczej: postanowił jej właśnie nie odgrywać.

Były zatem we wpływie niemieckim dwa elementy; swego rodzaju przyjemna zabawa z grozą oraz jak najbardziej poważne zrozumienie natury gróźb. Pierwszy prowadził do krainy elfów, drugi do – powiedzmy, Prus. I z tym samym nieuświadomionym symbolizmem, który przenika całą niniejszą opowieść, szybko przekonaliśmy się, w bardzo dramatyczny sposób i w związku z bardzo konkretną kwestią polityczną, czy przedmiot naszego prawdziwego szacunku stanowiła teutońska twórczość, czy teutońska trwoga.

Germanizacja Anglii, w punkcie zwrotnym swojej transformacji, znalazła bardzo udane uosobienie w geniuszu Carlyle'a. Pierwotny czar Niemiec był czarem dziecka. Teutoni nigdy nie osiągali takiej wielkości, jak wtedy, gdy byli dziecinni; w ich sztuce religijnej oraz wyobraźni ludowej Dziecię Jezus to naprawdę dziecię – choć dorosły Jezus z ledwością przypomina mężczyznę. Na poły świadomą nadaktywność ich pedagogii na poły usprawiedliwia ów nieświadomy wdzięk, dla którego szkoła nie jawiła się jako rozsadnik obywateli, ale po prostu ogródek maluchów. Pierwszym i najlepszym z duchów leśnych jest zawsze dzieciństwo – jego zdumienie, jego samowola, a nawet jego wciąż niewinny strach. Carlyle stanowi

nieomylny znak momentu, w którym niemieckiego dziecko staje się rozpuszczone. Zdumienie zamienia się w zwykły mistycyzm; zwykły mistycyzm zaś, zawsze zamienia się ostatecznie w zwykły immoralizm. Samowolę już nie tyle się lubi – co naprawdę zaczyna się jej czynić zadość. Strach staje się filozofią. Panika twardnieje w pesymizm; albo, co bardzo często stanowi rzecz równie depresyjną, w optymizm.

Carlyle, najpoważniejszy pisarz tamtego okresu, symbolicznie oddaje to wszystko przy pomocy dystansu umysłowego, jaki dzieli jego *Rewolucją Francuską i Fryderyka Wielkiego. W* obu tych dziełach był on bardzo niemiecki. Carlyle naprawdę był równie sentymentalny, co Goethe; Goethe zaś – równie sentymentalny, co Werter. Carlyle rozumiał wszystko, co tyczyło się Rewolucji Francuskiej, poza jedną rzeczą – żeby była to rewolucja francuska. Nie mógł pojąć na czym polega ów zimny gniew, wynikający z miłości do znieważonej prawdy. Wydawało mu się czymś absurdalnym, że ktoś mógłby zginąć, lub zabijać, za pierwsze twierdzenie Euklidesa; że mógłby zachwycać się równością społeczną tak, jak trójkątem, który ma trzy równe boki; albo bronić *pontis asinorum*[64] tak, jak Horacjusz Codes

64 Po polsku „most osłów" – jedno z twierdzeń Euklidesa (wespół z dołączonym dowodem), mówiące, że dwa kąty przy podstawie trójkąta równoramiennego mają tyle samo stopni.

bronił mostu na Tybrze[65]. Niemniej, nikt, kto tego nie potrafi tego zrozumieć, nie zrozumie nigdy Rewolucji Francuskiej – ani, tak nawiasem mówiąc, Rewolucji Amerykańskiej. „Uważamy te prawdy za same przez się oczywiste": to był jeden wielki fanatyzm truizmu. Lecz choć Carlyle nie miał ani krzty prawdziwego szacunku do demokracji, to na pewno miał wielkie nabożeństwo do anarchii. Uwielbiał energię żywiołów. Przemoc, w wypadku większości ludzi stanowiąca przyczynę niechęci do Rewolucji, w wypadku Carlyle'a stanowiła jedyną przyczynę, dla której darzył ją sympatią. Podczas gdy wig taki jak Macaulay szanował żyrondystów i pogardzał jakobinami, torys taki jak Carlyle względnie przyjaźnie odnosił się do jakobinów i cokolwiek przesadnie nienawidził żyrondystów. Owo pragnienie amorficznej mocy ma swoje źródło, rzecz jasna, w puszczy – w Niemczech. Niemniej, gdy Carlyle już tam dotarł, ktoś rzucił na niego jakieś dziwne zaklęcie, które stało się potem jego tragedią, a także tragedią Anglii – i, w znacznym stopniu, tragedią samych Niemiec. Prawdziwy romans Teutonów w dużej mierze stanowił romans Teutonów z południa, z ich zamkami, które praktycznie

65 Aluzja do jednej z rzymskich legend, w której to rzeczony Horacjusz Codes (obecnie pisany raczej jako „Cocles" lub „Kokles", czyli „Jednooki"; w czasach Chestertona wersja „Codes" miała status obowiązującej) wraz z dwoma towarzyszami, Spuriuszem Larcjuszem i Tytusem Herminiuszem, bronił mostu na Tybrze przed wojskami etruskimi, zawezwanymi na pomoc przez obalonego króla, Tarkwiniusza Pysznego.

dosłownie nazwać można zamkami w chmurach, oraz ich rzeką, po obu stronach której wznoszą się potężne ściany winnic, i której nazwa tak naturalnie rymuje się ze słowem „sen". Skoro jednak romans Carlyle'a był w swej istocie romansem podboju, musiał on udowodnić, że to, co podbiło Niemcy, miało w sobie więcej poezji, niż cała reszta tego kraju. Tymczasem zaś to, co podbiło Niemcy, to była możliwie najbardziej prozaiczna rzecz, którą świat zdążył się w swojej historii kiedykolwiek znudzić. W Britxon da się znaleźć o niebo więcej poezji, niż w Berlinie. Stella[66] powiedziała kiedyś, ze Swift potrafiłby napisać coś pięknego nawet na temat szczotki; biedny Carlyle zaś, zmuszony był pisać pięknie na temat wyciorów do armaty. Wystarczy porównać go choćby do Heinego[67], który podzielał jego abstrakcyjne upodobanie w mistycznych groteskach Germanii, ale który wiedział również bardzo dobrze, kto jest jego wrogiem; i ofiarował się zrobić z pruskiego orła, jakby był to ledwie wyliniały kruk, tarczę strzelniczą dla łuczników Renu. Prozaiczności germańskiego ducha dowodzi zaś nie tyle to, że nie wydał ona z siebie poetów; ale przeciwnie – znacznie bardziej śmiercionośny fakt, że to zrobił. Dla przykładu, poezja, którą naprawdę pisywał w swoim życiu Fryderyk Wielki, nie jest nawet jakoś szczególnie niemiecka czy

---

66 Właściwie: Estera Johnson (1681-1728) – brytyjska pisarka i przyjaciółka Jonatana Swifta.

67 Prawdopodobnie Henryk Heine (1797-1856) – niemiecki pisarz i poeta romantyczny pochodzenia żydowskiego; wielki krytyk kultury swojego kraju.

barbarzyńska, ale po prostu słaba – i francuska. Tak też Carlyle stawał się coraz bardziej ponury – w miarę, jak czerń jego melancholii upodabniała się coraz bardziej do czerni pruskiego godła; i nie można się temu dziwić. Najdojrzalszy owoc jego filozofii stanowiła teza, że Prusacy byli pierwszymi spośród Niemców, a zatem – pierwszymi spośród wszystkich ludzi. Nie dziw zatem, że nie żywił w stosunku do reszty jakichś przesadnych nadziei.

Niemniej, Carlyle'a i Anglię czekała jeszcze poważniejsza próba. Prusy, ciężkie, opresyjne, materialistyczne niczym szlam, zestalały się i umacniały po tym, jak zwycięska Rosja i zwycięska Anglia podniosły je z kolan, na które upadły po klęskach zadanych im przez Napoleona. W tamtym okresie miały miejsce dwa kluczowe wydarzenia: polskie odrodzenie narodowe, do którego Rosja prawie że gotowa była odnosić się przychylnie, lecz które Prusy chciały za wszelką cenę zdławić; i fakt, że król pruski odmówił przyjęcia korony zjednoczonych Niemiec – wyłącznie z tego powodu, że zaoferowało mu ją wolne Zgromadzenie Narodowe. Prusy nie chciały bowiem przewodzić Niemcom: tylko Niemców podbić. Najpierw zaś, chciały podbić także inne narody. Znalazły już do tego czasu swe brutalne, pomimo całego komizmu tej postaci, uosobienie w Bismarcku; który zaczął swoją karierę od rzadko okrutnej, acz i niepozbawionej humoru intrygi. Oto bowiem podjął on, czy raczej udawał, że tak się

stało, stare roszczenia księcia Oldenburgu do kilku państewek, w świetle zupełnie racjonalnych praw wchodzących w skład ziem królestwa Danii. W ramach poparcia dla tego niewiele znaczącego pretendenta, zwerbował dwie zasadnicze siły: germańską instytucję zwaną „Bund” oraz Cesarstwo Austriackie. Nie trzeba chyba dodawać, że po tym, jak z najczystszą pruską brutalnością zdobył ostatecznie rzeczone prowincje, natychmiast wykopał z nich księcia Oldenburgu, wykopał z nich Związek Niemiecki, i, ostatecznie, wykopał z nich także Austrię – po błyskawicznej kampanii wojennej w okolicach Sadowy. Był dobrym mężem i dobrym ojcem; nie malował akwareli; i do takich jak on należy Królestwo Niebieskie. Symboliczna treść tych wypadków była jednak taka, jak następuje. Duńczycy spodziewali się, ze Anglia weźmie ich w obronę; i gdyby w idealnej stronie naszego teutonizmu dało się znaleźć choć trochę szczerości – to właśnie powinniśmy byli uczynić. Powinniśmy byli to uczynić nawet według standardów intelektualnego snobizmu tamtych czasów, w których mówiło się już przecież o niższości ludów łacińskich; i w których nigdy nie nudziło się ludziom gadać o tym, jak to naród kardynała Richelieu nie potrafi rządzić, a kraj Napoleona – walczyć. Jednak jeżeli w wypadku kogokolwiek teutońskie pochodzenie stanowiło nieodzowny warunek akcji ratunkowej, to Duńczycy byli Teutonami w stopniu znacznie większym, niż Prusacy. Jeżeli rzeczywiście fakt, że jest się potomkiem Wikingów, miał aż tak kapitalne znaczenie, to Duńczycy naprawdę byli potomkami

Wikingów – Prusacy zaś: mieszaniny słowiańskich dzikusów. Jeżeli protestantyzm rzeczywiście stanowił postęp, to Duńczycy naprawdę wyznawali protestantyzm; osiągając jednocześnie niemałe sukcesy i bogactwo w dziedzinie drobnej własności prywatnej i troskliwej pracy na roli, które tak często stanowią chlubę katolickich ziem. We frapującym poniekąd stopniu były ich udziałem wszystkie te rzeczy, które przypisuje się Germanom w kontraście do łacińskiego rewolucjonizmu; subtelna wolność, nienachalny dobrobyt, prosta miłość do morza i pól. Przede wszystkim jednak, mocą tego samego zbiegu okoliczności, który powraca w tym dramacie raz po raz, jak zły sen, Anglicy owej wiktoriańskiej epoki swe najświeższe doświadczenia z owym północnym duchem dziecięctwa i cudowności przeżyli dzięki książkom duńskiego geniusza, którego bajki i szkice osiągnęły w Anglii popularność tak wielką, że omal nie stały się angielskie. Niezależnie od tego, jak dobre są *Baśnie braci Grimm,* współcześni Niemcy je tylko zebrali, a nie stworzyli; stanowiły one muzeum rzeczy starszych niż jakikolwiek naród, z pozbawionych dat czasów „dawno, dawno temu". Gdy angielscy romantycy pragnęli spotkać się z duchem folkloru, który ciągle żyje, znajdowali go w małym kraju jednego z owych mało znaczących królów, którymi niemal komicznie naszpikowane są ludowe opowieści. Tam właśnie bowiem znajdowali kogoś, kogo możemy określić mianem twórcy oryginalnego, a który mimo to stanowił niemal żywy symbol początków stworzenia. Znajdowali całą krainę

elfów, ukrytą pod jednym, dziewiętnastowiecznym kapeluszem. Ci spośród angielskich pisarzy, którzy byli w tamtych czasach dziećmi, zawdzięczają Janowi Andersenowi więcej, niż któremukolwiek ze swych własnych pisarzy, ową kluczową i pouczającą emocję, pozwalającą wyczuć, że dom to rzecz nie nudna, ale raczej fantastyczna; owo poczucie, że meble to kraina czarów, a podwórko to miejsce przygód i podróży. Sposób, w jaki opisywał rzeczy nieożywione jako ożywione, to nie była tylko jakaś zimna i niezdarna alegoria; stanowiło to prawdziwy wyraz poczucia, że w rzeczach, które są, drzemie jakaś niema iskra boskości. Dzięki niemu, w oczach dziecka krzesło, na którym siedziało, wyglądało trochę jak drewniany koń. Dzięki niemu dzieci, a także szczęśliwsi spośród ludzi dorosłych, czuli się pod własnym dachem tak, jak gdyby osłaniało ich skrzydło jakiegoś wielkiego, domowego ptaka; a zwykłe drzwi wydawały im się wielkimi ustami, wypowiadającymi do nich serdeczne słowa powitania. Opowieścią „Choinka" zasadził on w Anglii żywą roślinę, która ciągle jeszcze może rozkwitać świeczkami. W „Ołowianym żołnierzyku" zaś, doskonale bronił romantycznego militaryzmu przed atakami przeróżnych namaszczeńców, którzy zabroniliby ją czytać nawet dzieciom z przedszkola. Sugerował, zgodnie z najprawdziwszą tradycją podań ludowych, że godność walczącego leży nie tyle w jego wielkości, co raczej małości, w niewzruszonej lojalności i bezradnym heroizmie, jakie przejawia wobec podlejszych i potężniejszych rzeczy. Wszystko to, niestety, to ledwie alegoria. Gdy

Prusy, nie doczekawszy się kary za swe zbrodnie, zaczęły popełniać je nie tylko w Danii, ale i we Francji, Carlyle i cała jego szkoła włożyli sporo wysiłku w usprawiedliwienie swego germanizmu, przy czym metodą było tutaj przeciwstawianie tego, co nazywali pobożnością i prostotą Niemców temu, co nazywali cynizmem i lubieżnością Francuzów. Nikt jednak nie byłby w stanie udawać, że Bismarck był pobożniejszy i prostszy, niż Jan Andersen; i cóż? – oto uczniowie Carlyle'a patrzyli ze spokojem i aprobatą, jak zabawkowe królestwo miażdżono tak, jak gdyby naprawdę było zabawką. W tym wypadku również jest czymś nadzwyczaj prawdopodobnym, że Anglia opowiedziałaby się po właściwej stronie – gdyby tylko rządzili nią Anglicy. Abstrahując od innych zbiegów okoliczności, duńska księżniczka, małżonka dziedzica angielskiego tronu, jawiła się naszemu ludowi jako księżniczka z bajki. Jeden z poetów naszego narodu wysławiał ją jako córkę władców mórz; i naprawdę była ona, i wciąż zresztą jest, najpopularniejszym członkiem angielskiej rodziny królewskiej. Jakikolwiek byłby jednak wtedy angielski lud, angielscy politycy znajdowali się na najbardziej bojaźliwym poziomie bojaźliwości i lęku przed przemocą, na jaki kiedykolwiek zdarzyło im się upaść. Ołowianego żołnierzyka duńskiej armii i papierowy okręcik duńskiej marynarki, dokładnie tak, jak w opowieści, porwał bez litości rwący nurt, który płynie przez ów wielki rynsztok, przez ową kolosalną kloakę, wiodącą do ogromnych szamb Berlina.

Lecz dlaczego, w istocie, Anglia nie interweniowała? Podano już wiele powodów tego stanu rzeczy, wszystkie one jednak, jak sądzę stanowią ledwie różnorodne konsekwencje powodu bardziej podstawowego; pośrednie i czasem wręcz nielogiczne skutki tego, co określiliśmy mianem germanizacji Anglii. Po pierwsze, sam nacisk, jaki kładliśmy na nasze wyspiarstwo, miał charakter barbarzyński, ponieważ oznaczał odmowę uczestnictwa w obradach najistotniejszego senatu narodów. To, co nazywaliśmy „wspaniałą izolacją", przeistoczyło się w haniebne, ciche wspólnictwo z Prusami. Po wtóre, znakomicie wyszkolili nas w nieodpowiedzialności nasi

współcześni historycy, Freeman[68] i Green[69], tłumaczący nam, że powinniśmy szczycić się nie tyle naszym możliwym

68 Prawdopodobnie Edward August Freeman (1823-92) – angielski historyk, artysta i liberał, autor sześciotomowego dzieła *Historia Podboju Normańskiego.* Obecnie bardzo ceniony za swoją „dokładność, bezstronność i życzliwość", co zapewne stanowi przyczynę pomijania milczeniem ciekawego faktu, że był on także jednym z najżarliwszych zwolenników angielskiego „anglosaksonizmu", z całą towarzyszącą mu mitologią postępu oraz teorią rasową (za postęp ludzkości odpowiadać miała „aryjska rodzina narodów", której poszczególni przedstawiciele: Grecy, Rzymianie i Teutoni [*sic!*], odgrywali w następujących po sobie epokach rolę wiodącą, polegającą zasadniczo na działaniu państwotwórczym [przykładem praktycznej realizacji tych aprioryzmów może być choćby śledzenie „nieprzerwanej ciągłości" angielskiego parlamentaryzmu aż do czasów tzw. „podboju saskiego"]; co, rzecz jasna, uprawniało ich do panowania nad całą reszta mniej uzdolnionych nacji). Ja przepraszam, że się tak tutaj Gilbertowi wtranżalam, ale mam lekką szajbę na punkcie tropienia podobnych „zaskakujących zbiegów okoliczności", o których współcześnie raczej się nie wspomina, a które rzucają poniekąd nowe światło na genezę narodowego socjalizmu, stanowiącą obecnie przedmiot różnorakich osobliwości werbalnych – wygłaszanych szczególnie z pozycji „ideologii postępu", co stanowi jeszcze jeden dowód na to, że przedstawiciele tej subtelnej religii naprawdę mają dużo pracy domowej do odrobienia; sugerowałbym, aby zaczęli jak najprędzej, bo się mogą nie wygrzebać.

69 Prawdopodobnie Jan Ryszard Green (1837-1883) – angielski historyk, przez pewien czas pracujący w charakterze anglikańskiego pastora; autor poczytnej *Krótkiej historii ludu angielskiego*, w której motywem centralnym jest (bo cóż innego by to mogło być?) pojęcie *postępu.* Oczywiście, genezy wszystkiego, co w Anglii angielskie i dobre, upatrywał on w kulturze tzw. „Sasów", jako rasy lepszej i szlachetniejszej od Celtów drobniejszego płazu.

pokrewieństwem z królem Arturem, co raczej z bandą jego bezimiennych wrogów. Król Artur może nie być postacią historyczną – jest jednak przynajmniej postacią legendarną. Hengest i Horsa[70] zaś, nie byli legendarni – bo nie zostawili po sobie żadnej zgoła legendy. Każdy łatwo może zorientować się, co stanowiło podstawowy warunek służby na dworze króla Artura; człowiek, który mu służył, musiał być rycerski – czyli, inaczej mówiąc: musiał być Europejczykiem. Nikt jednak nie mógłby nawet próbować wyobrazić sobie, co stanowiło podstawowy warunek służby na dworze króla Horsy – chyba że chodziło tutaj, stosownie do źródłosłowu jego imienia, o miłość do koni. I to być może jedyny punkt anglosaskiego programu, który współcześni Anglicy rzeczywiście wprowadzili w życie. Później, podczas bardzo realnego regresu, jaki dokonał się od Cobbetta do Cobdena[71] (to znaczy: od wielkodusznej do skarlałej

---

70 Hengest i Horsa – dwaj sascy władcy Kentu, opisywani w *Kościelnej historii ludu angielskiego* autorstwa św. Bedy. Mieli pomóc Brytom w zwycięstwie nad Piktami, aby potem wypowiedzieć im posłuszeństwo i założyć własne państwo. Historyczność obu postaci na ogół się podważa, choć bronił jej np. niejaki J.R.R. Tolkien.

71 Ryszard Cobden (1804-65) – jeden z głównych ideologów angielskiego leseferyzmu, fabrykant, zwolennik koncepcji Anglii jako „warsztatu całego świata". Wspólnie z Jane Brightem, swym przyjacielem (o którym za moment) wylobbował ostatecznie zniesienie ustaw zbożowych (czyli systemu ceł na import zbóż do Wielkiej Brytanii, obowiązującego od 1815 roku). Trzeba przyznać, że giętkością języka zjednał dla tej idei lud angielski – choć wcale nie działa w jego interesie

wersji męskości i zdrowego rozsądku), pojawił się na naszych ziemiach kult bardzo osobliwego typu pokoju, który mieli zanieść całemu światu już nie pielgrzymi – ale przekupnie. Mistycy od samego początku składali śluby pokoju – dodawali jednak także do nich śluby ubóstwa. Śluby ubóstwa – to nie była rzecz w stylu szanującego się cobdenisty. Na domiar złego, zaczął towarzyszyć temu także stale degenerujący się obyczaj regularnego wychwalania Prus, krzewieniu którego poświęciło się zacne grono zwolenników Carlyle'a. Poza tymi zjawiskami wszakże, działało tutaj również coś jeszcze, jakiś osobliwy duch, który zakaził nas wszystkich bez wyjątku. Ów duch – to był duch Hamleta. Nadaliśmy wzniosłe imię „ewolucji" przekonaniu, że wszystko robi się samo. Nasze bogactwo, nasza izolacja, nasza stopniowa utrata wiary odurzyły nas tak bardzo, że stara, chrześcijańska Anglia prześladowała nas niczym duch, w którego nie mogliśmy już uwierzyć. Arystokrata taki jak Palmerstone[72], kochający wolność i nienawidzący

(jakże typowe dla czasów „demokracji"), tylko w interesie wielkich przemysłowców. I to niekoniecznie jest sąd moralny, tylko stwierdzenie faktu. (Przypis z *Williama Cobbetta*)

72 Henryk Temple, 3-ci wicehrabia Palmerstone (1784-1864) – angielski polityk stronnictwa torysów, premier i minister spraw zagranicznych. Przeciwnik rozszerzania praw wyborczych na robotników i zwolennik doktryny „równowagi sił w Europie". Autor zdania: „Wielka Brytania nie ma wiecznych sojuszników, ani wiecznych wrogów; wieczne są tylko interesy Wielkiej Brytanii i obowiązek ich ochrony". (Przypis z *Nowego Jeruzalem*)

parweniuszowskiego despotyzmu, gdy spoglądał na jego zimną brutalność, musiał zadawać sobie w duszy dokładnie to samo pytanie, co Hamlet – czy jestem tchórzem?

bo w istocie –

muszę mieć chyba wnętrzności gołębia,

i brak zupełny żółci, nadającej,

gorycz poczucia krzywdy, kiedym jeszcze

nie napasł dotąd stada sępów ścierwem

tego nędznika[73].

Zmusiliśmy do milczenia zarówno nasz gniew, jak i nasz honor; a jednak – nie przyniosło nam to pokoju.

---

73 Fragment w przekładzie Józefa Paszkowskiego.

Rozdział VII – Środek europejskiej nocy

W poczet mniejszych zbrodni angielskich policzyć można płytką krytykę i szybkie odwrócenie się od Napoleona III. Anglicy doby wiktoriańskiej mieli bardzo zły nawyk poddawania się wpływom pewnych słów, z jednoczesnym udawaniem, że mają je w pogardzie. Całą swoją filozofię historii budowali w oparciu o dwa lub trzy tytuły – potem zaś nie chcieli wiedzieć nawet, jak powinno się je poprawnie pisać. Zrównoważony wiktoriański gentleman, ze swoimi bokobrodami i prawem wyborczym, z zadowoleniem poprzestawał na twierdzeniu, że zarówno Ludwik Napoleon jak i Wilhelm I, to cesarze – czyli, jak miał na myśli, autokraci. Jego bokobrody zaś, nastroszyłyby się ze złości, a on sam rzucił się z furią na twój głupi zwyczaj dzielenia włosa na czworo i szczególarski „żargon", gdybyś odpowiedział mu na to, że Wilhelm to cesarz niemiecki, Napoleon zaś – nie cesarz francuski, lecz ledwie cesarz Francuzów. Przecież to tylko kwestia słówek – jakie to może mieć znaczenie? A jednak, ten sam wiktoriański gentleman wykazywałby na pewno większy poziom zaangażowania, gdyby dowiedział się, że choć chciał skorzystać z usług magistra sztuk wyzwolonych, musi zadowolić się usługami magistra sztuk pięknych. Jego irytacja wzrosłaby zaś zapewne przynajmniej troszeczkę, gdyby rzeczony malarz, obiecawszy mu ładny krajobraz, wyszedł na moment i wrócił z mapą;

albo gdyby podczas malowania jego domu nasz estetyczny humorysta zapowiedział, że skoczy do sklepu po trochę czerwieni indiańskiej – i wrócił z czerwonoskórym Indianinem.

Anglik ów za nic nie chciałby zrozumieć, że jeżeli między cesarzem francuskim a cesarzem Francuzów zachodzi wyłącznie różnica natury werbalnej, to również, skoro już o tym mówimy, wyłącznie różnica natury werbalnej zachodziłaby między cesarzem a republiką, a nawet parlamentem a brakiem parlamentu. Dla niego „cesarz" oznaczał po prostu „despotyzm"; nie dowiedział się jeszcze, że „parlament" może oznaczać po prostu „oligarchię". Nie wiedział, że angielski lud wkrótce miał stać się bezsilny – nie ze względu na likwidowanie jego okręgów wyborczych, ale uciszanie jego reprezentantów; i że angielska klasa panująca nie opierała już swojej władzy na „zgniłych miasteczkach"[74] – ale zepsutych do szpiku kości posłach. W związku z tym – nie rozumiał bonapartyzmu. Nie rozumiał, że francuska demokracja stała się nie mniej, a bardziej demokratyczna, gdy zamieniła całą Francję w jeden, wielki okręg

74 Podupadłe i zubożałe miasta angielskie, korzystające na początku XIX wieku z nadanego im w zamierzchłych czasach statusu okręgów wyborczych do Izby Gmin. Ze względu na ogólną biedę, wyniki wyborów podlegały faktycznej kontroli lokalnych rodów arystokratycznych bądź kupieckich. Status ów utraciły w 1832 roku, na mocy reformy ordynacji wyborczej.

wyborczy, w którym wybierało się tylko jednego reprezentanta. Nie rozumiał, że bardzo wielu atakowało republikę ponieważ nie była ona republikańska – ale czysto senatorska. Dopiero później miał się przekonać, jak niemoralnie senatorska może stać się wielka izba przedstawicieli ludu. A jednak, przecież słyszymy dzisiaj w Anglii, jak najlepsi z naszych parlamentarzystów – pan Balfour[75] na przykład – mówią o „upadku parlamentu" w taki sposób, jakby była to zupełna oczywistość, a także jak jeden z naszych historyków Rewolucji Francuskiej, o częściowo francuskim pochodzeniu i całkowicie jakobińskich poglądach, głosi, że lekarstwem na to angielskie zło będzie odrodzenie politycznego znaczenia korony. Nie wydaje się czymś aż tak nieprawdopodobnym, że choć mieliśmy zostawić Ludwika Napoleona daleko za sobą, w szarym prochu martwej dyktatury, to historia naszych najbardziej rewolucyjnych postępów skończy się dokładnie tam, gdzie jego historia miała swój początek.

Innymi słowy, gentleman epoki wiktoriańskiej nie rozumiał znaczenia słów „cesarz Francuzów". Formę tego tytułu wybrano

75 Artur Jakub Balfour (1848-1930) – brytyjski polityk konserwatywny, premier w latach 1902-05 i minister spraw zagranicznych 1916-19. Był autorem słynnej Deklaracji Balfoura, stanowiącej otwarty wyraz poparcia Anglii dla ruchu syjonistycznego (ogłoszono ją w 1917 roku).

w pełni świadomie – dokładnie po to, aby wyrazić ideę jego ludowej i demokratycznej genezy; w kontraście do wynalazku takiego, jak choćby „cesarz niemiecki", stanowiącego wyraz transcendentalnego niemal w swojej istocie patriarchatu, czy takiego, jak „król Prus", który sugeruje, że całe terytorium to osobista własność władcy. Traktować *Coup d'état w* taki sposób, jakby było to coś całkowicie nie do przyjęcia, to naraz usprawiedliwiać rozruchy skierowane przeciwko despotyzmowi i zakazywać jakichkolwiek rozruchów przeciwko arystokracji. A jednak, idea, która znalazła swój wyraz w tytule „cesarz Francuzów" nie jest martwa – ale raczej zmartwychwstała. To idea głosząca, że choć rząd może udawać, że zachowuje jedność z *populo,* to tylko konkretna osoba może być naprawdę popularna. Istotnie, idea ta ciągle stanowi koronę demokracji amerykańskiej – i przez pewien czas stanowiła koronę demokracji francuskiej. Dzierżącego potężną władzę urzędnika, który w imieniu tego wielkiego narodu decyduje o sprawach wojny i pokoju, równie dobrze można by nazywać nie prezydentem Stanów Zjednoczonych, a prezydentem Amerykanów. Na własne oczy mogliśmy zobaczyć, jak we Włoszech król i motłoch wspólnym siłami tryumfują nad konserwatyzmem parlamentu, a w Rosji sakramentalnym symbolem nowej, demokratycznej polityki staje się car, jadący na czele nowo sformowanych wojsk. W jednym miejscu na świecie wszakże, istnieje jeszcze sama werbalna forma tego tytułu; i owa werbalna forma znalazła tam doskonałe uzasadnienie.

Jednemu spośród synów ludzkich naprawdę dane było wcielić w życie treść dworskiej formuły – i uczynił to ze straszliwą i katastrofalną wiernością. Polityczna i geograficzna ruina wypisały ostatni tytuł tego monarchy na sklepieniu samego nieba; utrata pałacu, stolicy i terytorium uwydatniły tylko i odsłoniły przed oczyma całego świata fakt istnienia narodu, który nie zginął; nie prawa, a pamięć wygnańców – nie dyplomacja, ale dusze żywych ludzi wciąż stanowią gwarancję, że przynajmniej dwa szczere słowa zapisane zostaną jeszcze kiedyś w zepsutych i zmyślonych kronikach ludzkości: „król Belgów".

Często spotyka się ostatnio sformułowanie, powracające bez ustanku także i w nader wymownym, pomimo całej swojej wścieklizny, pisarstwie Wiktora Hugo, jakoby Napoleon III był zwykłą małpą Napoleona I. To znaczy, że miał on – zgodnie ze słowami polityka z *L'Aiglon*[76], „le petit chapeau, mais pas la tête"; że był zaledwie marną imitacją. Takie ujęcie sprawy to wyolbrzymienie nad miarę olbrzymich rozmiarów; ci zaś, którzy je powielają, bardzo często nie potrafią zauważyć nawet tych dwóch czy trzech podobieństw, które hiperbola niniejsza rzeczywiście ujmuje. Jedno podobieństwo przynajmniej – zachodziło tutaj z całą pewnością. W wypadku

76 Sztuka w sześciu aktach, autorstwa francuskiego poety i dramaturga, Edmonda Rostanda (1868-1918), opowiadająca o życiu Napoleona... II.

obydwu Napoleonów pojawiły się opinie mówiące, że ich chwała nie jaśniała aż tak jasnym blaskiem, jak by się mogło wydawać; w obu wypadkach jednak można także z naciskiem dodać, że ich zmierzch również nie był tak mroczny, jak by się mogło wydawać. Obydwaj początkowo odnosili sukcesy, aby ostatecznie ponieść porażkę. Niemniej – obaj ostatecznie, nawet po swej porażce, odnieśli zwycięstwo. Jeżeli w tym momencie winniśmy dziękować Napoleonowi I za armie zjednoczonej Francji, winniśmy również podziękować Ludwikowi Napoleonowi za armie zjednoczonych Włoch. Prekursorzy owego wielkiego zrywu ku bardziej wolnej i rycerskiej Europie, który nazywamy współcześnie Sprawą Państw Sprzymierzonych, żyli i odnosili swe pierwsze zwycięstwa w czasach, które nas poprzedziły; zwyciężali zaś oni nie tylko pod Arcole[77], ale i pod Solferino[78]. Ci, którzy pamiętają Ludwika

---

77 Bitwa armii francuskiej dowodzonej przez Napoleona Bonaparte z armią austriacką, która miała miejsce w dniach 15-17 listopada 1797 roku w okolicach włoskiej miejscowości Arcole i zakończyła się zwycięstwem Francuzów.

78 Bitwa wojsk koalicji francusko-piemonckiej z armią austriacką, która miała miejsce 24 czerwca 1859 roku i zakończyła się zwycięstwem koalicji. Straty poniesione przez obie strony były wszakże tak ogromne, że Napoleon III zdecydował ostatecznie wycofać się z wojny, a premier Cavour złożył rezygnację – nie przeszkodziło to jednak Włochom w realizacji planów zjednoczeniowych. Królestwo Włoch powstało w 1861 roku. Okrucieństwa starcia stały się także jednym z głównych powodów opracowania Konwencji Genewskiej i powołania do istnienia organizacji Czerwonego Krzyża.

Napoleona jak plątał się bez celu po słynnym *salon* Lady Blessington[79] i uchodził osobę niemalże umysłowo niedorozwiniętą, często mówili, że dwa razy udało mu się oszukać Europę; raz, gdy sprawił, że wszyscy mieli go za imbecyla i drugi raz – gdy sprawił, że wszyscy mieli go za polityka. Oszukał ich on jednak także i po raz trzeci; gdy sprawił, że wszyscy mieli go za umarłego; i w żadnym z tych wypadków – właściwie nic nie zrobił.

Niezależnie od nieokiełznanej poezji Hugo i bardziej jeszcze nawet nieokiełznanej prozy Kinglake'a[80], Napoleona III dyskredytuje się historycznie w rzeczywistości wyłącznie z jednego, jedynego powodu: katastrofy roku 1870. Hugo ciskał na Ludwika Napoleona niezliczone ilości gromów; nie dawały one jednak zbyt wiele światła. Niektóre fragmenty z *Châtiments*[81] prawdziwie stanowią karykatury

---

79 Małgorzata Gardiner, hrabina Blessington (1789-1849) – irlandzka pisarka i dziennikarka, sławna z organizowanych w Londynie spotkań literackich, mających – jak to tego typu wydarzenia – ułatwić wymianę myśli między różnymi literatami i stworzyć im przyjazne warunki pracy. Jednym z jego beneficjantów był m.in. Beniamin Disraeli.

80 Aleksander William Kinglake (1809-91) – angielski pisarz, podróżnik i historyk. Jego niechęć do Napoleona III to rzecz w świecie literatury języka angielskiego dosyć sławna.

81 Pol. *Chłosta.* Tom poezji satyrycznej Hugo, wydany w 1853 roku, stanowiący protest przeciwko rządom Napoleona III.

wyryte w marmurze, który nie minie na wieki. Zawsze będą one w niezastąpiony sposób przypominać pokoleniom zbyt niezdecydowanym i miękkim, takim jak pokolenie doby wiktoriańskiej, o owej wielkiej prawdzie, że nienawiść jest piękna – jeżeli jest nienawiścią do duchowej szkarady. Większość z nich mogłaby wszakże dotyczyć Hamana, Heliogabala, króla Jana czy królowej Elżbiety I dokładnie w takim samym stopniu, co Ludwika Napoleona; nie da się w nich uświadczyć ani śladu zrozumienia treści jego bardzo interesujących intencji, podobnie zresztą jak jego całkowicie zrozumiałej pogardy dla spasionych duchowo, francuskich senatorów. I jeśli prawdziwy rewolucjonista taki jak Hugo nie zdołał oddać sprawiedliwości rewolucyjnemu pierwiastkowi cezaryzmu, nie trzeba chyba mówić, że stanowiący niemal jednoosobową Ligę Pierwiosnka[82] torys taki jak Tennyson, również nie zdołał tego zrobić. Interesująco zajadła nieustępliwość Kinglake'a w stosunku do *Coup d'état* to, obawiam się, zaledwie folgowanie sobie w jednej z ostatnich przyjemności naszego pióra i prasy – i to tej, która jakiś czas później, przy okazji afery Dreyfusa, pozbawiła nas niemal zdrowych zmysłów. Publiczne pokutowanie za grzechy innych ludzi to mało szczęśliwy zwyczaj. Jeżeli przychodziło to łatwo Anglikowi takiemu jak Kinglake, tym łatwiej,

82 Oryg. *Primrose League* – założona w 1883 roku angielska organizacja społeczna, której cel stanowiła obrona i promocja ideałów konserwatyzmu angielskiego.

rzecz jasna, przychodziło to Niemcowi takiemu jak małżonek królowej Wiktorii, a nawet samej królowej Wiktorii, w naturalny sposób pozostającą przecież pod jego wpływem. Na ile jednak rozsądne masy narodu angielskiego w ogóle interesowały się tą sprawą, czymś bardzo prawdopodobnym jest, że ich sympatie były po stronie Lorda Palmerstone'a, człowieka, którego popularność dorównywała niepopularności księcia małżonka. Czarną plamą na imieniu Ludwika Napoleona po dziś dzień pozostaje, oczywiście, Sedan; i jedynym celem, jaki mamy dzisiaj, jest przekształcenie Sedanu w interludium. Bo jeśli nie jest to interludiom – stanie się wkrótce końcem świata. Przysięgliśmy jednak skończyć to zakończenie; i prowadzić tę wojnę tak długo, aż – nawet jeśli tylko przez prawdziwy czyściec narodów i kolosalną w swym rozmachu anihilację ludzkich mas – historia świata zakończy się dobrze.

Istnieją, by tak rzec, całe doliny historii, które są bardzo blisko nas – jednak zasłaniają je przed naszym wzrokiem jeszcze bliższe wzgórza. Jedną z nich, jak już zobaczyliśmy, jest owa zmarszczka na miękkiej powierzchni Surrey, gdzie spoczywa pogrążony we śnie William Cobbett razem ze swym poronionym dziecięciem Rewolucji Angielskiej. Inna znajduje się zaraz u podnóża owej strzelistej wysokości, zwanej Szpiegiem Italii, gdzie nowy Napoleon poprowadził swe złote orły przeciwko czarnym orłom Cesarstwa

Austriackiego. A jednak, przygoda, na którą wyruszyła Francja w ramach poparcia dla włoskiego powstania narodowego, była bardzo istotna; i dzisiaj ledwie zaczynamy rozumieć jej rzeczywiste znaczenie. Stanowiła ona sprzeciw wobec niemieckiej reakcji, zaś rok 1870 stanowił w stosunku do niej swego rodzaju zemstę – na tej samej zasadzie, na jakiej zwycięstwo na Bałkanach również stanowiło sprzeciw wobec niemieckiej reakcji, rok 1914 zaś – próbę wywarcia zemsty za zwycięstwo na Bałkanach. Prawdą jest, że francuskie dzieło wyzwolenia Włoch okazało się niekompletne, jako iż traktat pokojowy z Villafranca nie dotknął nawet, na przykład, problemu istnienia Państwa Kościelnego. Wulkaniczny lecz nader owocny duch Italii wydał już do tego czasu z siebie ową wspaniałą, wędrowną i niemal wszechobecną osobowość, której czerwona koszula miała stać się później chodzącym sztandarem: Garibaldiego. I wielu spośród angielskich liberałów rzeczywiście brało raczej stronę jego i jego ekstremistów – a nie układów pokojowych. Palmerstone nazwał je „pokojem, który przerasta wszelkie rozumienie": niemniej bluźnierstwo tego przezabawnego starego poganina miało w sobie więcej z prawdy, niż on sam mógł przypuszczać; bo naprawdę – obecne w niej były niektóre z owych głębokich treści, których Palmerstone nie potrafił pojąć. Spierać się z papieżem, by w ostatecznie zawrzeć z nim kompromis, to był w wypadków Bonapartych najzwyklejszy instynkt; instynkt, zrozumienia którego nie powinno się oczekiwać od żadnego

Anglosasa. Znali oni prawdę; że antyklerykalizm to nie protestancki ruch społeczny, ale katolicki nastrój. I, poza wszystkim, angielscy liberałowie nie mogli zmusić swojego własnego rządu, by zaryzykował tyle, ile zaryzykował rząd Francji; i Napoleon III równie dobrze mógłby odpowiedzieć Palmerstone'owi, swemu rywalowi na polu międzynarodowego liberalizmu, że połowiczna wojna była czymś lepszym, niż kapitulacja. Swinburne nazwał Villafranca „Postojem na drodze do Rzymu" i dał jasny wyraz swego rytmicznego i niecierpliwego oczekiwania na czas, w którym świat

„Zadźwięczy na ryk lwa, co wzbudzi
nową republikę Rzymu".

Powinien on jednak pamiętać, że, jakby nie patrzeć, to nie był lew brytyjski, by brytyjski poeta rzeczywiście miał prawo domagać się równie kategorycznie: „Niech znów zaryczy. Niech znów zaryczy".

Prawdą jest, że Włochy nigdy nie wystosowały do Anglii tak jednoznacznej prośby o pomoc, jaką z całą pewnością wystosowała Dania. Wielkie potęgi Europy nie miały obowiązku dopomóc Włochom stać się narodem, na podobnej zasadzie, na jakiej miały absolutny obowiązek bronić owego niekwestionowanego faktu, że

Dania jest narodem. Istotnie, wielki włoski patriota doświadczyć miał w swoim życiu obydwóch skrajności angielskiego paradoksu i to, rzecz sama w sobie wystarczająco osobliwa, w związku z obydwiema naszymi narodowymi i antyniemieckimi sprawami. Jako iż Włochy zyskały sobie sympatię Anglików – ale nie Anglii. Niemało spośród naszych rodaków podążyło ostatecznie za tą czerwoną koszulą; niemniej – nie w czerwonym mundurze. I kiedy przybył do Anglii, nie po to, aby bronić sprawy Italii, ale Danii, okazało się, że ów wielki Włoch cieszy się wśród Anglików większą popularnością, niż jakikolwiek Anglik. Musiał wprost przebijać się przez cały las pozdrowień, który chętnie zamieniłby się zaraz w las wyciągniętych szpad. Ci jednak, którzy rzeczywiście nosili szpady, nie zdecydowali się ich wyciągnąć. Jako iż dla naszych klas panujących, męstwo tego włoskiego bohatera, podobnie jak piękno naszej duńskiej księżniczki, było czymś, co trzeba podziwiać – w sensie: czymś, na co patrzy się z przyjemnością, jak powieść – czy gazeta. Palmerstone stanowił prawdziwą figurę pacyfizmu – ponieważ stanowił prawdziwą figurę dżingoizmu. W duchu tak niespokojny, jak Garibaldi, w praktyce był tak ostrożny, jak Cobden. Anglia to najroztropniejsza arystokracja – lecz i najbardziej lekkomyślna demokracja świata. To była właśnie, i jest, owa angielska sprzeczność, ze względu na którą inne narody – a szczególnie naród irlandzki – tak często miały o nas całkowicie błędne pojęcia. Nasi narodowi przywódcy, to byli rycerze dworu; nasi błędni rycerze zaś, wmieszali się w tłum spieszonej hołoty. Kiedy

pewien austriacki generał, słynny z tego, że w podbitych prowincjach skazywał kobiety na karę chłosty, pojawił się pewnego dnia na ulicach Londynu, kilku najzwyklejszych w świecie woźniców zareagowało na to z donkiszoterią godną Sir Lancelota czy Sir Galahada. On bił kobiety – więc oni obili jego. Jedyne, co chcieli zrobić, to pomścić krzywdy wyrządzone damom w opresji i złamać krwawy bicz niemieckiego brutala; na takiej samej zasadzie, na jakiej chciał go niegdyś złamać Cobbett – po tym, jak bicz ów poszedł w ruch nad synami angielskiej ziemi. To niemieccy i pół-niemieccy władcy, noszący krzyże i ostrogi, odznaczali się prostactwem; rycerskości zaś, trzeba było szukać w rynsztoku. Angielscy woźnice mieli w duszy więcej rycerstwa, niż teutońscy – lub angielscy – arystokraci.

Poświęciłem trochę więcej czasu kwestii tego włoskiego eksperymentu z tego względu, że rzuca on nieco światła na to, jaki właściwie był Ludwik Napoleon przed swoim upadkiem, polityk – być może, że polityk pozbawiony skrupułów, ale na pewno: polityk demokratyczny. Rzadko kiedy upada władza, która nie ma zupełnie nic na sumieniu; i prawdą jest, że Drugie Cesarstwo stało się państwem skażonym przez kosmopolitycznych agentów i aferzystów, sprawiedliwie lżonych przez demokratów pokroju tak

Rocheforta[83], jak Hugo. Nie było jednak takiej francuskiej nieudolności, która miałaby w tej sprawie choćby i wagę piórka – jeśli porównać ją do wielkiej i wrogiej efektywności Prus; potężnej machiny, która do tego czasu zdążyła zmiażdżyć już Danię i Austrię, i teraz stała gotowa do ponownego uderzenia, mającego zgasić ostatecznie lampę świata. Zanim padł cios, wystąpiły pewne komplikacje, i Bismarck poprawił wszystko jak trzeba, jak gdyby jednym palcem, przy użyciu zwykłego fałszerstwa – miał on bowiem na koncie wiele małych sukcesów. Francja przegrała; tym, co przegrało wespół z nią, była wolność – jej miejsce na tronie zaś, zajęli tyrani i pradawny terror. Koronacja pierwszego Kaisera w wiekowym pałacu francuskich królów sama w sobie stanowiła alegorię; taką, jak alegorie na ścianach Wersalu. Jako iż stary diadem despotyzmu wzniesiono na powrót wysoko w górę – by potem opuścić go nisko na skronie barbarzyńcy. Powrócił Ludwik XI – a nie Ludwik IX; i oto Europa miała poznać znaczenie owego berła, na którym nie ma wizerunku gołębicy.

83 Wiktor Henryk Rochefort (1831-1913) – francuski polityk, pisarz, dramaturg i dziennikarz, zwany „księciem polemiki". Człowiek nietuzinkowy, nadzwyczajna osobowość, związany z prawicą francuską (w swoim czasie jeden z najistotniejszych „anty-Dreyfusistów"), który w 1870 walczył po stronie Komuny Paryskiej. Dwukrotnie zmuszony do ucieczki z kraju wobec wyroków sądowych natury politycznej, w 1871 roku zesłany karnie do Nowej Kaledonii, w 1874 roku uciekł z więzienia. Do Francji powrócił w 1880, po amnestii generalnej.

Natychmiastowy dowód na to, że Europa znalazła się w tamtym momencie w szponach dzikusa, był równie prosty, co przerażający. Najeźdźcy działali bowiem z niewinną zupełnie bezbożnością i bestialstwem, jakich nie widziano w tej ziemi od momentu, w którym Chlodwig naznaczony został znakiem krzyża. Dla bezwstydnej dumy nowych ludzi, narody po prostu nie istniały. Stawiających opór mieszkańców dwóch wielkich prowincji po prostu popędzono w świat, jak niewolników po zniszczeniu jakiegoś prehistorycznego miasta. Francję ukarano grzywną za to, że ośmieliła się udawać, że jest narodem; i grzywna ta miała na celu zrujnować ją bezpowrotnie. Wobec ciężaru tak nieprawdopodobnej niesprawiedliwości, wzywała Francja na pomoc inne chrześcijańskie nacje, jedną po drugiej – a każdą po imieniu. Po jej ostatnim krzyku zaś, zapadła kompletna cisza – podobna tej, której pętla zacisnęła się wcześniej wokół królestwa Danii.

Jeden człowiek zdecydował się odpowiedzieć na wezwanie; ten, który wcześniej sprzeciwiał się Francji i jej cesarzowi; lecz który wiedział także, że to nie cesarz przegrał tę wojnę. Garibaldi, nie zawsze mądry, ale bohaterski do ostatnich chwil swego życia, zajął pozycję z mieczem w ręku i towarzyszył Francji na jej ostatniej drodze. I pozostała nam po tym wszystkim ciekawa notatka, w której

pewien niemiecki dowódca daje świadectwo o niespotykanej wprost mocy i męstwie ostatnich ciosów zranionego lwa Aspormonte. Anglia wszakże, odeszła zasmucona – miała bowiem majętności wiele.

Rozdział VIII – Zły koń

W innym rozdziale wspomniałem o kilku uwagach świętej pamięci Lorda Sailsbury – z żalem, ufam wszakże, że i z należnym szacunkiem; jako iż w niektórych wypadkach naprawdę zasługiwał on na wszelki szacunek, jakim tylko można go obdarzyć. Jego krytycy zwykli mawiać, że „głośno myślał"; co jest prawdopodobnie najwspanialszą rzeczą, jaką można powiedzieć o człowieku. Był on z tego powodu wyszydzany przez masę dziennikarzy i polityków pozbawionych zarówno zdolności myślenia, jak i odwagi mówienia tego, co myślą. Odznaczał się jednak także inną jeszcze, szlachetniejszą cechą, stanowiącą zadośćuczynienie za wszystkie możliwe błędy anarchicznego cynizmu. Potrafił zmienić zdanie stojąc na mównicy; potrafił publicznie pokutować. Nie tylko głośno myślał; ale głośno „lepiej mu się myślało". I jeden z punktów zwrotnych w historii Europy przyszedł dokładnie w chwili, w której zadeklarował odejście od niechrześcijańskiej i nieeuropejskiej polityki, w którą wplątał go siłą jego przebiegły, orientalny mistrz, Beniamin Disraeli; i ogłosił, że Anglia „postawiła na złego konia". Mówiąc to, miał na myśli poparcie, którego udzielaliśmy Turkom z nieuzasadnionej zupełnie obawy przed Rosją. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, ze gdyby żył odpowiednio dłużej, zacząłby odczuwać identyczny wstręt w stosunku do dyplomatycznego

wsparcia, którego sam przez tak długi czas udzielał ich sojusznikom z północy. Nie dożył czasów, w których wespół z nami mógłby poczuć jak to było, gdy ów koń nas poniósł – i galopował przez coraz to głębszą i głębszą dzicz, aż nagle zorientowaliśmy się, że wiezie nas w samo serce koszmaru.

Czemu właściwie wtedy zaufaliśmy? I jak moglibyśmy zwięźle wyjaśnić sposób, w jaki nasze senne marzenie przerodziło się w koszmar – a także to, jak dosłownie o mały włos uniknęliśmy totalnej katastrofy, która staje się teraz chyba udziałem Turcji? Jest to pewien duch; i nie możemy domagać się tutaj jakiejś przesadnie logicznej definicji – jako iż ludzie, których ów duch opętał, dobrowolnie wyrzekają się logiki; i sama ta rzecz to nie tyle teoria, co rozstrój mentalny. Jej najszerszy i najbardziej podstawowy sens zawiera się w słowie „teutonizm” bądź „pangermanizm”; i od tego (a jest to dokładnie to, co zwyciężyło w 1870) powinniśmy zacząć. Naturę pangermanizmu oddać można skrótowo przy użyciu pewnej alegorii, która brzmi, jak następuje:

Koń dochodzi do przekonania, że wszystkie inne stworzenia są moralnie obowiązane do podporządkowania swoich interesów jego interesom – z racji faktu, że posiada wszystkie niezbędne cechy istoty doskonałej i jako taki stanowi cel sam w sobie. W tym

momencie ktoś zwraca uwagę, że we wspinaczce na drzewo koń wykazuje poniekąd mniej wdzięku, niż kot; że kochankowie i poeci z rzadka tylko zaklinają konia, aby śpiewał całą noc, jak dosyć często zdarza się to w wypadku słowika; że gdy go zanurzyć na dłuższy czas w wodzie, koń wydaje się cokolwiek mniej szczęśliwy, niż szprot; i że szansa na znalezienie w jego wnętrznościach pereł jest mniejsza, niż w wypadku ostrygi. Otóż, nasz koń nie zadowala się w tej sytuacji łatwą odpowiedzią, że posiadanie nierozdzielonego kopyta znaczy więcej, niż wszelkie perły, oceany, zwinność czy pieśń świata (choć, jako koń lekko pogubiony, czasami rzeczywiście się do niej ucieka). Przez kilka lat oddaje się wytężonej refleksji nad kwestią kotów; i w końcu odkrywa w kocie „charakterystycznie końskie cechy kaudalne, względnie: ogon"; a zatem koty *również* są końmi – i na każdym drzewie, na które wejdą, powiewa dumnie sztandar ich ogonów, symbol końskiej dumy. Następnie okazuje się, że słowik ma nogi – co tłumaczy przecież jasno piękno jego pieśni. Szproty należą zaś do grona kręgowców; w związku z czym, niewątpliwie można je nazwać konikami morskimi. I choć pewne zewnętrzne cechy ostrygi wydają się zasadniczo różnić ją od konia, to wszak ta sama wszechobecna potęga natury tą samą końską mocą podtrzymuje ją w bycie.

Otóż ów koń, to w sensie intelektualnym naprawdę zły koń. Nie byłoby chyba przesadą powiedzieć, że ów koń to zwykły osioł. Jako iż nawet w intelekcie szprota na pewno zaświtałoby z czasem pytanie: „Skoro szprot jest koniem, dlaczego miałbym słuchać bardziej ciebie, niż mnie samego? Dlaczego ów śpiewający koń, dotychczas znany pod nazwą słowika, albo ów zwinny koń, dotychczas zwany kotem, powinny paść na ziemię i oddać hołd twojej koniowatości? Jeżeli wszystkie nasze naturalne zdolności to końskie sukcesy – cóż, wychodzi na to, że jesteś jedynym koniem bez żadnych sukcesów". Wobec podobnie subtelnej argumentacji, nasz koń robi się trochę narowisty, kopie kota, miażdży kopytami ostrygę, zjada szprota i rusza w pościg za słowikiem – i w taki oto sposób zaczęła się wojna.

Niniejszy apolog nie jest zaś ani trochę bardziej fantastyczny od faktów teutońskich tez. Niemcy naprawdę utrzymują, że Anglicy to również Germanie, tylko że, by tak rzec, morscy – i że nawet nasze szproty to ledwie morskie koniki. Naprawdę utrzymują, że słowiki Toskanii to niemieckie ptaki, perły Hellady zaś – niemieckie klejnoty. Naprawdę mówią, że renesans włoski był tak naprawdę renesansem niemieckim, a najczystszej krwi Niemcy nosili w tamtym czasie włoskie nazwiska wyłącznie dlatego, że pracowali jako malarze – na podobnej zasadzie, na jakiej londyńczycy czasami noszą je w związku z pracą w zakładzie fryzjerskim. Otwarcie sugerują, że

Jezus, i w ogóle wszyscy wielcy Żydzi, mieli teutońskie pochodzenie. Jeden z teutonistów, których miałem okazję czytać, całkiem serio wyjaśniał kontrast zachodzący między świeżą energia Rewolucji Francuskiej a zespołem zmurszałych przywilejów jej niemieckich wrogów tezą, jakoby to germańska dusza obudziła się nagle we Francji i zapragnęła zniszczyć wpływy łacińskie na terytorium Niemiec. Nie muszę chyba poświęcać zbyt wiele czasu różnorakim zaletom tej nowatorskiej metody dziejopisarstwa; jeżeli nie podoba wam się to, że Jack Johnson[84] obił pewnego angielskiego boksera, wystarczy powiedzieć sobie, że to białość czarnego człowieka zwyciężyła, a czerń białego człowieka poniosła porażkę. W sprawie renesansu włoskiego wszakże, niemieccy uczeni mówią mniej ogólnie i naprawdę nie wahają się wchodzić w szczegóły. Otóż, odkrywają oni z nagła (podczas, jak powiedziałby pan Gandish[85], swych badań nad „yką"), że nazwisko Michała Anioła brzmiało „Buonarotti"; po czym natychmiast przechodzą do wykazywania, że słowo *„roth"* bardzo przypomina słowo *„rot".* Co jest też, w pewnym sensie, zupełną prawdą. Większość Anglików w „k-rot-kim", by tak rzec, czasie stwierdzi, że to wszystko jakaś bzdura i zajmie się czymś innym. Podobne wynurzenia świetnie natomiast komponują się

---

84 Jack Johnson (1878-1946) – amerykański bokser, wielokrotny mistrz wagi ciężkiej. Ze względu na czarny kolor skóry napotykał na drodze swojej kariery wiele przeszkód natury pozasportowej.

85 Aluzja do powieści *The Newcomes* W.M. Thackeraya.

z nieprawdopodobną zupełnie historiografią Prusaków, mówiącą, na przykład, o „pełnej tolerancji religijnej plemienia Gotów"; przy czym równie dobrze można by mówić o „bezstronnych sądach ospy wietrznej". Anglik nigdy nie uwierzy, że wszyscy Żydzi byli Niemcami; choć mógł przecież spotkać w swoim życiu kilku Niemców, którzy naprawdę byli Żydami. Głębiej wszakże od wszelkiej tego typu praktycznej odpowiedzi, leży głęboka niekonsekwencja niniejszej przypowieści. A jest ona, po prostu, taka; że jeśli używa się teutonizmu jako narzędzia poznania, na pewno nie można używać go jako narzędzia podboju. Jeżeli wszyscy inteligentni ludzie świata są Niemcami, Prusacy są ledwie najmniej inteligentnymi spośród Niemców. Jeżeli mieszkańcy Flandrii są równie niemieccy, co mieszkańcy Frankfurtu, możemy powiedzieć tylko tyle, że starając się uratować Belgię, pomagamy jednym Niemcom, którzy przypadkowo mają rację, w walce z drugimi Niemcami, którzy się przypadkowo mylą. Tak też w Alzacji dzielni zdobywcy zmuszeni są przyjąć komiczną poniekąd metodę działania, polegającą na anektowaniu tych ziem ze względu na to, że zamieszkują je Niemcy, następnie zaś – prześladowaniu tych Niemców za to, że są Francuzami. I tak francuscy Teutoni, którzy zbudowali Reims, muszą oddać je teraz południowoniemieckim Teutonom, którzy przyłożyli rękę do zbudowania Kolonii; ci z kolei, muszą oddać Kolonię Teutonom północnoniemieckim – którzy przez całą historię nie zbudowali zgoła niczego, może poza wielkim strachem na wróble,

mającym przedstawiać starego von Hindenburga[86]. Każdy Teuton ma obowiązek padać na twarz przed mniej rozwiniętym Teutonem; aż do momentu, w którym wszyscy Teutoni odnajdą kiedyś, pośród wstrętnych moczarów, ciągnących się aż po wybrzeże Bałtyku, najmniej rozwiniętego spośród wszystkich potencjalnych Teutonów świata, zaczną go zgodnie czcić – i odkryją, że ów Teuton to tak naprawdę Słowianin. I to by było na tyle w kwestii pangermanizmu.

Lecz choć teutonizm to rzecz niedefiniowalna, albo przynajmniej sami Teutoni nigdy go nie definiują – na pewno nie brak mu realności. Niezrozumiały, lecz rzeczywisty duch naprawdę opętał wszystkie te ludy, które szczycą się swoim teutońskim pochodzeniem; co więcej – opętał także i nas, na tyle, na ile daliśmy się uwieść tej głupocie. Choć nie jako rasa, ale raczej religia – to coś naprawdę istnieje; i w 1870 słońce jego osiągnęło południe. Najkrócej możemy opisać to w trzech punktach.

---

86 Aluzja do popularnego w Niemczech podczas wojny zwyczaju odsłaniania w różnych miejscach drewnianych statui marszałka Pawła von Hindenburga (1847-1934) celem wzbudzenia nastrojów patriotycznych i przeprowadzenia zbiórek pieniężnych na rzecz niemieckiego wysiłku wojennego.

Zwycięstwo wojsk niemieckich znaczyło przed bitwą pod Lipskiem, i do dziś zresztą znaczy, zniweczenie pewnej idei. Mianowicie: idei obywatela. Teza niniejsza jest prawdziwa w całkiem abstrakcyjnym i neutralnym sensie; i nie mam zamiaru robić z niej mimochodem oskarżenia o jakąś ogólniejszą tyranię. Fakt jej prawdziwości nie sprzeciwia się jakoś drastycznie poglądowi, że Niemcy są rządzeni lepiej, niż Francuzi. Pod wieloma względami, Niemcy naprawdę *są* bardzo dobrze rządzeni. Mogliby jednak być rządzeni jeszcze z tysiąc razy lepiej, niż obecnie, albo z tysiąc razy lepiej od kogokolwiek innego, a i tak nie zbliżyliby się ani na krok do prawdziwego rządu. Idea obywatela zasadza się na przekonaniu, że indywidualna natura ludzka powinna nieustannie i twórczo *zmieniać* swoje państwo. I Niemcy mają zupełną słuszność, uważając ową ideę za niebezpiecznie rewolucyjną. Każdy obywatel *jest* rewolucją. To znaczy: niszczy on, pochłania i przekształca swoje środowisko na tyle, na ile pozwala mu na to jego intelekt i sumienie. To jest właśnie to, co oddziela ludzkie bycie społeczne od nie-ludzkiego; pszczoła owszem, tworzy ul – ale nigdy go nie krytykuje. Niemiecki władca naprawdę karmi i szkoli swoich niemieckich poddanych z taką samą dbałością, z jaką ogrodnik podlewa swój ogród. Gdyby jednak jakiś kwiatek z tego ogrodu zaczął nagle podlewać ogrodnika, jegomość ów na pewno niemało by się tym zdumiał. Tak też w Niemczech lud rzeczywiście jest wykształcony; we Francji wszakże – to sam lud kształci. We Francuzi ludzie nie tylko składają się na państwo – ale

naprawdę składają je w całość. W Niemczech, rządzący zawsze jest artystą, malującym wszystkich innych Niemców tak, jak maluje się portrety; we Francji, artystą jest Francuz, nieustannie malujący i przemalowujący Francję – tak, jak maluje się i przemalowuje domy. Żaden dobrostan społeczny, który nie opiera się na koncepcji, że obywatel musi także *wybierać* dobro, a nie tylko je otrzymywać, nie ma z ideą obywatela w ogóle nic wspólnego. Powiedzieć, że Germanie w naturalny sposób toczą z tą ideą nieustanną wojnę, to po prostu traktować ich poważnie; w innym wypadku bowiem, wojna, jaką wypowiedzieli Rewolucji Francuskiej, byłaby ledwie wrzaskiem ignoranta. I, według nich, to właśnie ta ryzykowna i wydumana idea, idea obywatela jako człowieka krytycznego i kreatywnego, legła wreszcie w 1870 roku martwa u stóp zjednoczonych Niemiec – u nierozdzielonego kopyta.

Niemniej, kiedy Niemiec mówi, że jest wolny, albo że kocha wolność, to nie jest to wcale kłamstwo. O coś naprawdę mu chodzi; to zaś, o co mu chodzi, to druga zasada teutonizmu, którą mógłbym określić w skrócie jako „nieodpowiedzialność myśli". W żelaznych granicach niezmiennego państwa, Niemiec nasz zażywa nie tyle wolności – co anarchii. Wszystko można powiedzieć, chociaż – a może raczej: ponieważ – niczego nie można zrobić. Filozofia naprawdę jest wolna. W praktyce oznacza to jednak tylko tyle, że oto cela więzienna

zamieniła się w celę szaleńca; że szczelnie zabazgrano jej wnętrze obrazkami gwiazd i systemów planetarnych – tak, że wygląda jak wieczność. To właśnie owa frapująca sprzeczność, na którą zwrócił uwagę w swej doskonałej książce dr Sarolea[87], zachodząca między nieokiełznaniem niemieckiej teorii a potulnością niemieckiej praktyki. Niemcy *sterylizują* myśl – czyniąc ją mocną mocą jakiegoś dzikiego dziewictwa; które nie może przynieść owocu.

Lecz choć istnieje dziś tak wiele różnych, szalonych teorii, większość z nich ma ten sam rdzeń; i zasadza się na tym samym założeniu. Niewiele zmienia, czy nazwiemy je, wespół z niemieckimi socjalistami, „materialistyczną teorią historii"; czy, z Bismarckiem, „krwią i żelazem". Najbardziej sprawiedliwie można wyłożyć je w następujący sposób: że wszystkie *istotne* wydarzenia dziejowe mają naturę biologiczną, tak jak zmiana pastwiska czy doskonały komunizm watahy wilków. Różni profesorowie po dziś dzień rwą sobie włosy z głowy, desperacko próbując udowodnić, ze krzyżowcy migrowali za jedzeniem, na kształt jaskółek; albo że francuscy rewolucjoniści stanowili tylko coś w rodzaju kłębiącego się roju

87 Prawdopodobnie Karol Sarolea (1870-1954) – belgijski pracownik akademicki i publicysta, podczas wojny wysłany jako przedstawiciel rządu belgijskiego do USA; w czasie wojny napisał wiele książek na powiązane z nią tematy, takie jak choćby pozycja Rosji w Europie czy niemieckie zbrodnie wojenne.

pszczół. Założenie to ma dwa skutki, które często uznaje się za sprzeczne; i skutecznie wyjaśnia zarówno zjawisko niemieckiego socjalisty, jak i popularnego junkra. Jako iż, po pierwsze, pozostaje ono w doskonałej zgodności z teutońskim imperializmem; zamieniając germańskie „blond bestie” w lwy, w naturze których leży przecież pożeranie małych owieczek – takich, jak choćby Francuzi. By przekonać się, jak wielki sukces odniósł ów pogląd właściwie w całej Europie, wystarczy spojrzeć tylko na owe liczne pochwały, kierowane od pewnego czasu przez bardzo różnych ludzi pod adresem plemienia, które słynne jest ze swojej tężyzny fizycznej i wojowniczych skłonności, lecz które zupełnie otwarcie zajmuje się także plądrowaniem ościennych terytoriów – i z rzadka tylko udawało, że naprawdę czymś rządzi; Turków, określanych przez niektórych torysów mianem „gentlemanów Europy”. Ba! – sam Kaiser zatrzymał się przecież na moment, aby podziwiać znak półksiężyca, gdy jechał właśnie uroczyście lekceważyć krzyż[88]. Pogląd ów wcieliliśmy zbiorowo w życie w momencie, w którym Grecja zdecydowała się rzucić Turcji swe samotne wyzwanie i w jednym okamgnieniu została zmiażdżona. I nie możemy pomijać milczeniem faktu, że to angielskie działa dopomogły wdrożyć niemiecką

88 Prawdopodobnie chodzi o różne wydarzenia w Jerozolimie, opisane przez Gilberta szerzej w *Nowym Jeruzalem* (1920).

zasadniczo politykę Koncertu Mocarstw na Krecie: ani wtedy, kiedy prosimy Grecję o pomoc – ani wtedy, gdy rozważamy zbrodnie Anglii.

A jednak, ta sama teza bardzo dobrze sprawdza się także w wyciszaniu informacji o polityce wewnętrznej Niemiec i sprawia, że socjalizm nie może stać się w tym kraju taką samą, osobliwą nadzieją czy groźbą, którą jest przecież do dzisiaj w tak wielu innych państwach. Znów, działa ona tutaj na dwa sposoby; po pierwsze, mocą przedziwnie błędnego przekonania, jakoby „nie nadszedł jeszcze właściwy czas"; zupełnie tak, jakby *czas* kiedykolwiek mógł być *właściwy*. Ten sam barbarzyński przesąd puszczy zakaził także całkiem poważnie samego Mateusza Arnolda, gdy ten zdecydował się upersonifikować *Zeitgeist* – prawdopodobnie jedynego ducha na świecie, który był rzeczywiście w całości zmyślony. Przesąd ten ma swoją genezę w niezdrowym przejęciu się paralelą biologiczną – faktem, że kurczaczek zawsze wyskakuje z jajeczka „we właściwym czasie". Nie jest tak – kurczaczek wyskakuje z jajka wtedy, kiedy wyskakuje. Marksista-socjalista nie zacznie się bić, dopóki zegar nie wybije odpowiedniej godziny; tylko że to zegar niemiecki – i w ogóle nic nie wybija. Co więcej, koncepcja historii jako wiecznotrwałej wędrówki za jedzeniem uszczęśliwia masy zapewniając im pod dostatkiem żywności i zdrowia – ale już nie wolności. Najlepszym praktycznym przykładem jest tutaj system przymusowych

ubezpieczeń społecznych; który we Francji okazał się totalną klęską i zmienił w martwą literę, w Niemczech wszakże odniósł, w niemieckim znaczeniu tego słowa, spektakularny sukces. System ów opiera się na traktowaniu ludzi zatrudnionych jako członków stałej, osobnej i niższej kasty, którym nie można pozwolić, aby samemu wydawali to, co odłożą sobie przypadkiem ze swych niedużych pensji. W 1911 przywiózł go do Anglii pan Lloyd George[89], który badał jego skutki w Niemczech i, mocą prestiżu, jakim cieszą się Prusacy w kwestii „reform społecznych", przegłosowano ostatecznie jego wprowadzenie.

Te trzy tendencje zbiegają się, i będą się jeszcze zbiegać, w instytucji, która niepozbawiona jest znacznej podstawy historycznej i bardzo ułatwiających współczesne życie skutków społecznych. I tak jak Francja pełniła w 1798 roku rolę chorążego idei obywatelstwa, w roku 1915 Niemcy pełnią rolę chorążego idei alternatywnej. Instytucja ta, określana przez naszych ojców mianem niewolnictwa, nader dobrze

---

89 Dawid Lloyd George (1863-1945) – angielski polityk Partii Liberalnej, kanclerz skarbu, minister wojny, a w końcu (w latach 1916-22) premier Wielkiej Brytanii. W 1911 roku faktycznie, jak kanclerz skarbu właśnie, wdrożył Ustawę o Ubezpieczeniach Narodowych, której sprzeciwiała się m.in. Partia Konserwatywna, prowadzące własne działania prospołeczne związki zawodowe, a także przyjaciel Chestertona, Hilary Belloc.

komponuje się, czy może raczej: logicznie wiąże, ze wszystkimi trzema duchami, o których tutaj wspomniałem, i dla każdego z nich stanowi zapowiedź wielkich przyszłych korzyści. Potrafi ona zapewnić indywidualnemu pracownikowi dosłownie wszystko, poza możliwością zmiany sytuacji w państwie – czyli: jego własnej sytuacji. Niezmienność (albo to, co niektórzy ludzie, mający obsesję na punkcie wolności, nazwaliby „beznadzieją") sytuacji społecznej stanowi samą duszę niewolnictwa – i systemu przymusowych ubezpieczeń. W tym wypadku również, Niemcy zapewniają jednostce dokładnie te same swobody, które zawsze zapewniano niewolnikom – wolność myśli, wolność marzenia, wolność wściekłości; wolność folgowania sobie w każdej możliwej, intelektualnej hipotezie dotyczącej niezmiennych bytów świata i państwa – dokładnie tak, jak zawsze wolno to było czynić niewolnikom, od czasów wysmakowanych maksym Epikteta po czasy rozkosznie żywotnych bajek wujka Remusa[90]. I rzeczywiście, wszyscy obrońcy niewolnictwa zwykli przecież argumentować, że – jeśli poddawać historię wyłącznie próbie materialnej – warunki bytowe w ustroju niewolniczym zazwyczaj przedstawiają się raczej dobrze, niż źle.

---

90 Postać z folkloru afroamerykańskiego; główny bohater i narrator wielu murzyńskich, ludowych opowieści z południa Stanów Zjednoczonych, które opracował i wydał drukiem w 1881 roku amerykański dziennikarz Joel Chandler Harris (1848-1908), notabene: naraz patriota „Południa" i wielki przeciwnik rasizmu.

Kiedy jednego razu zwróciłem pewnemu wielkiemu przedsiębiorcy uwagę, że jego „modelowa wioska", z całym swym podziwu godnym bezpieczeństwem i ustronnością, do złudzenia przypomina stare osiedla niewolników, przedsiębiorca ów odpowiedział mi z oburzeniem, że przecież dzięki niemu jego pracownicy mają łaźnie, tereny rekreacyjne, teatr i tym podobne rzeczy – i wyraźnie sądził, że zakończył temat. Prawdopodobnie zdziwiłby się bardzo, gdyby usłyszał jakiegoś plantatora z Karoliny Południowej, jak ten przechwala się, że to dzięki niemu są w tym stanie banjo, śpiewniki religijne i miejsca odpowiednie do tańczenia cakewalka. A jednak, przecież banjo musiały znaleźć się tam dokładnie dzięki niemu – bo niewolnicy z definicji nic nie mają, więc banjo też nie. I jeśli ta germańska socjologia rzeczywiście ma odnieść wśród nas trwały sukces, sądzę, że przynajmniej niektórzy z orędujących za nią, światłych myślicieli, powinni zdobyć się na coś w rodzaju przeprosin w stosunku do owych mężnych gentlemanów, których liczne groby znajdują się dokładnie w tym miejscu, w którym stoczono ostatnią bitwę w Dziczy; do ludzi, którzy mieli odwagę w imię tej socjologii walczyć, w imię jej ginąć, i – przede wszystkim – rzeczywiście nazywać ją po imieniu.

Tymi kilkoma uwagami na temat przyjęcia przez Anglię niemieckiej ustawy o ubezpieczeniach, kończę niniejszy szkic, poświęcony

łączącym Anglików i Niemców relacjom historycznym. Napisałem tę książkę tylko dlatego, że pragnę raz na zawsze wyjaśnić sobie wszystko z moim drogim przyjacielem, panem profesorem Tornado – Prusakiem, który dawno już porzucił beznadziejne zadanie obrony własnego kraju, i zamiast tego zaczął obrażać mój. Porzucił on, pośród kierowanych zewsząd drwin, swój zamiar nazywania „dobrymi" tych rzeczy, które sam ich sprawca, kanclerz Niemiec, otwarcie określił jako złe. Pan profesor wypracował sobie jednak także przedziwny pogląd, według którego jeżeli uda mu się wykazać, że jakiś Anglik w jakimś innym miejscu również dopuścił się jakiegoś zła, owe dwa złe czyny zrównoważą się ostatecznie w taki osobliwy sposób, że wszystko będzie dobrze. Wobec lamentu rzymskich katolików z Polski, Prusak nigdy nie reagował, ani nawet nie udawał, że reaguje, inaczej, niż tylko zatwardzając swoje serce; zachował on jednak (te rozkoszne niekonsekwencje ludzkiej natury) całkiem sporo ciepłych uczuć w stosunku do wyznających rzymskich katolików z Irlandii. Nigdy nie powiedział choćby jednego słowa na potępienie kampanii wojennej w Belgii, wciąż ma jednak w zanadrzu wiele mądrych, ostrych słów na potępienie kampanii wojennej w Afryce Południowej. Proponuję wyjąć mu te słowa z ust. Nie chcę mieć absolutnie nic wspólnego z bezmyślnymi uroszczeniami tych spośród naszych ministrów, którzy twierdzą, że nasi gubernatorzy zawsze rządzą dobrze, czy że naszych polityków nigdy się nie wybiela – ani nawet nie trzeba ich wybielać. Jedyna moralna wyższość, jaką sobie

przypisuję, polega na tym, że nie bronię rzeczy, których zwyczajnie nie da się bronić. Jak najbardziej zdecydowanie zachęcam moich rodaków, aby nie chowali się za płaskimi, urzędowymi wymówkami, które nasze siostrzane królestwa i poddane nam plemiona mogą z łatwością przejrzeć. Spokojnie możemy wyznać, że zbrodnie nasze były niby góry – i nie obawiać się omawianego tu porównania. W oczach niektórych, w tej mrocznej godzinie rozmyślanie nad naszymi błędami z przeszłości może nieść ze sobą pewne ryzyko; z niewzruszonym przekonaniem twierdzę jednak, że całe ryzyko wiąże się z czymś zupełnie przeciwnym. Twierdzę, że największe niebezpieczeństwo, jakie grozi obecnie naszej armii, stanowi najlżejszy choćby powiew owego uwielbienia siebie, jakikolwiek odcień owego moralnego tchórzostwa, jakikolwiek przebłysk owej zuchwałej i zaciekłej zatwardziałości, który mógłby sprawić, że jakiś Bur, Szkot, Walijczyk, Irlandczyk czy Hindus odniesie wrażenie, że jedyne, co robi, to przygotowuje grunt pod drugie Prusy. Znaczną część mego życia spędziłem na potępianiu i piętnowaniu współczesnych rządów i urzędów mojego kraju; mniemam, że to możliwie najbardziej prozaiczna rzecz, jaką w ogóle można w życiu robić. Nie mam żadnych złudzeń zarówno co do naszej przeszłości, jak i teraźniejszości. *Sądzę,* że cała nasza historia w Irlandii to była jedna wielka nienawiść do krucyfiksu, która znalazła swój wyraz w prawdziwym ukrzyżowaniu. Sądzę, że wojna w Afryce Południowej była czystą niegodziwością, której dopuściliśmy się, poganiani do

roboty przez bicze różnej maści lichwiarzy. Sądzę, że Mitchelstown[91] było hańbą; sądzę, że Denshawi[92] było zwykłym diabelstwem.

91 Prawdopodobnie aluzja do tzw. „masakry w Mitchelstown", która wydarzyła się w związku ze strajkiem irlandzkich czynszowników, jaki miał miejsce w tym mieście w latach 1879-881 i 1886-88. W 1887 roku, podczas jednego z protestów, doszło do przepychanek z policją, które zakończyły się użyciem broni przez służby porządkowe. Zginęły dwie osoby, a dwadzieścia cztery zostały ranne.

92 Raczej *Denshawai* – aluzja do tzw. „zajść z Denshawai", które miały miejsce w 1906 roku w Egipcie, w miejscowości Denshway (czy jakkolwiek to inaczej europeizować), a które na podstawie różnych źródeł można oddać chyba w następujący sposób. Grupa brytyjskich oficerów umilała sobie czas strzelaniem do gołębi; niestety, jak się okazało, nie były to dzikie gołębie, ale gołębie hodowlane, pełniące bardzo istotną rolę w lokalnej gospodarce. Doszło do wymiany zdań między żołnierzami a miejscowymi, w wyniku której – do dziś nie do końca wiadomo, w jakich okolicznościach – żołnierze zaczęli strzelać (sami zarzekali się, że pierwszy strzał padł przypadkowo), raniąc jedną kobietę i czterech mężczyzn. Miejscowa ludność odpowiedziała jak mogła i rozgorzała regularna walka. Jeden z żołnierzy, kapitan Bull, został wysłany po pomoc, ale po drodze przewrócił się i zmarł – prawdopodobnie na skutek udaru słonecznego. Jeden z egipskich wieśniaków pośpieszył mu na pomoc, lecz gdy do niego dobiegł, było już za późno. Nadciągający patrol Armii Brytyjskiej wszakże, zobaczywszy owego wieśniaka w pobliżu martwego ciała towarzysza broni, uznał go za mordercę, wpadł w furię – i zatłukł na śmierć. Oprócz tego, sąd angielski, w ramach procesu pokazowego, skazał na śmierć przez powieszenie czterech Egipcjan, którzy brali udział w zdarzeniu.

A jednak – jest jeden taki element życia i historii, w którym, jak śmiem twierdzić, Anglia zachowywała się całkowicie bez skazy i zmazy. W jednej dziedzinie naprawdę nosimy białą szatę zbawienia, i jaśnieje wokół naszej głowy aureola niewinności. Jakkolwiek długie i wiekowe mogą być kroniki naszego łajdactwa, w jednym wypadu naprawdę nie zrobiliśmy niczego, poza czystym dobrem. Niezależnie od tego, komu wyrządziliśmy w naszych dziejach krzywdę – nigdy nie wyrządziliśmy jej Niemcom. Raz po raz ratowaliśmy ich przed sprawiedliwą pomstą ich wrogów – przed świętym gniewem Marii Teresy, przed niecierpliwym i pełnym wzgardy zdrowym rozsądkiem Napoleona. Otoczyliśmy ich szczelnym kordonem wtedy, gdy miażdżyli Danię i okaleczali Francję. I gdybyśmy służyli naszemu Bogu tak, jak służyliśmy *ich* królom, nie stałyby dziś na naszej drodze nawet ostatnie ich niedobitki – i żaden z nich nie mógłby nas ani zabijać, ani zniesławiać.

Rozdział IX – Przebudzenie Anglii

W październiku 1912 roku, pośród cichych i pozornie niezamieszkałych grani i przepaści zachodniej części Bałkanów, rozległ się strzał – i jego echo rozniosło się po wszystkich wyżynach tamtej okolicy. Padł on z ręki króla – prawdziwego króla, który zwykł słuchać skarg swoich poddanych siedząc przed domem (jako iż budynek ów trudno byłoby nazwać pałacem) i któremu, w konsekwencji tego zwyczaju, nierzadko zdarzało się wtrącać do więzień miejscowych polityków. Mówi się o nim, że choć zawsze darzył premiera Gladstone'a wielkim szacunkiem – za wszystko, co polityk ten zrobił na zachodzie dla sprawy wolnych Bałkanów – nigdy nie potrafił wybaczyć mu do końca tego, że nie zdołał schwytać Kuby Rozpruwacza. Ów prostoduszny monarcha wiedział bowiem bardzo dobrze, że gdyby jakiś złoczyńca terroryzował pozostające pod jego panowaniem górskie wsie, poddani oczekiwaliby od niego, że osobiście chwyci za broń i zacznie ścigać tego bandytę; i że gdyby się na to nie zgodził, poddani owi prawdopodobnie spróbowaliby ułożyć sobie życie z jakimś innym królem. Ta sama, prymitywna koncepcja godności królewskiej stała się również przyczyną, dla której oczekiwali oni od niego, że osobiście poprowadzi swoje wojska podczas zagranicznej kampanii wojennej – i w istocie, to on właśnie

oddał pierwszy strzał owej wojny, przez którą runęło w proch starożytne imperium sułtanów.

Jego królestwo obejmowało niewiele więcej, prócz ciemnego i wysokiego masywu, od którego wzięło swoją nazwę; chodzi tu, oczywiście, o Czarnogórę, często nazywaną u nas także z włoskiego „Montenegro". Warto zatrzymać się w tym miejscu na chwilę nad ową barwną i niezwykłą społecznością, ponieważ stanowiła ona prawdopodobnie najprostszy praktyczny przykład tego wszystkiego, co stanęło na drodze ogromnej maszynerii społecznej Germanów, opisanej przeze mnie w poprzednim rozdziale – stanęło jej na drodze i w bardzo krótkim czasie zostało przez nią prawie doszczętnie zniszczone. Była to grupa Serbów, która wdrapała się w przeszłości na ową niemożliwą niemalże do zdobycia turnię i przez wiele setek lat drwiła sobie z drapieżczych zapędów tureckiego mocarstwa. Serbowie z kolei, stanowili po prostu część rolniczej rodziny Słowian, których miliony rozrzucone są obecnie po terytorium Rosji, a także po różnych innych imperiach, do których mają znacznie mniej sympatii; Słowianie zaś, w swoich najogólniejszych cechach, które najbardziej nas tutaj interesują, są nie tylko słowiańscy, ale – po prostu – europejscy. Konkretny obraz wszakże, przemawia zazwyczaj mocniej i jaśniej, niż opis pewnych ogólnych tendencji, które częstokroć mieszają się do tego z różnymi innymi tendencjami

bardziej subtelnej natury; Czarnogóra zaś, to naprawdę doskonały przykład owej czystej, europejskiej prostoty.

Co więcej, konkretny przypadek małego, chrześcijańskiego królestwa pomoże nam wykazać tym dobitniej, że dzisiejszy spór nie toczy się pomiędzy Niemcami a Anglią, ale pomiędzy Niemcami a Europą. Jednym celem, jaki przyświeca mi podczas pisania niniejszych stron, jest nie oszczędzać mojego kraju w ani jednym wypadku, w którym można go skrytykować; i przyznaję otwarcie, że Czarnogóra, moralnie i politycznie rzecz ujmując, wyprzedza Anglię prawie że w takim samym stopniu, co Niemców. W Czarnogórze nie ma milionerów – a zatem praktycznie nie ma tam również socjalistów. To zaś, dlaczego właściwie nie ma tam żadnych milionerów, pozostaje tajemnicą – którą najlepiej byłoby przestudiować w kontekście wielu podobnych tajemnic średniowiecza. Dzięki jakiejś mrocznej i złowrogiej błyskotliwości, ludzie tej zabobonnie klerykalnej epoki odkryli pewną bardzo interesującą prawdę – że jeśli zabije się każdego lichwiarza, każdego spekulanta, każdego cudzołożnika, każdego, kto używa wagi zdradliwej, każdego, kto wytycza fałszywe granice, każdego złodzieja ziemi, każdego złodzieja wody, oto w krótkim czasie okaże się, że mocą jakiegoś dziwnego, dyskretnego cudu, czy niespodziewanej interwencji z wysoka, nie pozostał już w kraju ani jeden milioner. Nie zatrzymując się się dłużej nad tą mroczną sprawą,

możemy powiedzieć tyle, że ów zasadniczy brak, jakim odznaczają się czarnogórskie doświadczenia, stanowi także wyjaśnienie dla innego zasadniczego braku tej krainy – braku socjalistów. Uświadomiony klasowo proletariusz wszystkich krajów jest w tym konkretnym kraju osobliwie nieobecny. Powodem tego (jak nieraz sobie spekulowałem) może być fakt, że proletariusz uświadamia się klasowo nie dlatego, że jest ze wszystkich krajów – ale dlatego właśnie, że nie ma żadnego kraju, w sensie: nie ma ani piędzi ziemi, na której zazwyczaj leżą kraje tego świata. Ubodzy mieszkańcy Czarnogóry zaś, mają ziemię – nie mają wszakże właścicieli ziemskich. Mają korzenie; jako iż chłop samemu jest glebą – glebą, z której wyrastają potem księża, poeci i wojownicy. I *to* właśnie, a nie ledwie przerzucanie się oskarżeniami o okrucieństwo, stanowi prawdziwy powód bałkańskiej nienawiści do tureckiego podboju. Czarnogórcy to czarnogórscy patrioci; Turcy wszakże, nie są patriotami tureckimi. Prawdę mówiąc – nigdy nawet nie słyszeli o patriotyzmie. To Beduini, równie bezdomni, co sama pustynia. „Zły koń" Lorda Sailsbury był koniem rasy arabskiej, i tylko na chwilę zatrzymał się w stajniach Bizancjum. Wystarczająco trudno jest rządzić plemieniem koczowników, choćby Cyganami; być przez nich rządzonym – to czysta niemożliwość.

Niemniej, kiedy to, co nazywano w swoim czasie wiekiem dziewiętnastym – i sama ta nazwa pobrzmiewała wtedy czymś w rodzaju jakiejś transcendentalnej wiary (niczym w pitagorejskim kulcie liczb) – zaczęło dobiegać końca, niemal każdy zakątek świata zaczął dosłownie wrzeć od reakcji – Turek zaś, wiecznotrwała figura reakcjonisty, trzymał się mocniej, niż kiedykolwiek przedtem. Najbardziej cywilizowane spośród chrześcijańskich narodów, malejące coraz bardziej w potężnym cieniu półksiężyca, okazały śmiałość i zdecydowały się uderzyć – i oto stała się ich udziałem katastrofa, która wydawała się równie nieodwracalna, co Hittin. W Anglii, Gladstone już nie żył – podobnie zresztą, jak całe jego polityczne dziedzictwo; zamaszyste pochwały zaś, kierowane przez pana Kiplinga, mniej mistyczną wersję Carlyle'a, pod adresem Armii Brytyjskiej, byłyby zdecydowanie bardziej odpowiednie dla Armii Pruskiej. Bo Armia Pruska faktycznie rządziła Prusami; Prusy zaś – Niemcami; a Niemcy – „koncertem" europejskich Mocarstw. Wszędzie rozlokowywały one elementy owej nowej, niewolniczej maszynerii, stanowiącej sekret ich sukcesów; absolutnego utożsamienia dyscypliny narodowej z zatrudnieniem u wielkich biznesmenów; tak, że Krupp[93] mógł liczyć na Kaisera, a Kaiser na

93 Aluzja do spadkobierców plutokratycznej „dynastii" niemieckiej, posiadającej założoną w 1811 roku firmę Friedrich Krupp AG, założoną w 1811 roku przez Fryderyka Kruppa, a zajmującą się m.in. produkcją amunicji (jest to koncern stalowy – jest, bo istnieje do dzisiaj).

Kruppa. Każdy jeżdżący zagranicę byle akwizytor odczuwał żałosne poczucie dumy z tego, że jest naraz niewolnikiem i agentem. Starzy i nowi tyrani podali sobie dłonie. Nowy „boss" biznesu „wylewał" ludzi z pracy tak cicho i z takim samym, śmiertelnym skutkiem, z jakim lała się niegdyś krew nad brzegami Bosforu. I obywatel, wielkie marzenie świata, bezpowrotnie odchodził w przeszłość.

To właśnie pod podobnie ołowianym niebem – i na podobnie usłanej kośćmi drodze – maleńka demokracja gór, ze swym patriarchalnym księciem, wyruszyła, jako pierwsza spośród wszystkich swoich przyjaciół i początkowo bez żadnego wsparcia z ich strony, na ostatnią i pozornie kompletnie beznadziejną rebelię przeciwko Imperium Osmanów. Zaledwie jeden z towarzyszących temu wydarzeniu omenów nie zapowiadał totalnej katastrofy; lecz nawet tutaj wszystko było wątpliwe. Jako iż zakończony sukcesem śródziemnomorski szturm na Trypolis, choć dowodzący na pewno rzadkiej rycerskości narodu włoskiego, można było interpretować na dwa różne sposoby, i na pewno wielu, a prawdopodobnie po prostu większość szczerych liberałów, widziało w nim tylko kolejny przejaw reakcji, która dała już znać o sobie w Bośni i pod Paaderbergiem[94], a nie zapowiedź ogólniejszej odnowy. Trzeba pamiętać, że Włochy

94 Aluzja do bitwy, stoczonej w dniach 18-27 lutego 1900 roku podczas II wojny burskiej.

wciąż uchodziły wtedy za sojusznika Prus i dynastii Habsburgów. Przez kilka dni, które wydawały się tak długie, jak miesiące, mikroskopijne państewko zdawało się toczyć bój o to, czego nie udało się osiągnąć krucjatom. I przez tych kilka dni, raz po raz spadały na Europę i wszystkie jej wielkie potęgi jak grom z jasnego nieba wieści o zdobytych tureckich fortach i rozgromionych tureckich dywizjach – o tym, że niezwyciężony półksiężyc runął na ziemię w strugach krwi. Serbowie, Bułgarzy, Grecy – wszyscy oni zwarli szeregi i wyszli ze swych kryjówek; i oto zorientowaliśmy się z nagła, że ci ubodzy chłopi zdołali zrobić dokładnie to, co do czego wszyscy politycy dawno porzucili już wszelką nadzieję – i że duch pierwszego chrześcijańskiego cesarza unosił się na powrót nad owym wielkim miastem, którego nazwa pochodzi przecież od jego imienia.

Z punktu widzenia Niemiec, ten niespodziewany zryw stanowił odwrócenie ogólnego kierunku, w którym podążała wtedy historia świata. Wyglądało to tak, jak gdyby sam Ren odbił się od oceanu i zawrócił w kierunku Alp. Przez długi czas każdy istotny proces polityczny w Europie musiał zostać zainicjowany lub zaakceptowany przez Prusy. Dymisjonowały one francuskich ministrów i wstrzymywały rosyjskie reformy. Ich władca określany był przez

Anglików pokroju Rhodesa[95] i Amerykanów pokroju Roosevelta[96] mianem największego księcia epoki. Jeden z najsławniejszych i najbardziej błyskotliwych spośród naszych dziennikarzy nazwał go kiedyś „europejskim ministrem sprawiedliwości". Był on najpotężniejszą postacią chrześcijańskiego świata; i to on właśnie przyjął i poświęcił półksiężyc. Kiedy zaś ów półksiężyc poświęcił, kilka małych plemion powstało i podeptało go, jakby był błotem. W dwóch czy trzech innych, mniej istotnych rzeczach, jakie wydarzyły się w tamtym czasie, pruskie ucho bezbłędnie wychwycić mogło tę samą nutę wątpliwości i groźby. Prusak starał się uzyskać dla siebie pewną część północno-zachodniego wybrzeża Afryki; Anglia zaś, z niezrozumiałym zupełnie uporem, zdawała się naciskać na porzucenie tego planu. W kwestii Maroka, Anglia poparła Francję – niespodziewanie, ale w sposób, który zdawał się sugerować, że zgoda ta nie wzięła się wyłącznie z przypadku. Nie popełnimy jednak błędu, jeżeli kluczowego momentu niemieckiego zaskoczenia i złości upatrywać będziemy w wojnie bałkańskiej i upadku Adrianopola. Wydarzenia te nie tylko stanowiły bezpośrednie zagrożenie dla, mówiąc słowami Jeffersona, „klucza Azji" i wszystkich wschodnich

95 Cecyl Jan Rhoes (1853-1902) – angielski polityk, przedsiębiorca, potentat kolejowy i monopolista w dziedzinie wydobycia diamentów na terenie dzisiejszego Zimbabwe. Inicjator pierwszej wojny burskiej. Od jego nazwiska pochodziła nazwa „Rodezja".

96 Teodora.

marzeń niemieckiego handlu; nie tylko można było odnieść przy ich okazji wrażenie, jakby armia szkolona przez Francuzów zwyciężyła, armia szkolona przez Niemców zaś – poniosła porażkę. Było w tym coś więcej, niż ledwie materialne zwycięstwo broni marki Creusot[97] nad bronią pana Kruppa. Bo oto sama fabryka pana Kruppa przegrała z polem drobnego gospodarza. Do tego czasu, północnoniemiecki mózg zdołał już w ohydny sposób przewrócić do góry nogami wszystkie legendy i wszystkie żywoty bohaterów, które rodzaj ludzki kiedykolwiek w swojej historii kochał. Prusy *nienawidziły* romansu. Rycerskość wcale nie była dla nich czymś zupełnie bez znaczenia; bo rycerskość była dla nich przyczyną prawdziwych męczarni – na takiej samej zasadzie, na jakiej każdego okrutnego awanturnika męczy wyzwanie, na które nie odpowiedział. Zakończył się ów upiorny proces, o którym pisałem na wcześniejszych stronach tej książki – dusza tego przedziwnego ludu opowiedziała się zupełnie po stronie smoka, a przeciw rycerzom – po stronie olbrzyma, a przeciw bohaterom. Cokolwiek, co byłoby nieoczekiwane – nadzieja wbrew nadziei, inspiracja, przychodząca w ostatnim możliwym momencie, wszystko to, mocą czego słabość wymyka się silnym i co rozbrzmiewa w sercach szczęśliwszych ludzi niczym dźwięk trąby – wszystko to napełniało Prusaka zimną furią, jak gdyby coś stanęło na drodze jego przeznaczenia. Spoglądając na to, Prusak czuł się

97 Aluzja do założonej w 1836 roku francuskiej firmy zbrojeniowej Schneider-Creusot.

dokładnie tak, jak czułby się każdy rzeźnik z Chicago, gdyby świnie nie tylko odmówiły wejścia do jego rzeźniczej maszyny, ale zamieniły się także w stado romantycznych dzików, wściekłych i walecznych, aż proszących się o stare polowania książąt i godnych tego, aby stać się herbem królów.

Prusak zobaczył to wszystko – i podjął decyzję. Nic nie powiedział; ale ciężko pracował; pracował bez przerwy przez trzy długie lata, budując machinę wojenną, która mogłaby raz na zawsze odebrać światu podobnie romantyczne historie, podobnie przypadkowe przygody; machinę, która mogłaby raz na zawsze wyleczyć ludzkie świnie ze złudnego przekonania, jakoby miały skrzydła. Że faktycznie knuł w ten sposób, przygotowując się do wyprowadzenia druzgocącego ataku, mającego uprzedzić i zmiażdżyć wszelki możliwy opór, to już obecnie, nawet w świetle tych dokumentów, które sam opublikował, kwestia zdrowego rozsądku. Załóżmy, że ktoś sprzedaje całą swoją ziemię, poza niewielkim jej skrawkiem, na której znajduje się studnia; załóżmy, że przy podziale majątku zmarłego przyjaciela szczególnie gorąco prosi o jego brzytwy; załóżmy, że kiedy otrzymuje jakąś osznurowaną paczkę, odsyła ją – ale bez sznura. Jeżeli zaś potem okaże się nagle, że jeden z jego wrogów został pewnego dnia złapany na lasso, a następnie ktoś poderżnął mu gardło – najprawdopodobniej przy użyciu brzytwy – i ukrył jego ciało

w studni – nie będziemy chyba potrzebowali konsultować się z Sherlockiem Holmesem celem sformułowania wstępnych podejrzeń co do tożsamości winowajcy. Na podstawie dyskusji, jakie pruski rząd prowadził z Lordem Haldanem i Sir Edwardem Greyem, możemy dzisiaj natomiast równie jasno zorientować się, jakie dokładnie było znaczenie wszystkich jego pozytywnych i negatywnych odpowiedzi – wszystkiego, co pruskiemu intrygantowi odpowiadało i nie odpowiadało. Niemiecki kanclerz nie przyjął od Anglików obietnicy, że nie będą w ewentualnym sporze stroną agresywną i zamiast tego domagał się od nich, by obiecali, że zachowają neutralność. A nie ma tu przecież żadnej zgoła różnicy – z wyjątkiem tej, która zachodzi w umyśle agresora. Niemcy zaproponowały pacyfistyczne porozumienie, które nie pozwalałoby Anglikom zawrzeć sojuszu militarnego z Francją, Niemcom za to jak najbardziej pozwalałoby utrzymać stary sojusz militarny z Austrią. Kiedy zaś godzina wojny nadeszła, wykorzystały Austrię do własnych celów – wykorzystały swój stary sojusz militarny i w podobny sposób starały się wykorzystać nową koncepcję angielskiej neutralności. Innymi słowy: wykorzystały w swoich działaniach sznur, brzytwę i studnię.

A jednak, czy to przypadkiem, czy to dzięki indywidualnym umiejętnościom dyplomatycznym, po upływie tych trzech lat Anglia

miała wciąż pełną swobodę, aby dopomóc w zniweczeniu niemieckich podstępów. Większość angielskiego ludu nie miała pojęcia, że takie podstępy w ogóle istnieją; i istotnie, uznawała pojawiające się tu i ówdzie sugestie na ich temat za zwyczajne absurdy. I nawet pojętniejsze jednostki nie miały o tej sprawie wiele większego pojęcia. Podziękowania i przeprosiny należą się na pewno tym, którzy nawet w najcichszym okresie naszego cichego partnerstwa z Prusami widzieli w tym kraju nie tyle partnera, co raczej potencjalnego przeciwnika; ludziom takim jak pan Blatchford[98], pan Bartosz Kennedy[99], czy świętej pamięci Emil Reich[100]. Należy poczynić tutaj wszakże pewne rozróżnienie.

---

98 Robert Blatchford (1851-1943) – angielski żołnierz, dziennikarz, pisarz, działacz socjalistyczny. Postać łącząca w sobie wiele sprzeczności, np. socjalizm (marksistowski) z płomiennym patriotyzmem. Redaktor naczelny socjalistycznego tygodnika *The Clarion,* na łamach którego zaangażował się w słynną polemikę z GKC, która stała się dla Gilberta przepustką do „wielkiej kariery" (cudzysłów stąd, że samemu Gilbertowi chyba nie spodobałoby się to określenie). W latach 1920 z materialisty przepoczwarzył się, na skutek tragicznego doświadczenia przedwczesnej śmierci żony, w spirytualistę.

99 Bartosz Kennedy (1861-1930) – angielski pisarz i dziennikarz, autor kilku powieści. Jeden z prekursorów tzw. „trampingu" (czerpał inspirację z długich i chaotycznych podróży, przeszedł ze wschodu na zachód całe Stany Zjednoczone).

100 Emil Reich (1854-1910) – urodzony na Węgrzech historyk żydowskiego pochodzenia, od 1890 roku zamieszkały w Anglii. Zaangażowany w wiele projektów naukowych: dawał wykłady, pisał artykuły i książki. Zajmował się

Albowiem nawet spośród tych osób, z magicznym niemalże wyjątkiem dra Sarolei, niewielu tylko widziało Niemcy takimi, jakimi naprawdę są; to, że interesuje ich przede wszystkim Europa, Anglia zaś – ledwie marginalnie; bo istotnie, w pierwszych fazach wojny Anglia w ogóle ich nie interesowała. Nawet najbardziej anty-niemieccy spośród nas byli zbyt zaściankowi; nawet w oczach tych, którzy zdołali przejrzeć większość niemieckich planów, rola Anglii ogromniała do rozmiarów zupełnie nieprawdziwych. Patrzyli oni na tę wojnę wyłącznie jako na konflikt kolonialnej i komercyjnej natury; i patrzyli na nią głównie przez pryzmat rychłej inwazji na Anglię która nawet teraz nie wydaje się zbyt prawdopodobna. Ów strach przed Niemcami był rzeczywiście bardzo niemiecką wersją strachu przed Niemcami. On również zawierał w sobie pojęcie Anglików jako „Niemców morza". On również zasadzał się na założeniu, że Niemcy toczą wojnę z czymś podobnym do siebie – praktyczne, prozaiczne, kapitalistyczne, bezwzględne w rywalizacji Niemcy, gotowe pociąć nas na kawałki w bitwach, na podobnej zasadzie, na jakiej wcześniej wycięły nas w interesach. Nie nadszedł jeszcze wtedy czas, w którym umielibyśmy spojrzeć na sprawy szerzej – choć powinniśmy byli

---

bardzo wieloma problemami, od kwestii metodologii badań biblijnych, przez polemikę z darwinizmem społecznym, po ruch syjonistyczny (którego był wielkim przeciwnikiem). Autor książki *Przerośnięte ego Niemiec* (oryg. *Germany's Swelled Head*), wydanej w 1907 roku, w której zajmował się – jak nietrudno się domyśleć – problemem niemieckiej ekspansji politycznej. Postać niezwykła.

przecież dostrzec, że w znacznie głębszym sensie Niemcy toczą wojnę z czymś całkowicie od siebie różnym, z czymś, od czego my również bardzo się oddaliliśmy. Potem zaś, powinniśmy byli przypomnieć sobie kim jesteśmy i zobaczyć, skąd przychodzimy; i z owej odległej i wysokiej góry, z której strącono ostatecznie półksiężyc islamu, ujrzeć nareszcie to, co w każdym miejscu ziemi było prawdziwym wrogiem Żelaznego Krzyża – krzyż wieśniaka, uczyniony z drewna.

A zatem, nawet nasze lekkie ataki paniki były prowincjonalne – albo wręcz płytkie; przez większość czasu zaś – naprawdę cieszyliśmy się pokojem, w niewzruszonym przekonaniu o jego trwałości. Pokój ów nie był przesadnie szlachetny. Istotnie, osiągnęliśmy wtedy chyba jeden z najniższych i najpłytszych momentów na sinusoidzie naszej historii; i trzeba przyznać, że owo wzgardliwe wyrachowanie, z jakim Niemcy liczyły na naszą uległość, nie było wcale tak zupełnie nieuzasadnione – choć, Bogu dzięki, okazało się nietrafione. Wszystkie nasze przymierza przeciw wolności wydały swój owoc. Pokorne przyjęcie „Kultur" w naszych książkach i szkołach sparaliżowało wolny niegdyś kraj niemieckim formalizmem i niemieckim strachem. Mocą przedziwnej ironii, nawet ten sam pisarz, który dopiero co ostrzegał nas przed Prusakami, głosił także typowo pruski fatalizm, osnuty wokół szarlatańskich teorii Haeckla.

Zapasy naszych dwóch wielkich partii już dawno zdążyły zmienić się w uścisk. Faktowi temu niemrawo się, co prawda, przeczyło – i ciągle starano się stworzyć pozory, że nie działa tu żaden pakt, a tylko najzwyklejszy w świecie patriotyzm. Niemniej, ta gra pozorów zupełnie się nie sprawdziła; jako iż jasne było, że przywódcy każdej ze stron, nie przewodząc bynajmniej w dwóch przeciwnych kierunkach, są znacznie bliżsi sobie, niż swoim zwolennikom. Władza owych przywódców nieprawdopodobnie się powiększyła; dzielący ich dystans wszakże – znacznie się zmniejszył, czy raczej wprost: zniknął. Około roku 1800 mówiło się, w ramach drwin ze słynnej „grupy Foxa"[101], że Partia Wigów przyjechała do parlamentu na czterokołowym wozie. Około roku 1900 zaś, zupełnie dosłownie można by powiedzieć, że zarówno Partia Wigów, jak i Partia Torysów, przyjechały do parlamentu w dwukołowej dorożce. Nie była to już kwestia dwóch wież, u góry przechodzących co prawda w odrębne

---

101 Oryg. *Foxite rump* – grupa około 50 posłów z Partii Wigów, skupiona wokół słynnego Karola Foxa, jednego z ulubionych polityków Gilberta, o którym mówiło się już coś-niecoś w tej książce. Podobnie jak jej lider, grupa skupiała się na obronie swobód politycznych ludu przed coraz bardziej ekspansywnym rządem, parła do przeprowadzenia reform konstytucyjnych, a także wspierała politycznie Rewolucję Amerykańską i Francuską, domagając się w obu wypadkach szybkiego rozpoczęcia negocjacji pokojowych i odstąpienia od wojny. Ograniczanie swobód obywatelskich (m.in. słynnego *Habeas Corpus*, co wiemy już z rozdziału o Cobbecie), jakie przeprowadzono w związku z eskalacją konfliktu z Republiką Francuską, doprowadziło z czasem do zwiększenia liczby „foxystów" do około 65.

dachy i iglice, ale fundamentami tkwiących w tej samej ziemi. Była to raczej kwestia łuku, którego dwa kamienie węgielne, leżące po obu jego stronach, mogłyby wyobrażać sobie, że stanowią dwa odrębne budynki; inne kamienie wszakże, znajdujące się bliżej klucza sklepienia, wiedziałyby, że jest inaczej. To „oburęczne ostrze"[102] wciąż było gotowe do ciosu – wymierzonego jednak nie w drugą połowę siebie, ale w każdego, kto ośmieliłby się negować targający nim rzekomo konflikt wewnętrzny. Rządzili nami, by tak rzec, król i królowa z Krainy Czarów, którzy obcinali nam głowy za rozsiewanie plotek nie o ich małżeńskich kłótniach – ale o ich małżeńskiej zgodzie. Prawo o zniesławieniu stosowano nie po to, aby miażdżyć kłamstwa o życiu prywatnym, ale po to, by miażdżyć prawdę o życiu publicznym. Przedstawicielstwo przemieniło się w zwykłe przekłamanie; labirynt kruczków prawnych. Stało się tak w głównej mierze ze względu na sekretną obecność w całej sprawie znacznych sum pieniężnych, stanowiących dla niektórych ludzi jedyne możliwe narzędzie sukcesu w katastrofalnych wyborach tamtej epoki, sum przekazywanych i dystrybuowanych do tego z mniejszą dbałością o przejrzystość i rejestr, niż ma to miejsce w wypadku najpodlejszych nawet interesów czy klubów. Podobne źródła finansowania atakowało zaledwie dwóch czy trzech ludzi; a dosłownie nikt ich nie bronił. Dzięki nim, wielcy kapitaliści położyli ręce na sterach naszej

---

102 Aluzja do wiersza „Lycidas" autorstwa Jana Miltona.

polityki – podobnie zresztą, jak wszystkiego innego. Ubodzy zaś, toczyli beznadziejną walkę o zahamowanie wzrostu cen; a podejmowane przez nich próby zainicjowania zbiorowych negocjacji przy pomocy zbiorowej odmowy podjęcia źle płatnej pracy, określano w naszej prasie – tak, liberalnej, jak torysowskiej – mianem zamachu na państwo. I tym właśnie zresztą one były: zamachem na państwo niewolnicze.

Tak właśnie przedstawiał się stan Anglii w roku 1914, gdy Prusy, nareszcie uzbrojone po zęby i pewne swego tryumfu, stanęły naprzeciw świata i z wielką powagą, niczym ktoś, kto przyjmuje sakrament, konsekrowały swoją kampanię popełnieniem zbrodni. Weszły przez zakazane drzwi, które same przed sobą zamknęły – i pomaszerowały w kierunku Francji przez neutralną Belgię, gdzie każdy ich krok łamał coraz bardziej dane przez nie słowo. Ich neutralni sąsiedzi stawili opór – dokładnie tak, jak zarówno oni, jak i my, powinniśmy byli uczynić. W jednej chwili cała inwazja stanęła w płomieniach moralnego szaleństwa, od którego wszystkie postronne narody, niewtajemniczone dotychczas w szczegóły pruskiej praktyki, zrobiły się blade jak papier. Statystyki zabitych i okaleczonych w tamtym czasie cywilów, to coś, wobec czego wyobraźnia ludzka najzwyczajniej oniemieje. Dwóch wszakże spośród moich przyjaciół odwiedziło splądrowane przez maszerujące

wojska wsie. Jeden widział tabernakulum z Najświętszym Sakramentem, które z wielką dbałością – strzał po strzale – przyozdobiono w całkiem ładny wzorek. Drugi – konia na biegunach i drewniane zabawki z jakiegoś żłobka roztrzaskane w drzazgi. Te dwa fakty wystarczą, by przynajmniej niektórzy spośród nas zorientowali się, jak brzmiało imię owego ducha, który tamtędy przeszedł.

Potem zaś, zdarzyła się rzecz osobliwa. Anglia, niemająca we współczesnym sensie tego słowa żadnej właściwie armii, usprawiedliwiona została od wszystkich swoich dzieci. Reputacja wielu darzonych szacunkiem osób i instytucji rzeczywiście w bardzo wielu miejscach zachwiała się i runęła; i choć głowa naszego państwa zareagowała na wysuwaną przez zagranicznego zbira propozycję przekupstwa tak, jak należało, wielu innych polityków okazało jednak stosowniejszy poziom słabości i szaleństwa – choć niewątpliwie nie brak im było patriotycznych intencji. Jeden z nich miał na przykład ambicję cenzurować dziennikarzy – i sam musiał zostać potem poddany cenzurze, ponieważ był jednocześnie większym sensatem, niż jakikolwiek dziennikarz. Inny z kolei, lżył klasy pracujące w stylu pijanego rzecznika Towarzystwa Wstrzemięźliwości. Anglia została jednak ocalona przez zupełnie zapomnianą już rzeczywistość – przez Anglików. Prości ludzie

z prostymi motywami, z których główny stanowiła zwykła nienawiść do niesprawiedliwości, ogromniejąca tym bardziej, im dłużej na nią patrzymy, opuścili swoje posępne kamienice czynszowe, swe schludne sklepy, swe pola i swe przedmieścia, swe fabryki i swe rudery, by prosić o oręż synów ludzkich. I rzeszą liczącą przynajmniej trzy miliony dusz, wyspiarze odbili od brzegów swej wyspy, z taką samą prostotą, z jaką górale zeszli wcześniej ze swych gór, z oczami zwróconymi w kierunku jutrzenki.

Rozdział X – Bitwa nad Marną

Wrażenie, jakie odnosiło się zaraz na początku wojny, było takie, że brytyjski kontyngent przybył w sam raz na czas, by wziąć udział w końcu świata. Choć może raczej trzeba by powiedzieć, że w oczach każdego wrażliwego i cywilizowanego człowieka, tkniętego ręką współczesnej wątpliwości – lecz także równie współczesnego mistycyzmu – owa stara, teokratyczna wizja, zupełnie nie potrafiła sprostać straszliwej grozie tamtego czasu. Jako iż był to dzień sądu, w który to na tronie niebieskim i na skrzydłach cherubów zasiadł nie Bóg – ale ktoś zupełnie inny.

Oddziały brytyjskie rozmieszczono na najbardziej na zachód wysuniętym odcinku północnej części alianckiej linii obrony. Jej drugi koniec opierał się o bezpieczne umocnienia miasta i fortecy Namuru; ich koniec – nie opierał się zupełnie o nic. Powiedzieć, że w owej samotnej wyspie pośród obcej ziemi, w sytuacji tych ludzi, których oddzielały od morza jedynie posępne łąki północnej Francji, od początku było coś beznadziejnego i złowróżbnego, to nie tylko taka sentymentalna fantazja. Jako iż od początku wiadomo było, że to właśnie na ową wyspę nieprzyjaciel nasz zarzuci najprawdopodobniej lasso swojej ofensywy; i że śmierć może otoczyć

ją niedługo ze wszystkich stron. Należy pamiętać, że wielu krytyków z tamtego okresu, w tym wielu rodowitych Anglików, obawiało się, że te lub inne elementy naszego życia narodowego mogła przeżreć już do tego momentu rdza – i że zaniedbawszy na wiele długich lat zarówno etykę, jak i technikę wojenną, Anglia może okazać się w łańcuchu Ententy najsłabszym ogniwem. Nasz wróg był absolutnie pewien, że tak się właśnie stanie. Raptem, do ludzi tych, stojących bez żadnej pociechy pośród płaskich jak stół równin, dotarły wieści, że oto Namur, będący dla ich dowódców jednym z czterech filarów świata, upadł. Dwie armie otarły się o siebie; i natychmiast, przez słabszą z nich przeszedł lekki prąd – znak potężnej energii elektrycznej, skupionej w najgłębszych głębiach Niemiec, fatalnej mocy, generowanej przez niekończące się rzędy przerażających turbin. W jednej chwili stało się jasne, że wróg jest liczniejszy, niż kiedykolwiek im się śniło. W istocie – był on liczniejszy nawet, niż udało im się ustalić. Każdy nadciągający kawalerzysta rozdwajał się, niczym w widzie pijaka; i w krótkim czasie okrążyły ich, utrudzonych i oniemiałych, niepoliczone postaci z koszmaru. Następnie, wszystkie siły Państw Sprzymierzonych poniosły srogą klęskę pod Mons; i rozpoczęły ów odwrót wśród mroków, podczas którego tak wielka liczba naszej młodzieży pierwszy raz w życiu doświadczyła realiów wojny – i to najstraszniejszych, jakie widziano kiedykolwiek na tym strasznym świecie; i bardzo wielu z tych młodych ludzi nigdy nie wróciło do domu.

W mrokach owych, z nagła zaczęły pojawiać się w nas dziwne emocje, tak długo obce naszej krwi. Te sześć dni stało się czasem równie obfitującym w legendy, co sześć wieków ciemnych. Wiele z nich to rzeczywiście może być ledwie wyolbrzymiona robota ludzkiej wyobraźni, jedna z nich to na pewno najzwyklejsza fikcja, inne wszakże – to już coś zupełnie innego, i to coś, czego ciemności znacznie trudniej będzie rozproszyć nawet w pełnym świetle słońca. A jednak, mają one jedną bardzo charakterystyczną cechę, niezależnie od tego, czy rzeczywiście wszystkie to zwykłe kłamstwa, a nawet – niezależnie od tego, czy wszystkie to świadomie opracowane dzieła sztuki. Otóż, żadna z nich nie odnosiła się do owych trzech ciasnych, tłocznych i niespokojnych wieków, które są nam najbliższe, i o których pisałem w tym luźnym szkicu – wieków, w których wpływy teutońskie rozpowszechniały się coraz bardziej na naszej małej wyspie. Być może, że pojawiały się w nich duchy – ale były to duchy tych spośród naszych przodków, o których dawno już zdążyliśmy zapomnieć. Nikt nie widział zjawy Cromwella czy nawet Wellingtona; nikt nie myślał nawet o Cecylu Rhodesie. Brytyjczycy widzieli lub mówili takie rzeczy, które jednoczyły ich raczej, w sposób przerastający wszelkie polityczne sojusze, z narodem francuskim, którego przedstawiciele opowiadali o Joannie z Arc, jaśniejącej na niebie nad skazanym na klęskę miastem; czy z narodem rosyjskim, śniącym o Matce Bożej, wyciągającej swą rękę ku zachodowi. To były

wizje czy wymysły armii średniowiecza; i piszący prozą poeta pozostawał w zupełnej zgodzie z tak wieloma ludowymi opowieściami, opisując, jak duchy łuczników krzyczały: „Do szyku!”, zupełnie jak owe dawno rozwiązane oddziały wolnych gospodarzy, pośród których widziałem oczyma wyobraźni Williama Cobbetta, dzierżącego w ręku drewno swojej broni. Inne opowieści, prawdziwe czy ledwie symptomatyczne, mówiły o jeźdźcu dosiadającym białego rumaka – przy czym nie chodziło w nich wcale o zwycięzcę spod Blenheim[103], nie Czarnego Księcia[104] nawet, ale o pół-przeźroczystą postać z zamierzchłych mitologii – św. Jerzego. Jeden z naszych żołnierzy twierdził podobno, że rozpoznał tego rycerza, ponieważ „on jest na każdym drobniaku”. Na funtach szterlingach, św. Jerzy uwieczniony został jako żołnierz Imperium Rzymskiego.

Niemniej, fantazje owe, jeżeli to rzeczywiście tylko fantazje, mogłyby zdać się komuś ostatnimi podrygami starego porządku świata, który nareszcie został poraniony tak bardzo, że nie miał szans ujść z życiem. To zaś, co nadchodziło, z całym ogromem nowego porządku świata, nigdy nie znalazło dla siebie patrona pośród siedmiu rycerzy

---

103 Czyli książę Marlborough.

104 Edward Woodstock (1330-76) – syn Edwarda III Plantageneta i królowej Filipy, jeden z najbardziej uzdolnionych dowódców angielskich okresu wojny stuletniej, zwycięzca spod Poitiers (1356).

chrześcijaństwa[105]. Teraz, w dniach naraz większych wątpliwości i większych nadziei, praktycznie nie da się już oddać tego, czym tak naprawdę była – dla tych, którzy ją rozumieli – owa straszliwa nieodwracalność pierwszych niemieckich szarż. Wydawało się, że armie walczące w imię starożytnego męstwa rozpierzchły się nagle na prawo i lewo; i oto stanęła otworem szeroka droga z gładkiego granitu, wiodąca wprost do bram Paryża, po której wielka Germania kroczyła niczym ogromny sfinks, na którego zagadki nie było odpowiedzi, i którego duma mogła zniweczyć i przeżyć dosłownie cały świat. W pociągach swoich nadciągnęły, niczym ruchome góry, potężne działa cyklopów, których nigdy wcześniej nie widziały ludzkie oczy, i których paszcze wymierzone były zuchwale w niebo, jakby rzucały wyzwanie samemu słońcu – i wielkie, ufortyfikowane miasta, topniały przed nimi jak wosk. Nie jest niczym fantastycznym mówić w ten sposób o nowym i nienormalnym orężu ziemi; jako iż dusza Germanii przemawiała mocą kolosalnego mnóstwa turbin i cylindrów; i działa jej były bardziej symboliczne, niż jej sztandary. Tak wtedy, jak i teraz, jak i w każdym możliwym miejscu i czasie, pamiętać należy, że niemiecka dominacja brała się z konkretnej rzeczy bardzo konkretnego rodzaju. I *nie* chodzi tu o jedność; nie chodzi tu, w sensie moralnym, o dyscyplinę. W sensie moralnym, nic

105 Siedmiu świętych kościoła: św. Jerzy, św. Andrzej, św. Jan, św. Patryk, św. Dionizy, św. Antoni Padewski, św. Dawid.

nie mogłoby być bardziej zjednoczone, niż francuski, brytyjski czy rosyjski regiment. Nic, jeżeli już o tym mówimy, nie mogłoby być bardziej zjednoczone niż góralski klan na przełęczy Killiecranckie[106], czy zryw fanatyków religijnych na pustyniach Sudanu. Prawdziwe znaczenie podobnych machin, takich rozmiarów i w tak wielkiej liczbie, było takie: stanowiły one znak nowej wizji życia, w naturalny sposób budzącej nienawiść szczęśliwszych i zdrowszych duchowo jednostek, wdrażanej na szerszą skalę i pożerającej większe rzesze ludzkie, niż kiedykolwiek wcześniej. Zapowiadały miasta większe nad prowincje i fabryki większa nad miasta; zapowiadały narodziny cesarstwa slumsów. Zapowiadały taki stopień chirurgicznie precyzyjnej monotonii i zdehumanizowanego podziału pracy, jakiemu nikt spośród narodzonych z niewiasty po prostu nie mógłby oddać owych kilku krótkich chwil słonecznej pogody, które przypadły mu w udziale – gdyby tylko miał szansę przekuć swój lemiesz na miecz. Narody ziemi nie miały ukorzyć się przed Kaiserem; miały ukorzyć się przed Kruppem – ich panem i jego panem; Francuzi, Brytyjczycy, Rosjanie – wszyscy mieli oddać Kruppowi hołd; dokładnie tak, jak po kilku zdławionych szybko próbach oporu, uczynili to sami Niemcy. Przez każde kółko zębate tej

106 Aluzja do bitwy na przełęczy Killiecranckie, która miała miejsce 27 lipca 1689 roku w Szkocji, podczas pierwszej rebelii jakobitów. Zakończyła się pyrrusowym zwycięstwem zwolenników Jakuba II angielskiego i VII szkockiego.

niemającej porównania maszynerii, przez każde ogniwo tego żelaznego i pozbawionego końca łańcucha, prześwitywała biegłość i maestria określonego typu artysty; artysty, którego dłonie nigdy ani na moment nie spoczywają w bezruchu rozmarzenia, nigdy cofają się w odruchu wstrętu, nigdy nie wznoszą się do góry w zachwycie czy złości; ale pewne i niezmordowane nieustannie chwytają i przetwarzają tysiące maleńkich elementów, składających się na niewidzialną maszynerię życia. To właśnie taki artysta tryumfował w tamtych strasznych dniach; nie miał jednak dla siebie imienia. W starożytności nazywano go – niewolnikiem.

Przed ową nadciągającą maszynerią milionów, mniej liczne szyki Ententy, a w szczególności Brytyjczycy, tkwiący na swym samotnym przyczółku, ocaliły życie dzięki całej serii wykonywanych w ostatniej chwili manewrów i tego, co żołnierzom naszym musiało wydawać się czymś w rodzaju upiornego szczęścia, które widuje się czasami w przypadku uciekającej przed kotem myszy. Raz po raz kawaleria Von Klucka[107], przy wsparciu artylerii i piechoty, wbijała się niczym szpon w najbardziej odsłoniętą część brytyjskiej flanki – i raz po raz flanka ta cudem unikała ciosu, jak gdyby odskakując w tył i zaraz wracając na pozycję. W pewnych momentach myśliwy, by tak rzec,

107 Aleksander von Kluck (1846-1934) – niemiecki generał, podczas I WŚ dowódca I Armii, działającej na północnych odcinkach frontu, zdobywca Berlina.

miał nad swoją ofiarą tak ogromną przewagę, że nie mogła ona nawet zejść mu z drogi; ale musiała podjąć walkę – na tyle, na ile mogła, w nadziei, że jeden z wyprowadzonych przez nią ciosów zatrzyma go choć na krótki moment, który dałby jej szansę na ucieczkę. Czasami nadchodząca fala podchodziła tak blisko, że jeden mały przypadek, pojmanie jednego choćby żołnierza, mógł oznaczać zmycie z powierzchni ziemi całego batalionu. Każdy nowy dzień był tylko przedłużeniem tej śmierci za życia. I z każdym nowym dniem, coraz pełniej odsłaniała się ludzkim oczom jakaś sekretna prawda – z pewnością ku graniczącemu z niedowierzaniem zadziwieniu Prusaków, prawdopodobnie także ku zaskoczeniu Francuzów, i być może, że nawet ku zaskoczeniu ich samych; że było w żołnierzach brytyjskich coś szczególnego. Ową szczególna cechę wyrazić można na wiele różnych sposobów; z pewnością jednak nie umiałby wyrazić jej dobrze nikt, kto nie dysponowałby także dostateczną odwagą moralną, pozwalającą mu spojrzeć prawdzie w oczy i zrozumieć, co właściwie czyniła jego ojczyzna w ciągu ostatnich dekad przed wybuchem wojny. Można chyba spróbować ująć ją w następujący sposób: że oto tysiące Anglików zginęło; Anglia wszakże – żyła.

Forteca Maubeuge uchyliła, by tak rzec, swych podwoi, oferując naszym żołnierzom schronienie podczas czekającego ich, wyczerpującego i straszliwego odwrotu; generałowie nasi jednakże,

odrzucili tę propozycję i postanowili kontynuować naszą beznadziejną walkę zgodnie z ustalonym wcześniej planem. W nocy, wielkie mnóstwo niemieckich żołnierzy nadeszło niespodziewanie od strony lasu i zaskoczyło o wiele mniej liczne oddziały brytyjskie w Landrecies[108]; nie udało im się ich jednak przemóc – i Niemcy stracili podczas tej bitwy w ciemnościach cały batalion. Na najdalszej części naszej flanki dywizja Smitha-Dorriena[109], która wydawała się wtedy praktycznie rozbita i odcięta od reszty wojsk, walczyła z jednym karabinem przeciwko czterem – i zadała Niemcom tak potężne straty, że musieli oni wycofać się ze zdobytego wcześniej terenu; i Brytyjczycy znowu byli wolni. Gdy huk wysadzonego w powietrze mostu obwieścił światu, że udało się im nareszcie przekroczyć ostatnią rzekę, przecinającą drogę ich odwrotu, oto ocalało od zniszczenia coś więcej, niż tylko owe wycieńczone i wytępione niemal do szczętu niedobitki; honor tej, dla której żyjemy.

Pognane precz i pokonane już niemal wojsko, stało właściwie u samych murów Paryża; i cały świat czekał w napięciu, aż spadnie

108 Bitwa, która rozegrała się 25 sierpnia 1914 roku. Stosunek sił niemieckich i brytyjskich wynosił około 95 000 do 5 000 żołnierzy. I to jest prawda.

109 Prawdopodobnie sir Horacy Smith-Dorrien (1858-1930) – angielski oficer wojskowy, zasłużony w wielu wojnach (m.in. drugiej burskiej), dowodzący pod Mons, Le Cateau i Ypres. Słynny z trudnego usposobienia i konfliktowości.

na to miasto ostateczny cios zagłady. Jego bramy wydawały się stać otworem; i Prusak miał wjechać przez nie po raz trzeci i ostatni w historii; bo oto długa epopeja wolności i równości dobiegała końca. Lecz ów nadzwyczajny zupełnie i nadzwyczajnie francuskiego usposobienia człowiek, na którego barkach spoczęła ostatnia nadzieja beznadziejnej pozornie sprawy Państw Sprzymierzonych, trwał ciągle – mocny i nieugięty jak skała, a pewność ta emanowała z każdego skrawka tej niebieskiej jak niebo kurtki i z każdego mięśnia tej przypominającej nieco buldoga, komicznej niemal postaci. Nakazał swoim osłupiałym żołnierzom opuścić pozycję zaraz po tym, jak złamali ofensywę nieprzyjaciela pod Guise; w straszliwej ciszy wziął na siebie pełną odpowiedzialność za kontynuowanie odwrotu, jak gdyby w porywie rozpaczy, dopóty, dopóki wojska Trójprzymierza nie znalazły się ledwie kilka przerażających kilometrów od francuskiej stolicy; potem zaś – stał tylko i patrzył. I wtedy, zupełnie niespodziewanie, cała ta gigantyczna inwazja odbiła w bok.

Z Paryża i z leżących niemalże w prostej linii na wschód okolic miasteczka Sézanne, wyłoniły się długie szeregi odzianych w zakurzone, błękitne płaszcze ludzi – i ruszyły na przełaj po dzielących ich równinach, zbliżając się do armii von Klucka z dwóch przeciwnych stron, niczym para błękitnych skrzydeł. Niemiecki

wódz zawahał się na moment; potem zaś, rzucając, celem zyskania na czasie, kilka rezerwowych oddziałów do walki z tym skrzydłem, które już prawie zaczynało go zagarniać, wykonał nieprawdopodobny zwrot i poruszając się niemal wzdłuż linii frontu natarł na wojska Ententy, w nadziei, że centrum ich pęknie jak pod uderzeniem młota. A jednak – atak ów był mniej rozpaczliwy, niż mogłoby się wydawać; jako iż von Kluck rachował, jak bardzo zasadnie przecież mógł czynić, na moralne i fizyczne wyniszczenie znajdujących się dokładnie naprzeciw niego sił brytyjskich i sąsiadującej z nimi zachodniej flanki sił francuskich, które pędził przed sobą przez sześć dni i nocy, jak wichura pędzi listowie na jesień. I tak jak jesienne liście, żołnierze ci legli w okopach, jakby zmieceni w kąt, z czerwonymi plamami na ciele, brudni od błota i z mundurami w strzępach. Lecz w chwili, w której ich zwycięzcy przeciwnicy skręcili na wschód, trąbki bojowe dały im sygnał do natarcia; i Anglicy pognali przed siebie, przez gęste lasy rosnące nieopodal miejsca zwanego Cerçy – i drugi raz położyli na nich swoją pieczęć, w najbardziej chwalebnym momencie całej doczesnej historii ludzkości.

Nie było to jednak to samo Cerçy, pod którym starły się ze sobą francuskie i angielskie wojska w zamierzchłej i barwniejszej epoce, w bitwie, która przypominała raczej turniej pojedynków. Bo oto ostatni, zjednoczeni rycerze Europy, walczący za ostatnie,

zachowane jeszcze w ich krajach pierwiastki rycerstwa, za ostatnie zręby owego starodawnego braterstwa broni i sztuki, spotkali się tam z rzeczywistością, która od samego początku swego istnienia stanowiła radykalną antytezę wszelkich rycerskich i braterskich tradycji naszego kontynentu. Wiele miało jeszcze później nastąpić – mordy, ponury absurd, ogarniający cały świat niby płomień pożaru, szaleństwo, które wstrząsnęło niebem i ziemią; lecz wszyscy czuli już wyraźnie w swych sercach, że trzeci pruski najazd zakończył się fiaskiem, i chrześcijaństwo raz jeszcze zostało ocalone. Cesarstwo krwi i żelaza zaczęło powoli wycofywać się w ciemności borów północy; wielkie narody Zachodu zaś – parły naprzód; i oto, po trwającej długie wieki kłótni kochanków, szły obok siebie dwie chorągwie – i św. Dionizy jechał u boku św. Jerzego.

KONIEC

Kilka uwag na temat użycia słowa „angielski”

W sprawie znaczenia, w jakim używa się w niniejszej książce słów „Anglia” i „angielski”, należy poczynić pewne wyjaśnienie – choćby po to tylko, aby uprzedzić zbliżające się już niechybnie wielkimi krokami wybuchy szkockiej furii. Zacznijmy zatem od tego, że słowo „brytyjski” jest w tym wypadku podobnie nieporęczne. Próbowałem zastosować je w dwóch czy trzech momentach, w których odwoływałem się do rzeczy takich, jak jedność i chwała wojenna; choć pewien jestem, że nie udało mi się zachować w tej nader złożonej kwestii zupełnej konsekwencji. Problem polega na tym, że do owego poczucia chwały i jedności pełne prawo ma, oprócz narodu angielskiego i szkockiego, także naród irlandzki. I choć istotnie, można w miarę bezpiecznie określić Szkota mianem Brytyjczyka z północy (pomimo zupełnie usprawiedliwionych protestów Stevensona), określanie Irlandczyka mianem Brytyjczyka z zachodu to już przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Zachodzi tutaj jednak jeszcze pewna głębsza trudność. Zapewniam wszystkich Szkotów, że mówię o moim kraju „Anglia” nie dlatego, jakobym zaprzeczał istnieniu szkockiej narodowości, ale przeciwnie – ponieważ je uznaję. I dalej: że główna teza niniejszego dziełka nie odnosi się do narodu szkockiego wyłącznie z tego względu, że nie odnosi się do niego także zawarte w niej potępienie. Książka ta, to studium – może

nie pewnej choroby, ale na pewno słabości; która zdominowała wyłącznie dominującą stronę naszej unii. Na przykład, ani o Szkotach, ani o Irlandczykach nie można by zgodnie z prawdą powiedzieć, że są bezreligijni; sądzę jednak, że niewątpliwa bezreligijność Anglików, wespół z wynikającymi z niej logicznie zjawiskami plutokracji i pogardy klasowej, przyniosła ogromne szkody nie tylko im samym – ale całej brytyjskiej polityce.